Dystrybutory grozy • PiS kontra PiS bis • Hołownia wraca do siebie
Kulisy remontu Kongresowej • Jak się zarabia na bredniach • Czy AI nas zabije

POLITYKA.PL

POLITYKA

KULTURA+

© MP

USA 5 USD; WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO TYGODNIK, nr 39 (3583), 23.09–29.09.2026 Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195



To takie polskie...

Mówi Marek Kondrat, po latach wracający na ekran rolą w „Lalce”

ISSN 0032-3500
9 770032 350602 39
Wydanie w sprzedaży do 29.09.2026

POZNAJ BOHATERÓW POWIEŚCI



Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**

Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**

Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

KUP TERAZ

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl ef163c68fb



© FOTOHELIN/SHUTTERSTOCK

26
Płaskoziemcy atakują

Temat tygodnia

10 Adam Grzeszak **Paliwo jak złoto – czyli kolejny kryzys u bram**

Polityka

14 Wojciech Szacki **Rozwój Plus na boisku PiS: co z tego wyniknie**
18 Michał Danielewski **Kolejne wcielenie Hołowni**

Rozmowa POLITYKI

21 **Marek Kondrat** o powrocie do aktorstwa i tym, co go łączy z Rzeckim

Społeczeństwo

26 Joanna Podgórska **Prawo szuriatu**
30 Aleksandra Żelazińska **O co chodzi w sporze o e-dziennik**
33 Magda Brzezińska **Moda na poznawanie zieleni**
36 Marcin Kołodziejczyk **Bój o Salę Kongresową**

Rynek

40 Paweł Walewski **Dzieje lobbingu polskiego**
44 Cezary Kowanda **Chińszczyzna drożeje, zainteresowanie nie maleje**

Świat

46 Agata Wójcik, Łukasz Wójcik JEMEN **Kim są rebelianci Huti i czyje rozkazy wykonują**
50 Jarosław Kuisz FRANCJA **Paryż czeka na papieża**
53 Paweł Reszka, Albina Trubienkowa UKRAINA **W co gra ukraińskie CBA**

Nauka/projektpulsar.pl

56 Rozmowa z prof. **Piotrem Sankowskim** o szumie wokół AI, frustracji badaczy i zapóźnieniu Europy
60 Robert Jurszo **Prof. Andrzej Elżanowski: niezapomniany obrońca zwierząt**

Historia

64 Prof. **Andrzej Friszke** o istocie KOR i tym, czy jego idee przetrwają w XXI w.
67 Piotr Korczyński **Kim byli hobo i jak zapisali się w historii Ameryki**

KULTURA+

74 **Wydarzenia jesieni**
76 Aneta Kyzioł **Bohaterowie na deskach**
78 Justyna Sobolewska **Pora na książkę**
80 Bartek Chaciński **Cat Power w Warszawie, Jungle w Łodzi**
82 Michał R. Wiśniewski **Symfonia z gry**
83 Dorota Szwarcman **Muzyczny Kraków, Polska Opera Królewska i sekret Chopina**
86 Jakub Demiańczuk **Akcja na dużym ekranie**
88 Piotr Sarzyński **Radomska Elektrownia elektryzuje**

Sport

90 Marcin Piątek **Co łączy Andrzeja Dudę z Radosławem Piesiewiczem**

Ludzie i style

96 Urszula Jabłońska PODRÓŻE **Retroturystyka**
97 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Stałe rubryki

- **4** Przypisy
- **6** Ludzie i wydarzenia
- **16**, **94**, **98** Galeria POLITYKI
- **70** Afisz
- **92** Witkowski
- **93** Lis
- **94** Mizerski
- **95** Do i od redakcji
- **98** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl ef163c68fb



Narodowe oglądanie

Bartek Chaciński

W okładkowej rozmowie POLITYKI (s. 21) Marek Kondrat mówi: „Sądziłem, że mam z »Lalką« spokój, bo były dwie ekranizacje, w tym Hasa z moim ojcem". I właściwie chyba w większości sądziliśmy, że mamy z „Lalką" spokój. My, czyli kolejne pokolenia tych, którzy na maturze rozprawiali o tym, ile w Wokulskim pozytywisty, a ile romantyka, czy miłość niszczy, czy buduje, albo „jaki jest obraz arystokracji polskiej". A później śmiali się sami z siebie, gdy „Humor zeszytów szkolnych" przedrukowywał kwiatki w rodzaju „Wokulski spotkał Izabelę na spacerze w łazience".

Był czas, żeby się z tym wielkim narodowym czytaniem oswoić. Obie tegoroczne ekranizacje powieści Bolesława Prusa – tę serialową (z Schuchardtem i Drzymalską, miała premierę 16 września) i tę ekranową (z Dorocińskim i Urzędowską, premiera 30 września) – zapowiadano od dawna, przechodnie przyglądali się konkurencyjnym dekoracjom obu produkcji na Krakowskim Przedmieściu, a pasjonaci ustawiali w bibliotekach w kolejce do wypożyczenia książki po latach i ponownej lektury. A jednak skończyło się jak zwykle: wojną polsko-polską z dość typowymi zarzutami profanacji, świętokradztwa i kulturowego wandalizmu, i to już w ciągu 24 godzin od publikacji odcinków serialu Netflixa.

W socialach ostra opinia dawała szanse na szybkie gwiazdorstwo. Dostaliśmy więc reakcję zatroskanej miłośniczki „Lalki", którą – jak opisuje na Filmwebie – wstrząsnęła „arystokracja mówiąca po angielsku, a nie po francusku", czyli nie doczytała oryginału, bo angielski to przecież kluczowy element powieści. Mieliśmy byłego redaktora naczelnego tygodnika opinii, który zobaczył w serialu „politpoprawną, grafomańską lewicową agitkę" – dość zaskakująca reakcja na prezentację XIX-wiecznej myśli feministycznej. Dostaliśmy też szefa prawicowego think tanku, który swój krytyczny werdykt wydał – jak przystało na charakterystyczną dla takich instytucji głęboką analizę – „po obejrzeniu prawie całego odcinka". A wreszcie reakcję polonistki uczestniczącej w akcji sponsora filmowej „Lalki", która napisała – oby nie w ramach akcji – że ta serialowa jest „tania, prostacka i szkodliwa".

I tu widać zjawisko zacierania się granicy między fikcją a światem realnym. Z jednej strony na co dzień mocno popuszczamy wodze fantazji w opisie rzeczywistości (na s. 26 proponujemy opowieść o ludziach wierzących we współczesne podziemne życie dinozaurów), z drugiej – ściągamy cugle fikcji. Nawet poloniści w ferworze dyskusji zapominają, czym jest adaptacja i jakie możliwości otwiera.

Widać w tym także, że spora grupa Polaków nie rozstrzygnęła jeszcze, czy kultura to jest w pierwszej kolejności to, co śledzimy w wolnym czasie dla przyjemności, czy jednak służy głównie do tego, żeby zdać maturę. Problem wykracza nawet poza obie te nowe ekranizacje: sezon „Lalki" namiesza nam w głowach jak u Prusa magnetyzm profesora Palmieriego. W tym samym czasie można bowiem przeczytać książkę Jakuba Jarno (Remigiusza Mroza) o potomkach Łęckiej i Wokulskiego (pisaliśmy o niej w poprzednim wydaniu POLITYKI). A w teatrach zobaczyć „Lalkę '89" z Rampy, przenoszącą opowieść do Warszawy czasów transformacji ustrojowej, albo „Lalkę" w Dramatycznym, dopisującą do oryginału kontekst współczesnej wojny w Ukrainie (o obu piszemy na s. 76 w naszym kwartalnym przeglądzie imprez „Kultura+").

Tu warto się odwołać do słów, które w publikowanym przez nas podkaście (zachęcamy do wizyty na profilu POLITYKI na YouTube) wypowiedział serialowy Wokulski, czyli Tomasz Schuchardt: „Jeżeli jacyś maturzyści wpadną kiedyś na pomysł, żeby po naszej »Lalce« zdawać maturę, to myślę, że jej nie zdadzą – przynajmniej z »Lalki« Prusa". Tymczasem kolejność, w jakiej pojawiają się serial i film, nie ułatwia odbioru. „Wszystko odwrotnie", jak zauważa w innym kontekście (a ja to teraz adaptuję do nowego) Marek Kondrat w naszej rozmowie. Najpierw dostajemy nadbudowę, a później bazę.

Serial traktuje widza jako kogoś, kto dawno już powieść przeczytał, bawiąc się z dojrzałą publicznością jak setki innych współczesnych reinterpretacji klasyki. Co ciekawe, „New York Times" rozszyfrował to w lot, pisząc, że ta adaptacja ma szanse przybliżyć wielką polską powieść milionom widzów poszukującym czegoś w stylu „Bridgertonów" czy „Pozłacanego wieku". Inaczej filmowa „Lalka" w reż. Macieja Kawalskiego – tu współczesnego spojrzenia jest mało, liczy się tekst oryginału i czołówka polskich aktorów (prócz Kondrata – m.in. Krystyna Janda, Andrzej Seweryn, Jan Englert, Agata Kulesza), z małymi mrugnięciami okiem, jak drobna rola reżysera, który występuje jako profesor Palmieri, albo pojawienie się na moment postaci samego Bolesława Prusa.

Co powiedziałby na to ten ostatni? To już inny wielki dylemat, którego uczy kolejne pokolenia polska szkoła: co miał autor na myśli. W wypadku Prusa intencje są znane, bo sam autor je przedstawił, odpowiadając jednemu ze współczesnych sobie krytyków: „przedstawić naszych polskich idealistów na tle społecznego rozkładu". Czy to trudne zadanie udało się autorom filmu i serialu – proponujemy rozsądzić po obejrzeniu, najlepiej w tej właśnie kolejności.

Łatwiej powiedzieć, co robiłby sam Bolesław Prus w 2026 r.: prawdopodobnie, biorąc pod uwagę masowy charakter, emocje i łatwość wywołania narodowej dyskusji, pisałby scenariusze seriali. Suspens utrzymywany z odcinka na odcinek i próba zmierzenia się z tym, co bardzo aktualne, to elementy ducha tej opowieści, publikowanej na początku w odcinkach, w prasie. Wiemy coś o suspensie. Tyle że na co dzień zapewniają go nam politycy i miło raz zmienić przedmiot sporów. Cieszymy się więc, że temat wraca na łamy prasy.

eprasa.pl ef163c68fb

Albatros travel

Albatros 40 lat

Cesarskie miasta Chin

od Placu Niebiańskiego Spokoju po Terakotową Armię

3 posiłki dziennie

Wybierz się w klasyczną podróż objazdową, podczas której przeszłość spotyka się z teraźniejszością w dwóch najbardziej ikonicznych miastach Chin: Pekinie i Xi'an.

Podczas podróży szybkim pociągiem odkryjemy dwa fascynujące oblicza Chin. W Pekinie zobaczymy Zakazane Miasto, Plac Niebiańskiego Spokoju, Świątynię Nieba, Wielki Mur i dzielnicę olimpijską. W Xi'an poznamy Armię Terakotową, skosztujemy lokalnych makaronów, odwiedzimy targ i spróbujemy tai chi. To spotkanie historii z nowoczesnością.

9 dni
Wyloty z Warszawy
06/03, 17/04, 28/08 2027

od **7.998,-**





Klasyczna podróż pociągiem przez Szwajcarię

Poznaj kultowe miasta Szwajcarii: Montreux, Saint Moritz i Lugano – podróżując Ekspresem Lodowcowym (Glacier Express) i Bernina Express.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot na trasie Warszawa – Zurich. Podróż pociągiem do Montreux nad Jeziorem Genewskim. **Dz. 2** Spacer po stylowym Montreux i czas wolny. **Dz. 3** Przejazd Ekspresem Lodowcowym przez przełęcz Oberalp w kierunku St. Moritz. **Dz. 4** Celerina. Wycieczka z pilotem do St. Moritz lub dzień do własnej dyspozycji. **Dz. 5** Ekspresem Bernina do Tirano. Przejazd do Lugano. **Dz. 6** Lugano. Spacer po mieście i czas wolny. Pożegnalna kolacja.**Dz. 7** Przejazd pociągiem Lugano – Zurych. Wylot powrotny do Warszawy.

7 dni | Wyloty z Warszawy 15/05, 05/06 2027
od **12.498,-**



Z Rio de Janeiro do Buenos Aires

Niezapomniana wyprawa przez 3 fantastyczne kraje Ameryki Południowej – Argentynę, Brazylię i Urugwaj.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Rio de Janeiro. Transfer do hotelu. Wycieczka po plażach Rio. **Dz. 3** Rio de Janeiro. Wjazd kolejką na punkt widokowy Głowa Cukru i powitalny obiad. **Dz. 4** Rio de Janeiro. Rejs statkiem po zatoce Guanabara i wizyta w szkole samby (dodatkowo płatne). **Dz. 5** Rio de Janeiro - Góra Corcovado, Pomnik Chrystusa i słynne plaże. Wycieczka do faweli (dodatkowo płatna). **Dz. 6** Czas wolny. Przelot do wodospadów Iguazu. **Dz. 7** Iguazú. Wodospady Iguazú po brazylijskiej stronie. **Dz. 8** Wodospad Iguazú, strona argentyńska. **Dz. 9** Buenos Aires. Zwiedzanie miasta. **Dz. 10** Całodniowa wycieczka do Colonia del Sacramento w Urugwaju. **Dz. 11** Buenos Aires. Zwiedzanie miasta z dzielnicami La Boca i Recoleta (oraz degustacja wina i pokaz tanga z kolacją jako opcja dodatkowo płatna). **Dz. 12** Buenos Aires, Pampa, gauchos i obiad na ranczo (dodatkowo płatne). **Dz. 13** Buenos Aires i powrót do Polski. **Dz. 14** Przylot do Warszawy.

14 dni | Wyloty z Warszawy i Krakowa 16/02, 03/11 2027 | od **21.998,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL37**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

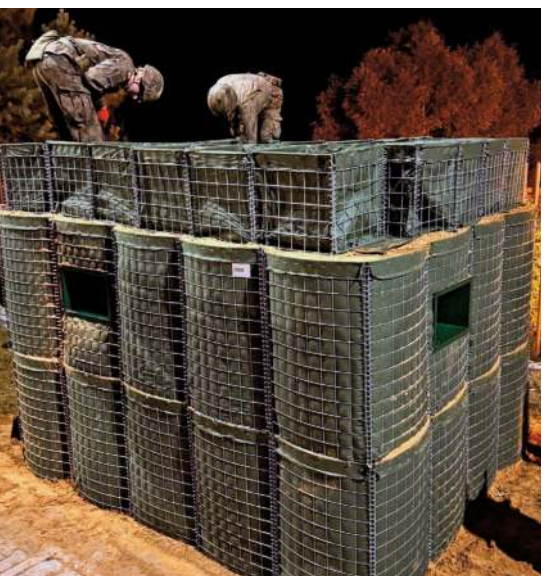
eprasa.pl ef163c68fb

Stan przedwojenny?

Rosja testuje cierpliwość NATO i naszą odporność. Musimy być przygotowani na kolejne prowokacje i ataki.

Donald Tusk zdecydował się przerwać polityczną licytację o to, kto i jakim raportem CIA dysponuje, a wobec niechęci prezydenta do zwołania Rady Bezpieczeństwa Narodowego sam postanowił wyłożyć parlamentarzystom oraz opinii publicznej, jakie zagrożenia przynosi nasilenie rosyjskich ataków na zachodnią Ukrainę.

Dawno nie padło ze strony rządu ostrzeżenie tak poważne. „Późna jesień i zima będą najbardziej krytycznym czasem w dotychczasowej wojnie rosyjsko-ukraińskiej, (...) istnieje realne ryzyko, że na teren któregoś z państw lub kilku państw NATO na wschodniej flance mogą wlatywać drony lub innego typu pociski, dokonywać nawet zniszczeń" – podkreślał premier, opisując scenariusz wcale nienajczarniejszy, ale taki, który nazwał najbardziej prawdopodobnym.



Wzmacnianie posterunku granicznego w Dorohusku

Według przywoływanych analiz wywiadowczych w obecnej fazie wojny Rosja dąży do przerwania szlaków zaopatrzenia Ukrainy biegnących głównie z Zachodu i przede wszystkim przez Polskę. W tym celu uderza w linie kolejowe, transporty, węzły logistyczne, przygraniczne stacje paliw, ale być może nie zawaha się także użyć broni na polskim terytorium, by odciąć dostawy i zastraszyć dostawców.

Demonstracje zdolności już były: uzbrojony dron znaleziony niedawno na bałtyckim wybrzeżu w pobliżu ważnych instalacji wojskowych, pocisk manewrujący wlatujący w lipcu na niemal 100 km w głąb kraju, dronowy rój sprzed roku i wcześniejsze incydenty, w tym słynny pocisk znaleziony pod Bydgoszczą. Rosja już wie, że Polska wciąż nie bardzo sobie radzi z wykrywaniem i zwalczaniem zagrożeń powietrznych i że może być podatna na zastraszanie. Alerty o zagrożeniu z powietrza, jakie od kilku tygodni RCB wysyła do mieszkańców wschodnich województw, czasem wywołują panikę, jednak częściej są zwyczajnie lekceważone, bo z jednej strony „nic się nie dzieje", a z drugiej i tak „nie wiadomo, co robić".

Jeszcze kilka miesięcy temu narzekano, że alertów nie ma. RCB zaktywizowało więc procedury. Teraz jednak krytykuje się, że lokalne władze włączają syreny i nakazują ewakuację budynków, w tym szkół. Tymczasem to lekcja odporności w praktyce, którą warto potraktować jak ćwiczenia. MSWiA zapowiada, że w następnych krokach wdroży system cell broadcast, który pozwoli na alarmowanie za pośrednictwem każdego telefonu komórkowego w określonym zasięgu. Mieszkańcy wschodniej Polski do końca roku będą też mieć do dyspozycji aplikację ostrzegającą o nalotach, podobną do ukraińskiej. Na szczęście na razie więcej strachu od rosyjskich dronów wywołują polskie myśliwce, które z hukiem przekraczają barierę dźwięku, gdy bardzo szybko muszą znaleźć się w strefie, gdzie „coś" mogłoby wlecieć. Takie alarmowe wyloty zdarzają się już niemal codziennie.

Rosyjska presja na Ukrainę odwróciła dotychczasowe reguły: przerwy między falami ataków są teraz krótsze niż ich serie. W dodatku Rosja coraz częściej używa groźniejszej broni: dronów z napędem odrzutowym, które trudniej zestrzelić i które szybciej lecą do celu. O ile na początku września naloty wywoływały konieczność podrywania naszych myśliwców co kilka dni, o tyle w ostatnim czasie trzeba to robić niemal codziennie, z przerwą na „wyborczą" niedzielę (co wykorzystała Ukraina, wysyłając na Moskwę drony).

„Demokratyczne" głosowanie w Rosji to oczywiście fikcja. W Dumie Państwowej umocni się frakcja wojenna, której chodzi o coś więcej niż Ukrainę. Moskwa realizuje cel osłabienia i odepchnięcia NATO, a na horyzoncie widzi korzystne zmiany polityczne, związane z możliwym dojściem do władzy sił radykalnie prawicowych, niechętnych Ukrainie i skłonnych do kompromisu bardziej niż umiarkowani liberałowie czy chadecy. Wojna przeciwko Zachodowi, prowadzona wciąż poniżej progu reakcji zbrojnej, jest narzędziem zastraszania i zniechęcania do wspierania Ukrainy, a szerzej – stawiania oporu rosyjskim żądaniom.

Amerykański Instytut Studiów nad Wojną, znany z drobiazgowych analiz sytuacji na froncie w Ukrainie, przestrzega, że NATO w najbliższej przyszłości musi być gotowe na ataki kinetyczne Rosji, i apeluje, by przestać nazywać rosyjskie akty dywersji i terroru prowokacjami czy działaniem hybrydowym. Zdaniem analityków ISW taki język utrudnia sojusznikom zdecydowaną reakcję i służy tym, którzy boją się „eskalacji". O tym, że Sojusz nie jest tak zjednoczony, jak nam się do niedawna wydawało, wspominał w Sejmie też premier Tusk: „To nie jest tak, że wszyscy politycy na Zachodzie, w Stanach Zjednoczonych czy w Europie myślą o tym, jak bronić Polski, Litwy, Łotwy czy Estonii". Ale nie bacząc na zagrożenie, kilku europejskich liderów pojechało do Kijowa, w Paryżu odbyła się kryzysowa narada, a w Kopenhadze wojskowi dowódcy NATO zapewnili, że mają tysiące stron planów reagowania i nie zawahają się ich użyć.

Niestety równocześnie z Pentagonu wyciekła nowa wersja planu wycofania z Europy kilkudziesięciu tysięcy żołnierzy – co mocno studzi optymizm, że wkrótce do Polski na stałe miałoby ich trafić kilka tysięcy. Polska działa więc na własną rękę i uruchamia bezprecedensową w czasie pokoju operację wojskową na wschodzie kraju. Saperzy, w tym specjaliści od odbudowy lotnisk, mają być w gotowości do reagowania na ewentualne zniszczenia po uderzeniach rosyjskich dronów i rakiet. Na kilkudziesięciu przejściach granicznych z Ukrainą stanęły tymczasowe schrony i ukrycia, przeznaczone dla służb, ale też cywilów, gdy na granicy zastanie ich atak. Rozstawione zostało polowe stanowisko obrony powietrznej, przy granicy rozmieszczono dodatkowe baterie przeciwlotnicze i śmigłowce zdolne do zwalczania dronów, wzmocnione są systemy dowodzenia i rozpoznania. Wojsko ma być gotowe do pomocy w ewakuacji mieszkańców, a także działań poszukiwawczych. Można odnieść wrażenie, że władze przygotowują nas na scenariusz, jaki od początku wojny w lutym 2022 r. jeszcze Polsce nie groził.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

eprasa.pl ef163c68fb

Upadek Ziobry



Tomasz Nałęcz

Historyk, profesor UW, polityk;
doradca prezydenta RP w latach 2010–15.

Afera Zondacrypto nabiera impetu niczym tropikalna burza. Nie ma pewności, czy przekształci się w huragan demolujący naszą prawicę, ale jedno jest już oczywiste. Ujawnione do tej pory fakty oznaczają kompromitację i żałosny upadek Zbigniewa Ziobry. Jego, na wyrost skrojony, wizerunek szeryfa niezłomnie walczącego z korupcją w świecie polityki, powstał ponad 20 lat temu, w czasie prac pierwszej sejmowej komisji śledczej, badającej aferę Rywina. Przypomnijmy, była ona bardzo podobna do afery Zondacrypto. W obydwu przypadkach chciano w przestępczy sposób, za wielką łapówkę, wpłynąć na proces legislacyjny, co jest jednym z najcięższych przestępstw w systemie demokratycznym. Tyle że w aferze Rywina do przekazania pieniędzy nie doszło, bo korupcyjnej hydrze szybko łeb ukręcił Adam Michnik, nagrywając wysłannika zdemoralizowanych polityków. Tu zaś transfer gotówki mamy udokumentowany, a i proces legislacyjny układa się w jeden wielki akt oskarżenia.

Sprawa jest więc o niebo, a właściwie o piekło, poważniejsza. Najpierw prezydent Nawrocki swoim wetem, a potem stojący za nim murem w Sejmie prawicowi posłowie nie dopuścili do wejścia w życie forsowanej przez rząd ustawy mogącej zablokować aferę Zondacrypto. Przestępczy proceder kwitł w najlepsze i wiele osób straciło ogromne pieniądze. Teraz, kiedy mleko się rozlało, politycy prawicy wymyślają kolejne wykręty, by uchylić się od odpowiedzialności za ten skandal. Niewykluczone, że im się to uda, bo Polska jest dzisiaj podzielona na dwa wielkie obozy, zaimpregnowane na informacje ze świata zewnętrznego. Wierzymy tylko swoim i trwamy w przekonaniu, że stawiane im zarzuty to wyssane z palca kłamstwa.

Ziobrę przygważdża jednak dowód trudny do zanegowania nawet przez zatwardziałych wyznawców partyjnej „prawdy": pieniądze przyjęte od ludzi wchodzących w konflikt z prawem. Wiemy ponad wszelką wątpliwość, że główny winowajca afery Zondacrypto przekazał fundacji Ziobry blisko pół miliona złotych, z czego sporą część przeznaczył on na osobiste wydatki. Co więcej, premier Tusk ujawnił, że cała wpłata na rzecz Ziobry miała wynieść 2 mln zł, choć ostatecznie do przekazania 1,5 mln nie doszło.

Przyjęcia pół miliona Ziobro nawet nie kwestionuje. Każe nam tylko uwierzyć, że nie miał pojęcia o ciemnych interesach sprawcy afery Zondacrypto i traktował go jako poważnego przedsiębiorcę i filantropa o wrażliwym sercu. Mówi to wieloletni prokurator generalny, który o środowisku przestępczym dysponuje największą wiedzą w kraju, ciągle trzymający rękę na pulsie, bo aspirujący do ponownego sprawowania tego urzędu. Dobrze pamiętam Ziobrę z komisji Rywina i nie mam najmniejszych wątpliwości, że tamten śledczy bezlitośnie obnażyłby i wyśmiał dzisiejsze swoje tłumaczenia. Ale cóż począć. Tak krawiec kraje, jak mu materiału staje. Najwyraźniej dawnemu „szeryfowi" pozostało już tylko opowiadanie bajeczek adresowanych do najbardziej naiwnych. Tyle że i im wkrótce mogą spaść łuski z oczu, bo przecież śledztwo toczy się nadal i prokuratorzy nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa.

Serial Zonda



Afera Zondacrypto staje się coraz bardziej kłopotliwa dla PiS i jego zaplecza, w tym dla propagandzistów z **Telewizji Republika** – gdzie kryptogiełda ulokowała ponad 37 mln zł, 70 proc. swojego budżetu reklamowego. Dowiedzieliśmy się m.in., że tajemniczym „panem X", który miał obiecywać prezesowi Zondacrypto Przemysławowi Kralowi ułaskawienie przez Karola Nawrockiego, jest szef Republiki Tomasz Sakiewicz. Na jaw wyszła również próba wyciszenia dziennikarskiego śledztwa prowadzonego przez Michała Fuję z TVN24, dotyczącego działalności kryptowalutowej giełdy, w którą to próbę uwikłani byli Sławomir Jastrzębowski oraz Marcin Dobski – obaj związani z Republiką.

Jastrzębowski, według ustaleń wp.pl i TVN24, miał wziąć pieniądze za zneutralizowanie aktywności Fui oraz innych redakcji, które opisywały historię Zondacrypto, jak również podjąć się działań ratujących wizerunek giełdy w zamian za opłacenie przez Krala reklam we wskazanych mediach. Z kolei Dobski – który kilka dni temu wparował do jednego ze stołecznych kościołów półnagi i w stanie wskazującym na odurzenie narkotykami – dyskredytował Fuję w mediach społecznościowych.

Kral poszedł na współpracę z prokuraturą, wiarygodność jego zeznań nie jest stuprocentowa (jako podejrzany może kłamać, realizując swoje prawo do obrony), jednak na ich podstawie prokuratura dokonuje kolejnych zatrzymań w sprawie. (Według „Gazety Wyborczej" Kral miał już usłyszeć zarzuty wyprowadzania pieniędzy z giełdy oraz udziału w zorganizowanej grupie przestępczej; w toku jest też inne śledztwo, w którym Krala podejrzewa się o manipulowanie dowodami).

Jak na razie nie zatrzymano Artura Chodzińskiego, niegdyś dziennikarza, a następnie wysoko postawionego agenta CBA, który przed wyborami w 2015 r. sterował przeciekami z tzw. afery taśmowej. Dwa lata temu Chodziński odszedł ze służby i pośredniczył w kontaktach – szukającego „mocnych ludzi", będących w stanie ukręcić łeb niewygodnym śledztwom – Krala ze Zbigniewem Ziobrą oraz z posłem PiS Michałem Moskalem. Ten ostatni spotkał się z Kralem i wnosił do rządowej ustawy o kryptowalutach poprawki będące na rękę giełdzie. Policja zabezpieczyła materiały w domu Chodzińskiego. Jego ewentualna współpraca z prokuraturą to dla środowiska PiS czarny sen. (MP)

© MON, MATEUSZ KOTOWICZ/REPORTER

eprasa.pl ef163c68fb



W Moskwie pożar. Kreml się cieszy

W wyborach do Dumy – co nikogo nie dziwi – wygrała partia władzy Jedna Rosja. Głosowaniu towarzyszyły zmasowane ataki ukraińskich dronów i pocisków balistycznych. Był to największy nalot od początku wojny. Szczególnym celem była Moskwa. Stolica zasnuła się czarnym dymem, bo drony trafiły w tutejszą rafinerię. Nie przeszkodziło to państwowej propagandzie ogłosić, że wybory parlamentarne były wielką manifestacją jedności i poparcia dla „specjalnej operacji wojskowej", która już piąty rok trwa w Ukrainie. Kto wygra, było wiadomo z góry. Chodziło raczej o to, by pokazać, że partia władzy osiągnie lepszy wynik niż pięć lat temu. Udało się to osiągnąć z rezultatem (według wstępnych danych) 58 proc. – co daje konstytucyjną większość. Dalej była Komunistyczna Partia Federacji Rosyjskiej (14 proc.), nacjonaliści z LDPR (9 proc.), Nowi Ludzie (8 proc.) – formacja stworzona przez Kreml, by odbierać głosy prawdziwej opozycji. Na granicy 5-procentowego progu balansowała socjalistyczna Sprawiedliwa Rosja.

W istocie Rosjanie mieli niewielki wybór. Jedna Rosja i koncesjonowana opozycja różnią się w niewielkim stopniu – popierają wojnę i Władimira Putina. Opozycja prawdziwa, która jak partia Jabłoko sprzeciwia się inwazji, nie została dopuszczona do startu. Wybory były wyzwaniem dla aparatu władzy, który musiał zadbać o frekwencję i o to, by nie było żadnych niespodzianek. Tradycyjnie użyto całej gamy środków administracyjnych – naciskano na pracowników budżetówki, by nie ociągali się z głosowaniem, a gdzie trzeba, do urn dorzucano karty wyborcze (dokumentujące to filmy pojawiły się w internecie).

Wybory odbyły się także na okupowanych przez Rosję ukraińskich terytoriach. Tam do „spełnienia obywatelskiego obowiązku" przekonywali ludzie uzbrojeni w automaty. W rezultacie ogłoszono, że frekwencja w tzw. Donieckiej Republice Ludowej wyniosła 81 proc., u sąsiadów w Ługańskiej RL 79 proc. Lepiej było tylko w Czeczenii (ponad 90 proc.), ale tam już nikt nie dba o pozory.

Dla Putina wojna stała się okazją do wymiany elit. Demokratyczna część społeczeństwa została spacyfikowana, a na życzenie prezydenta na listach wyborczych do Dumy partie umieściły weteranów wojennych. Operację „Wybory" Kreml może uznać za udaną, ale władzy trudno udawać, że wszystko idzie zgodnie z planem. Front zamarł, straty są ogromne, a Ukraina coraz śmielej atakuje rafinerie, magazyny towarów i infrastrukturę. Wyborom towarzyszyły spekulacje, że po ich przeprowadzeniu Putin ogłosi mobilizację – licząc, że wysłanie większej liczby rekrutów na front pozwoli odmienić los wojny.

PAWEŁ RESZKA

Kotwica czy balast?



Najważniejsza partia powojennych Niemiec spadła z równi pochyłej. CDU nie przekroczyła progu w Meklemburgii-Pomorzu Przednim i po raz pierwszy w swej historii nie wprowadzi posłów do landowego parlamentu. Lider chadeckiego ugrupowania i kanclerz federalny **Friedrich Merz** mówi o katastrofie nie do przypudrowania (w zasadzie tak określił sytuację, gdy wynik był jeszcze nieznany, balansował wokół 5 proc. i czterech miejsc w landtagu), ale chce pozostać na stanowisku. Po to, by kontynuować reformy, działać jak „kotwica stabilności w burzliwych czasach" i „antidotum na truciznę autorytaryzmu". Uosabianego oczywiście przez radykalnie prawicową Alternatywę dla Niemiec (AfD), która z wynikiem 38 proc. zameldowała się na pierwszym miejscu. CDU odda też burmistrzostwo w Berlinie, gdzie wyprzedziła ją skrajnie lewicowa Die Linke. Najpoważniejszą kandydatką do kierowania stolicą stała się Elif Eralp, mająca tureckie korzenie specjalistka od prawa azylowego.

Merz kończy bardzo trudny rok wyborczy. Bilans pięciu głosowań na poziomie krajów związkowych jest wyraźnie niekorzystny. Dobre wiosenne wyniki na zachodzie Niemiec (pierwsze miejsce w Nadrenii-Palatynacie, drugie w Badenii-Wirtembergii) nie zrównoważyły jesiennych strat na rzecz AfD na wschodzie, zwłaszcza upokarzającej porażki w Saksonii-Anhalcie, gdzie CDU rządziła nieprzerwanie przez 24 lata. Zwycięzcom brakuje tam kilku miejsc do większości niezbędnej dla utworzenia stabilnego rządu. Trwają targi z BSW, lewicowo-nacjonalistycznym Sojuszem Sahry Wagenknecht, czyli jeszcze niedawno jednej z najbardziej rozpoznawalnych polityczek Die Linke.

W tych warunkach kanclerzowi trudniej będzie utrzymać kurs zmian systemu emerytalnego, podatkowego i opieki zdrowotnej, które miałyby ożywić gospodarkę i tchnąć w Niemców więcej optymizmu. Co będzie tym trudniejsze, że reformy polegają m.in. na podnoszeniu wieku emerytalnego (bo wydłuża się czas życia) i cięciach niektórych świadczeń zdrowotnych (np. na zmniejszeniu dopłat do protez zębowych czy do leków na receptę).

Dotąd Merza ratowało, że kierownictwo partii stało za nim murem i nie było też oczywistego następcy (za najbardziej prawdopodobnego uchodzi Hendrik Wüst, premier Nadrenii Północnej-Westfalii). Jednak partyjne doły są coraz bardziej niezadowolone, czują się zaniedbane i coraz głośniej mówią, że z takim kanclerzem żadnych wyborów już nie wygrają. JW

eprasa.pl ef163c68fb

Sukces odtrąbiony



Donald Trump potrafi tylko w stopniu najwyższym: „pełna kontrola", „na zawsze", „bez żadnych kosztów". Wszystkie te stwierdzenia znalazły się we wpisie prezydenta Stanów Zjednoczonych ogłaszającym jego „największy" sukces w polityce międzynarodowej (w tym miesiącu), czyli uzgodnienie umowy w sprawie Grenlandii. USA, Dania i właśnie półautonomiczna wobec Kopenhagi wyspa ogłosiły w piątek porozumienie, które ma być podpisane w tym tygodniu podczas sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ w Nowym Jorku.

Umowa, której pełnej treści jeszcze nie znamy, ma przekazywać USA „permanentną kontrolę" nad sprawami bezpieczeństwa największej na świecie wyspy. Grenlandia formalnie utrzyma suwerenność, integralność terytorialną, a jej 56 tys. mieszkańców – prawo do samostanowienia. Amerykanie zyskają tam natomiast możliwość znaczącej rozbudowy swojej obecności wojskowej oraz prawo weta na wypadek, gdyby „państwa spoza NATO" (czyli Rosja lub Chiny) chciały zainstalować się zbrojnie na Grenlandii.

Czym różni się to od obowiązującej umowy USA-Dania-Grenlandia z 1951 r. (poprawionej w 2004 r.)? Nie wiadomo. Amerykanie mieli dotąd niemal nieograniczone możliwości, jeśli chodzi o instalacje wojskowe na wyspie, ale sami z nich zrezygnowali. Jak nowa umowa się ma do wcześniejszych zapowiedzi prezydenta USA? Nijak. Już na początku drugiej kadencji Trump w sprawie Grenlandii wywołał jeden z największych kryzysów w historii NATO, niedwuznacznie sugerując, że jeśli Dania nie odda wyspy, sam ją sobie weźmie. Z zapowiedzi w sprawie nowej umowy wynika, że nie ma tam słowa w sprawie amerykańskiej kontroli terytorialnej. Co więcej, nie ma też słowa o przywilejach dla amerykańskich firm przy eksploatacji bogatych złóż surowców pod grenlandzkim lodem.

Nie da się ukryć, że Grenlandia jest kluczowa dla bezpieczeństwa USA. Podczas zimnej wojny Amerykanie mieli tam bazy bombowców nuklearnych dalekiego zasięgu i system wczesnego ostrzegania przed potencjalnym atakiem ZSRR. Dziś wyspa nadal jest ważna ze względu na kontrolę Arktyki i północnych szlaków morskich. Wielu Europejczyków, w tym Duńczycy, świetnie to rozumie i byłoby skłonnych do ustępstw w sprawie wyspy.

Jaki był więc sens straszyć atakiem na sojusznika z NATO, skoro wcześniej można było zawrzeć umowę podobną do tej z piątku? Być może Trump po fatalnym dla siebie miesiącu na Bliskim Wschodzie (m.in. ofensywa Hutich w Jemenie; więcej na s. 46) po prostu potrzebował jakiegoś sukcesu. Przystał więc na duńsko-grenlandzkie warunki i próbuje to sprzedać jako jakikolwiek sukces.

ŁUKASZ WÓJCIK

Kamasze na ochotnika

W bazie lotniczej Orange, z udziałem prezydenta **Emmanuela Macrona**, odbyła się uroczysta inauguracja Służby Narodowej – we Francji po ćwierćwieczu powróciła zasadnicza służba wojskowa. Na początek objęła 3 tys. ochotników, głównie18–19-latków, którzy zasilą 200-tysięczną amię zawodową. Służba trwa dziesięć miesięcy, przysługuje 800 euro żołdu (Belgia ma płacić swoim ochotnikom 2 tys. euro miesięcznie, a Niemcy nawet 2,6 tys. euro). Jeśli nie zdecydują się na karierę wojskową, trafią do liczącej 47 tys. osób rezerwy (która do 2035 r. ma wzrosnąć do 80 tys.). Co roku to ochotnicze wsparcie sił zbrojnych będzie większe, docelowo mówi się o 42,5 tys. dobrowolnych żołnierzy. Każdy rocznik otrzyma swojego patrona, pierwszym został Henri Fertet z francuskiego ruchu oporu, który jako 16-latek zginął rozstrzelany w 1943 r.

Odkąd wojsko przestało być przymusowe, systematycznie zyskuje społeczną sympatię. Opinia publiczna jest zdecydowanie za ochotniczym poborem, ale nie za służbą powszechną. Rośnie też atrakcyjność kamaszy – jako drugi wybór życiowy po niepowodzeniach osobistych i akademickich – opowiada w „Le Monde" socjolożka armii Christel Coton. W obecnym poborze jest 900 ochotniczek, a do rozmaitych testów rekrutacyjnych przystąpiło 90 tys. chętnych. Ten miły klimat zmroziły przestrogi szefa sztabu gen. Fabiena Mandona, że wobec zagrożeń płynących z Rosji „brakuje ducha poświęcenia", a ojczyzna może stanąć przed perspektywą „utraty dzieci". W ślad poszła oficjalna riposta, że ochotnicza służba będzie odbywana co najwyżej we francuskich terytoriach zamorskich.



Podobne procedury wprowadza wiele europejskich armii – taki klimat. Do poboru, zawieszonego w 2011 r., szykują się Niemcy. Na razie wszyscy 18-latkowie obowiązkowo wypełniają kwestionariusz motywacyjny, a w 2027 r. wybrani przejdą kwalifikację; ochotniczy korpus ma liczyć 20 tys. Dania w obowiązku służby wojskowej zrównała obie płcie. Trwa 11 miesięcy i pierwszeństwo mają ochotnicy (gdyby ich zabrakło, resztę się dolosuje). Uzupełniające losowanie wprowadziły Litwa i Łotwa, ale dotyczy tylko mężczyzn. Przywróciły rekrutację m.in. Bułgaria, Rumunia, Belgia, Holandia i Szwecja. Natomiast Finlandia, Estonia, Grecja, Cypr i neutralna Austria nie zniosły obowiązku. Szwajcarzy odrzucili w referendum postulat obowiązkowej służby dla kobiet, ale mężczyznom objętym obowiązkiem szkolenia wojskowego ograniczyli możliwość służby zastępczej. Hiszpania i Wielka Brytania ogłosiły, że na razie nie planują poboru. A Polska?

WP

© STRINGER/REUTERS/FORUM, MAJA HITIJ/GETTY IMAGES, CHARLES MCQUILLAN/GETTY IMAGES, PHILIPPE MAGONI/POOL/EPA/PAP

Ceny paliw WYŻEJ



© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl ef163c68fb

Do wszystkich lęków, z którymi musimy żyć, obok Putina, Trumpa, widma wojny, inflacji i kryzysu klimatycznego, doszedł kolejny: lęk przed drożejącym paliwem i kryzysem energetycznym. Aż strach się bać.

ADAM GRZESZAK

„Ceny diesla na polskich stacjach najwyższe od ponad 20 lat! Dla przypomnienia: w 2022 r., po ataku Rosji na Ukrainę baryłka ropy była po 120 dolarów, dolar po 4,4 zł, a diesel kosztował 7,6. Teraz baryłka oscyluje około 100 dolarów, dolar jest znacznie tańszy – 3,7 zł, a za diesel trzeba płacić niemal 9 zł!" – alarmuje na swoim profilu X Daniel Obajtek, były prezes Orlenu, a dziś prominentny polityk PiS i europoseł. Najwyraźniej zapomniał już, że po ataku Rosji na Ukrainę kierowany przez niego Orlen nadal kupował ropę w Rosji, dużo tańszą i przesyłaną najtańszym środkiem transportu, czyli rurociągiem Przyjaźń. Obajtek jak długo mógł, trzymał się swoich rosyjskich dostawców i to finalnie oni, a nie Orlen przerwali współpracę.

A kiedy zaczął dywersyfikować dostawy, wydarzyła się afera, którą ze zdumieniem opisuje dziś światowa prasa. Obajtek stworzył w Szwajcarii spółkę Orlen Trading Switzerland (OTS), która miała kupować ropę. Pierwsza okazja pojawiła się w Wenezueli i OTS tak ją kupowała, że wydała 230 mln dol., nie otrzymując prawie nic z obiecywanego surowca. Dziennikarze „Financial Times", którzy aferę szczegółowo prześledzili, byli zaszokowani gigantycznymi transakcjami rozliczanymi w kryptowalutach zapisanych na pamięciach USB, przechodzących z rąk do rąk jakichś mętnych postaci w restauracjach w Caracas. W efekcie „wyścig po ropę naftową i kryptowaluty przerodził się w jeden z największych skandali korporacyjnych w historii Polski" – konkludują na łamach „FT". Orlen swoje straty oszacował na 1,5 mld zł, śledztwo w toku. I te pieniądze do kogoś trafiły.

Obajtek związał też Orlen z saudyjskim koncernem Saudi Aramco, sprzedał mu – jak twierdzą eksperci, za bezcen – część Rafinerii Gdańskiej i polskiego rynku paliwowego w zamian za wieloletni kontrakt na dostawy ropy z Zatoki Perskiej. W ubiegłym roku saudyjska ropa stanowiła blisko połowę polskiego zaopatrzenia w ten surowiec. A dziś Orlen rozpaczliwie szuka innych źródeł, bo saudyjskie gwałtownie wysycha.

Trzymani za gardło

Wszystko za sprawą wojny, jaką USA i Izrael rozpętały w Zatoce Perskiej, atakując Iran. Od marca świat zmaga się z gospodarczymi skutkami konfliktu, który doprowadził do zablokowania cieśniny Ormuz. To wąskie gardło na szlaku, którym przed wojną przepływała ropa, gaz LNG i produkty ropopochodne produkowane przez kraje Zatoki Perskiej. Każdego dnia cieśninę pokonywało 100–130 statków, w większości supertankowców, a każdy mógł pomieścić ok. 2 mln baryłek. W sumie świat kupował tu 10 proc. potrzebnej mu ropy. Iran uznał, że blokada cieśniny to potężna broń, którą może szantażować świat z nadzieją, że ten wpłynie na prezydenta Trumpa i zmusi go do zakończenia konfliktu.

Na razie to nie zadziałało. Niewzruszony Donald Trump zapewnia, że wojnę właściwie wygrał, a cieśnina jest otwarta i chroniona przez US Navy, choć przemyka przez nią od kilku do kilkunastu statków dziennie. I to z duszą na ramieniu, ryzykując, że spadnie na nie dron, rakieta albo wylecą na minie morskiej. Niektóre przepływają z wyłączonymi transponderami, by trudniej je było namierzyć. Nie wszystkim się udaje, dlatego ubezpieczyciele żądają od armatorów astronomicznych pieniędzy za polisy.

Producenci z Zatoki Perskiej rozpaczliwie poszukują więc alternatywnych szlaków eksportu ropy. Arabia Saudyjska, największy na świecie eksporter ropy, wykorzystuje w tym celu ropociąg Wschód–Zachód przecinający Półwysep Arabski aż do portu Janbu nad Morzem Czerwonym. Spora część saudyjskiej ropy (4–5 mln baryłek dziennie) mogła dotychczas tą drogą trafić do Janbu. Trwała też pospieszna rozbudowa rurociągu, by zmniejszyć zależność od transportu przez Ormuz.

Z Janbu tankowce mogą popłynąć na południe przez cieśninę Bab al-Mandab na Ocean Indyjski i dalej do odbiorców azjatyckich albo na północ, przez Kanał Sueski na Morze Śródziemne i do Europy. Część ropy omija kanał i egipskim rurociągiem Sumed dociera do terminalu Sidi Kerir koło Aleksandrii już nad Morzem Śródziemnym. Z tego terminalu saudyjską ropę odbierał ostatnio Orlen.

Ale to się na razie skończyło, gdy Arabia Saudyjska postanowiła aktywnie włączyć się do wojny domowej w sąsiednim Jemenie (piszemy o tym więcej na s. 46). Jej lotnictwo zaatakowało Hutich, czyli bojowników popieranego przez Iran ugrupowania Ansar Allah. W odpowiedzi Huti zaatakowali jemeńskie siły rządowe i zajęli tereny nad Morzem Czerwonym. Praktycznie kontrolują teraz cieśninę Bab al-Mandab (po arabsku Brama Łez) prowadzącą z Oceanu Indyjskiego do Kanału Sueskiego. To kluczowy dla świata szlak transportu morskiego nie tylko ropy i produktów naftowych, Bab al-Mandab zaś to bardzo wąskie gardło na tym szlaku.

Na razie Huti zapowiedzieli, że ruch przez cieśninę może odbywać się bez ograniczeń z wyjątkiem statków saudyjskich, których nie przepuszczą. Dla Aramco to problem, bo ma flotę własnych supertankowców. Nie wiadomo też, ▶

© PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl ef163c68fb

▶ czy Huti nie zechcą, jak Irańczycy w Ormuzie, pobierać myta, co zwiększy koszty transportu. W dodatku ostatnio zaktywizowali się somalijscy piraci. Znów atakują statki i to tym razem daleko od wybrzeża, korzystając z informacji i zaawansowanych broni, których dostarczają im Huti. W zamian piraci muszą się dzielić z nimi okupami.

Brama Łez

Kiedy Huti przejmowali kontrolę nad Bab al-Mandab, atak dronów zniszczył w Arabii Saudyjskiej przepompownię ropy na rurociągu Wschód–Zachód, w rejonie Rijadu i Medyny. Tranzyt surowca ustał, Aramco zawiesiło dostawy, powołując się na siłę wyższą. Eksperci oceniają, że odbudowa instalacji zajmie kilka miesięcy. No i nie ma pewności, czy znów ktoś (drony przyleciały od strony Iraku) ropociągu nie uszkodzi. Bo wkrótce po tym ataku nastąpił kolejny. Huti zaatakowali terminal Aramco w Janbu (są tam duże magazyny ropy) i poważnie go uszkodzili. Aramco na razie tego nie potwierdziło, ale ogłosiło, że w październiku odbiorcy europejscy na dostawy nie mają co liczyć.

Pod wrażeniem ataku cena ropy skoczyła do ponad 120 dol., ale potem nieco spadła, gdy Aramco ogłosiło, że będzie wysyłało przynajmniej część ropy przez Ormuz do odbiorców azjatyckich. Logistyka jest skomplikowana, bo surowiec jest wożony małymi statkami przez cieśninę i w Zatoce Omańskiej przeładowywany na tankowce. Nie wiadomo, czy Saudyjczycy płacą Iranowi myto, czy też liczą, że na małe statki szkoda będzie Irańczykom dronów. Ropa wciąż utrzymuje się powyżej 100 dol. za baryłkę.

Rynek już nie reaguje na uspokajające deklaracje Donalda Trumpa, że Iran niebawem skapituluje, umowa zostanie zawarta i sprawa rozwiązana. Ani na tłumaczenie, że cenom paliw winna jest Ukraina, która niszczy rafinerie w Rosji. Cena ropy rośnie, bo bufor chroniący gospodarkę świata maleje. Rezerwy strategiczne gromadzone przez największe kraje zostały zużyte, a Chiny, które w pierwszej fazie konfliktu radykalnie zmniejszyły swój popyt, znów zwiększają zakupy ropy.

„Od wielu lat czy dekad nie mieliśmy tak skrajnie trudnej i nieprzewidywalnej sytuacji" – przyznał w radiowym wywiadzie minister aktywów państwowych Wojciech Balczun. „W związku z sytuacją na rynku surowcowym Grupa ORLEN od piątku zakontraktowała 16 dodatkowych dostaw na kierunku polskim, czeskim i litewskim, m.in. z Norwegii, Wielkiej Brytanii, Algierii, Kazachstanu, Azerbejdżanu i obu Ameryk" – uspokaja na swoim profilu X polski koncern.

Zdaniem Adama Sikorskiego, prezesa Grupy Unimot, największej niezależnej polskiej grupy multienergetycznej, sytuacja na rynku ropy jest trudna, ale nie ma jeszcze powodów do paniki. – *Dziś istotne jest nie tylko to, skąd można pozyskać surowiec, lecz również jak długo utrzymają się obecne zakłócenia i jak duża będzie globalna konkurencja o gotowe paliwa* – tłumaczy prezes Sikorski. Jego zdaniem większym problemem jest sytuacja na rynku gotowych produktów naftowych. Bo ropa jest surowcem, który trzeba przetworzyć, a od 2009 r. w Europie zamknięto 35 rafinerii, co oznacza spadek mocy rafineryjnych o ok. 20 proc.

Diesel napędza świat

Unia Europejska pozostaje wyjątkowo uzależniona od importu niektórych paliw, a przede wszystkim oleju napędowego i paliwa lotniczego. Także Polska, bo choć nasze rafinerie w ostatnich latach rozbudowywano, a nie zamykano, to i tak 35 proc. oleju napędowego musimy importować. Do tego dochodzą wojenne ograniczenia pracy części instalacji na Bliskim Wschodzie, które wcześniej zaopatrywały odbiorców europejskich. Deficyt dodatkowo pogłębia Rosja, która była znaczącym eksporterem paliw, zwłaszcza oleju napędowego. Ukraińskie ataki na rosyjskie rafinerie sprawiły, że Rosja choć pozostaje eksporterem ropy, to gotowe paliwa musi sama importować, co stanowi dodatkowy impuls windujący ceny oleju napędowego, paliwa, które płynie w żyłach światowej gospodarki, i bez niego nie jest ona w stanie funkcjonować.

Transport ciężarowy, rolnictwo, budownictwo, transport morski, kolej – wszystko wymaga ciężkich destylatów naftowych. Ten popyt rośnie szczególnie jesienią w związku z pracami polowymi w rolnictwie i ze zbliżającą się zimą, która nakręca zapotrzebowanie na olej opałowy. I to jest reguła dotycząca całego świata, nawet USA, gdzie cena oleju napędowego przebiła granicę 6 dol. za galon. To amerykański rekord wszech czasów. Podobnie jak cena oleju opałowego, bliskiego kuzyna diesla. Amerykańscy analitycy przewidują 30-procentowy wzrost cen z powodu wojny z Iranem. Prezydent Trump chce zmusić koncerny naftowe, zwłaszcza gigantów big oil, do budowy rafinerii, bo od 1977 r. w USA nie powstał żaden tego typu zakład, zamknięto za to połowę istniejących. Liczy, że to rozwiąże problem, ale koncerny naftowe nie palą się do tego, bo to niewdzięczny i mało perspektywiczny biznes. Także jego zachęty do większego wydobycia pod hasłem „drill, baby, drill" (wierć, kochanie, wierć) nie przynoszą efektu. Big oil wydają więcej na dywidendy niż na inwestycje.

Kaprysy nieobliczalnych

Kryzys naftowy prowadzi do protestów społecznych w wielu krajach. W Syrii paliwowa drożyzna wywołała największe demonstracje od upadku reżimu Asada. W Gwatemali kierowcy ciężarówek zablokowali autostrady, podobnie dzieje się w Boliwii. Portugalska Liga Strażaków (LBP) bije na alarm, że rosnące ceny paliw zmuszają do ograniczania działalności straży pożarnej. We Francji protestują rybacy, w Polsce zaś m.in. aktywiści ekologiczni. Na dystrybutorach na warszawskich stacjach paliw rozlepili naklejki z podobizną Donalda Trumpa i napisem „To moja robota". „Dopóki jako kraj będziemy zależni od importu gazu, ropy i węgla, dopóty będziemy podatni na kolejne kryzysy energetyczne. Nasi rządzący muszą wreszcie zrozumieć, że w naszym najlepszym interesie jest jak najszybsza budowa odnawialnych źródeł energii. Każdy wiatrak, każdy panel słoneczny i każdy magazyn energii wzmacniają odporność naszego państwa na kaprysy nieobliczalnych i niebezpiecznych polityków, takich jak Trump czy Putin" – przekonywał Krzysztof Cibor, szef zespołu kampanii w Greenpeace Polska.

– *Drożejące paliwo to dla polskich firm transportu drogowego spory problem. W krótkim terminie wywoła to wzrost*

eprasa.pl ef163c68fb



Na dystrybutorach warszawskich stacji pojawiły się naklejki z podobizną Trumpa i napisem „To moja robota"

kosztów usług, w dłuższym – zmniejszoną dostępność transportu, bo nie wszyscy przewoźnicy drogowi (a mamy ich w Polsce ok. 100 tys.) *utrzymają się na rynku. To spowoduje dodatkowy impuls do wzrostu cen i przełoży się na inflację. Trzeba pamiętać, że 80 proc. przewozów towarowych w Polsce odbywa się samochodami ciężarowymi* – wyjaśnia Maciej Wroński, prezes Związku Pracodawców „Transport i Logistyka Polska".

Wina Tuska?

1 września ceny paliw na polskich stacjach poszły ostro w górę, bo tego dnia zakończyła się druga edycja rządowego programu CPN, czyli Ceny Paliw Niżej. To była tuskowa tarcza antyinflacyjna, która miała w czasie wakacji chronić kierowców przed skutkami wojny na Bliskim Wschodzie.

Program CPN kosztował budżet ponad 5 mld zł i minister finansów Andrzej Domański zapowiedział, że dalsze subsydiowanie cen paliw jest niemożliwe, o ile nie dołożą się koncerny paliwowe, czyli głównie Orlen (ale też operujące na polskim rynku prywatne firmy paliwowe i koncerny zagraniczne, jak MOL, BP, Shell, Unimot czy Circle K). Jako źródło finansowania miał służyć podatek od nadmiernych zysków (windfall tax). Bo zyski branża notuje dziś ogromne. Orlen w pierwszym półroczu tego roku zarobił 15,8 mld zł, 10 mld zł więcej niż w tym samym okresie ubiegłego roku.

Ustawę zablokował prezydent Nawrocki, odsyłając ją do Trybunału Konstytucyjnego z argumentem, że ustawa działa wstecz, bo dotyczy także już osiągniętych nadzwyczajnych zysków, i że uderza w „przedsiębiorców paliwowych". Zaprotestowały też niezależne firmy naftowe niepodlegające nadzorowi ministra aktywów państwowych. One wprawdzie nie mają nic przeciwko opodatkowaniu nadzwyczajnych zysków od marca, ale niepokoi je zapisana w ustawie metoda liczenia. Tworzy ona ryzyko, że w niektórych sytuacjach podatek będzie większy od całego osiągniętego zysku (teoretycznie ma to być 60 proc. nadmiarowych zysków).

Rząd nie rezygnuje i zamierza przetestować prezydenta raz jeszcze, przyjmując nową ustawę w niemal niezmienionej postaci, zarówno jeśli chodzi o retroaktywność, jak i metodę naliczania podatku. Jeśli Nawrocki powtórnie ją zablokuje, weźmie na siebie odium tego, który stanął po stronie koncernów i zafundował rodakom olej napędowy po 10 zł za litr. Bo taka cena w perspektywie najbliższych tygodni rysuje się coraz wyraźniej. Dlatego przekonanie Polaków, czy winny jest Tusk, czy Nawrocki (bo przecież nie Trump), będzie dla rządzącej koalicji tak ważne. Zwłaszcza że już trzeba myśleć nie tylko o nadchodzącej zimie, ale też o przyszłorocznych wyborach.

Dostrzegł to także prezydent, dlatego sięgnął po metodę, którą stosował w przypadku programu SAFE – ogłosił, że ma własny, lepszy pomysł na tanie paliwo dla Polaków. Swój program nazywał Paliwa Kosztują Normalnie (PKN rozszyfrowuje się także jako Prezydent Karol Nawrocki), a polega on na administracyjnej kontroli cen. Prezydent uważa, że jeśli rząd narzuci producentom i importerom paliw odpowiednio niskie marże, to paliwo będzie tanie. Jak to działa w praktyce, mogliśmy się przekonać w 2023 r., gdy rząd PiS postanowił kontrolować ceny i w efekcie paliwa zaczęło brakować. Kierowcy pamiętają jeszcze masowo „psujące się" orlenowskie dystrybutory i napisy „przepraszamy awaria". Tak maskowano puste zbiorniki.

Dziś jednak najważniejsze pytanie brzmi: jak drogie paliwa i ropa wpłyną na sytuację gospodarczą? Inflację na szczęście udawało się dotychczas trzymać pod kontrolą, ale wrześniowy skok cen paliw i wszystkich nośników energii musi się odbić na ogólnym poziomie cen konsumenckich. W rozmowie z portalem money.pl Ludwik Kotecki, członek Rady Polityki Pieniężnej, ocenił, że inflacja może wkrótce przekroczyć 4 proc. (niektórzy ekonomiści prorokują nawet 5 proc.), a wtedy RPP „będzie musiała poważnie zastanowić się nad tempem i skalą podwyżek stóp procentowych, być może począwszy już od listopada". O ile oczywiście wojna w Zatoce Perskiej nie skończy się w listopadzie – przed wyborami do Kongresu USA – jak prorokuje Trump. Ale w jego proroctwa już mało kto wierzy.

ADAM GRZESZAK

© GREENPEACE POLSKA

eprasa.pl ef163c68fb



Plus daje minus

WOJCIECH SZACKI

Dwa miesiące po rozłamie w PiS obie strony są w kryzysie. PiS jest pogubiony, a Rozwój Plus ledwo wystaje ponad próg wyborczy.

Piątek, 18 września, tuż po godz. 10. Sejm wybiera na wicemarszałka Marcina Horałę z Rozwoju Plus, w głosowaniu przepada kandydat PiS Marcin Ociepa. Zdecydowały głosy koalicji rządzącej; Sławomir Nitras (KO) z mównicy sejmowej porównuje PiS i Rozwój Plus do dżumy i cholery, ale zauważa, że cholerę da się czasem okiełznać.

Szef klubu PiS Mariusz Błaszczak nazywa stowarzyszenie Mateusza Morawieckiego „koncesjonowaną opozycją". Politycy z partii Jarosława Kaczyńskiego zarzucają media społecznościowe grafikami z Morawieckim jako sojusznikiem i przyszłym koalicjantem Donalda Tuska. Kandydat PiS na premiera Przemysław Czarnek w swym niepodrabialnym stylu pisze: „Marcin Horała wicemarszałkiem postkomunistycznej lewicy Czarzastego. Maski opadły". Kaczyński uzupełnia: „Długo się zastanawiałem, dlaczego M. Morawiecki rozbił PiS. Dziś już wiemy, że oprócz osobistych ambicji celem było rozpoczęcie rozmów z Tuskiem. I są już tego pierwsze owoce: wicemarszałek dla Rozwoju Plus wbrew wszelkim regułom parlamentarnym. To przykre, ale ta sytuacja wiele wyjaśnia wyborcom: Konfederacja dopuszcza koalicję z Tuskiem, a M. Morawiecki już się z nim układa. Więc czas na powrót do PiS! Jedynej siły, która może powstrzymać Tuska!". Wiceprezes PiS Patryk Jaki pisze zwięźlej o „Zdrajcach plus".

PiS niby się oburza, ale w partii panuje radość, że Rozwój Plus dał pretekst do ataku. Grafiki o porozumieniu rozłamowców z Tuskiem zostały przygotowane zawczasu; od dawna było jasne, że koalicja rządząca poprze Horałę, by ożywić konflikt Morawieckiego z Kaczyńskim.

Krótko po głosowaniu następuje kontratak PiS – do klubu wraca z Rozwoju Plus lubelski poseł Sławomir Skwarek, który rano z rozpędu głosował jeszcze na Horałę, ale sercem był już ponownie w PiS. Klub poselski Rozwoju Plus stopniał zatem do 40 osób, a PiS

© DAWID WOLSKI/EAST NEWS

eprasa.pl ef163c68fb

urósł do 147. Skwarek występuje w Sejmie na konferencji z Kaczyńskim i posłami PiS, dostaje oklaski, wzruszenie odbiera mowę.

Krajobraz po rozwodzie

Od rozłamu w PiS minęły dwa miesiące. Słabują obie strony. Notowania PiS spadły poniżej 20 proc. nawet w jego wewnętrznych sondażach. Kaczyński kompletnie nie radzi sobie z aferą Zondacrypto; PiS pogrążają informacje o pieniądzach dla fundacji związanej ze Zbigniewem Ziobrą, o wyjeździe na Ibizę i spotkaniu z szefem Zondacrypto Przemysławem Kralem posła Michała Moskala, o licznych kontaktach ludzi TV Republika z Kralem. Współpraca tego ostatniego – reprezentowanego przez posła KO i mecenasa Romana Giertycha – z prokuraturą zdaje się zapowiadać, że niewygodnych dla PiS informacji, dokumentów, screenów z telefonów, a może i nagrań będzie więcej.

PiS broni się nieudolnie; próby przerzucania odpowiedzialności za aferę na Tuska mogą zadowolić jedynie najwytrwalszych wielbicieli Kaczyńskiego. W PiS uderzają zresztą w sprawie Zondacrypto także Morawiecki, Krzysztof Bosak czy były szef BBN Sławomir Cenckiewicz.

PiS skarlał. Organizuje spotkania, konwencje programowe, stara się promować młodszych polityków, ale brakuje mocy i chwytliwych pomysłów. Zaburzona została równowaga w partii, której ton nadają teraz maślarze. Kaczyński – w kontekście Rozwoju Plus – przekonuje wprawdzie, że „nic nam nie ubyło", europoseł Joachim Brudziński – zawsze lojalny – nazywa go bezdyskusyjnym liderem prawicy, ale silnik partii ewidentnie się zatarł.

Do mediów przebijają się głównie co dziwniejsze zachowania posłów PiS, jak heroiczne forsowanie ogrodzenia Akademii Wymiaru Sprawiedliwości przez posła Dariusza Mateckiego czy szczekanie posłanki Dominiki Chorosińskiej w Sejmie; potęguje to wrażenie, że formacja Kaczyńskiego odkleiła się od rzeczywistości i weszła w fazę histeryczną.

Jeżeli prezes osobiście namawia radnego miejskiego z Lublina, żeby z Rozwoju Plus wrócił do PiS, to widać, czym musi się teraz zajmować jeszcze niedawno jeden z najważniejszych polityków w Polsce. Kandydatem na premiera pozostaje Czarnek, który w rankingu zaufania do polityków zajmuje przedostatnie miejsce, wyprzedzając jedynie Grzegorza Brauna.

Ale swoje kłopoty ma też Rozwój Plus, który popiera 5–7 proc. wyborców. Morawiecki mówił kiedyś o pułapce średniego rozwoju, w którą wpadła Polska, ale dziś te słowa pasują do jego powstającej partii. Rozstanie byłego premiera z PiS jest olbrzymim problemem politycznym dla Kaczyńskiego, ale to nie znaczy, że równie gigantyczny sukces stał się udziałem Morawieckiego. Na razie przegrywają obaj – prezes PiS traci pozycję dominującą na prawicy, a jego wychowanek ma w perspektywie nieprzyjemne zderzenie z progiem wyborczym. Odrębna tożsamość Rozwoju Plus jest wciąż w powijakach. Wyrazistych pomysłów brakuje, śmiałych i nieoczywistych posunięć też nie widać.

Plus na boisku PiS

Co słychać u Morawieckiego poza tym, że udało mu się z posła Horały zrobić wicemarszałka Horałę? Były premier jeździ po Polsce i spotyka się z wyborcami. Tylko w zeszłym tygodniu w towarzystwie zmieniających się posłów Rozwoju Plus odwiedził Lućmierz (woj. łódzkie), Siemiatycze (woj. podlaskie) i Trzebinię (woj. małopolskie).

Niewykluczone, że ktoś kiedyś poradził Morawieckiemu – zmagającemu się z wizerunkiem sztywnego technokraty – żeby starał się mówić nieco barwniej. Efekty przeszły najśmielsze oczekiwania i wystąpienia byłego premiera składają się teraz niemal wyłącznie z metafor. Bywa, że nieoczywistych i na bakier z aktualnym stanem wiedzy („pieniądze wsiąknęły jak Amazonka w piaski Sahary"), przeważnie jednak dość oklepanych: „finanse dziurawe jak durszlak", „skończyła się jazda na oślej łączce, zaczął się slalom gigant", „na taką glebę chcę rzucić ziarno rozwoju".

Gdy lider Rozwoju Plus chwalił się swą niezłomnością w relacjach z Komisją Europejską, rzucił: „śmiałem im się w kułak", co sensu nie miało już żadnego, bo śmiać się można komuś w twarz, a w kułak co najwyżej sobie, żeby ten śmiech ukryć.

Spotkanie z niespecjalnie licznym gronem słuchaczy w Lućmierzu Morawiecki zakończył zaś apelem: „żebyśmy byli budzikiem, żebyśmy pieśń rozwoju i patriotyzmu zanieśli w Polskę".

Tych kilka cytatów warto było przytoczyć nie po to, by znęcać się nad deficytami retorycznymi Morawieckiego. Dalece poważniejszym kłopotem wydaje się bowiem brak treści, a ściślej – brak treści nowej. Niemal identyczne przemówienie mógłby Morawiecki wygłosić pół roku temu, gdy był politykiem PiS. Jeśli słuchacze zastanawiają się, dlaczego były premier tworzy teraz osobny byt polityczny, to on tego nie wyjaśnia, nie tłumaczy też, co właściwie odróżnia go od Kaczyńskiego. „Jesteśmy po to – powiada – żeby Donald Tusk nie miał kolejnej kadencji. Stanowimy – dodaje – część obozu patriotycznego (na który składają się PiS, Rozwój Plus i Konfederacja plus Karol Nawrocki). Chcemy, by wrócił taki rząd, na którego czele ja stałem".

Morawiecki krytykuje Unię Europejską, pakt migracyjny, transformację energetyczną. Broni swojego dorobku – a więc także dorobku PiS. Podkreśla, że był nieustępliwy w relacjach z „kosmopolitami" z Unii Europejskiej, że uszczelnił finanse publiczne, że doprowadził wraz z ministrem Januszem Cieszyńskim do cyfryzacji usług publicznych, że wspierał samorządy w małych miastach i na wsi, gdy Tusk dbał tylko o metropolie.

Plan Morawieckiego

Rozmówcy POLITYKI z otoczenia Morawickiego twierdzą jednak, że krok po kroku realizują przemyślaną strategię. – *Wciąż wielu wyborców prawicy nie wie, że doszło do rozłamu. Musimy teraz zachowywać się bardzo ostrożnie, bo większość naszych zwolenników wywodzi się z elektoratu PiS. Na tym etapie musimy przede wszystkim utrzymać ich przy nas, nie pozwolić PiS, by przykleił nam łatkę zdrajców. Dlatego nie akcentujemy różnic programowych; ewentualnie pokazujemy, że różnimy się stylem działania* – mówi polityk Rozwoju Plus. Dodaje, że z czasem, gdy stowarzyszenie okrzepnie w sondażach, zacznie szukać głosów także poza PiS; wtedy przyjdzie moment na pokazanie większej odrębności.

Można też domniemywać, że ostrożna wobec PiS retoryka Morawieckiego wynika z lęku o spoistość nowo powstałego klubu; część jego posłów nie porzuciła Kaczyńskiego z powodu różnic ideowych, lecz dlatego, że skonfliktowali się z lokalnymi władzami partii. Gdyby teraz Morawiecki wykonał jakiś gwałtowniejszy zwrot, część klubu mogłaby się wykruszyć.

Na razie zatem posłowie Rozwoju Plus głosują niemal identycznie jak klub PiS. Spór o fotel wicemarszałka był personalny, nie programowy. ▶

eprasa.pl ef163c68fb

GALERIA POLITYKI



MAX SKORWIDER

▶Morawiecki po rozstaniu z PiS zajął się przede wszystkim budową struktur. Chęć wstąpienia do stowarzyszenia zgłosiło podobno ponad dwa tysiące osób; deklaracje te są teraz weryfikowane. Secesjoniści chcą uniknąć losu swoich poprzedników, którzy ich zdaniem zaniedbali pracę w terenie i skupiali się na występach w mediach.

Od końca sierpnia zaczęły się więc pojawiać informacje o transferach do Rozwoju Plus na poziomie samorządów – głównie miejskich i powiatowych. Kilku radnych miejskich w Lublinie, kilku w Przemyślu i Bydgoszczy. Gdzieniegdzie powstały już kluby radnych Rozwoju Plus, choć jeszcze nie na poziomie sejmików.

Ze stowarzyszeniem Morawieckiego związała się też garść prezydentów i burmistrzów. Zrobili to np. prezydent Kalisza Krystian Kinastowski, Tomaszowa Mazowieckiego Marcin Witko czy Mysłowic Dariusz Wójtowicz.

Kolejne nazwiska mają być ogłaszane w ciągu najbliższych dni. – *Oceniam, że w moim regionie dołączy do nas 20–30 proc. radnych wybranych z list PiS* – mówi polityk Rozwoju Plus. Zwieńczeniem tej ofensywy lokalnej będzie kongres samorządowy 26 września w Tomaszowie Mazowieckim z udziałem kilkuset osób.

Morawiecki stawia na samorządowców, bo chce ich wciągnąć na listy wyborcze. Liczy na to, że każdy z nich – znany w swoim okręgu – przyniesie trochę głosów. Budowa silnych list dla nowej formacji to wyzwanie, bo w skali kraju trzeba wystawić ok. 900 kandydatów. A Rozwój Plus w wielu okręgach nie ma nawet posłów.

Seria transferów z PiS do Rozwoju Plus ma też pokazać, że inicjatywa żyje, że wielu samorządowców widzi w niej przyszłość.

Zdobycie przyczółków w samorządach jest dla Morawieckiego ważne jeszcze z jednego powodu. Liderzy Rozwoju Plus diagnozują, że elektorat prawicowy tęskni za rządem Morawieckiego, a jednocześnie – że PiS się od własnego rządu odcina. Były premier chce tę sytuację wykorzystać. Dlatego w kolejnych wystąpieniach przypomina o pieniądzach z budżetu na inwestycje samorządowe i przekonuje, że on dbał o mniejsze miejscowości, a nie tylko o metropolie; towarzystwo samorządowców ma ten przekaz uwiarygadniać.

Jeśli wrzesień jest dla Rozwoju Plus miesiącem samorządowym, to październik ma już stać pod znakiem dwóch dużych wydarzeń centralnych. Na 15 października – trzecią rocznicę wyborów – ludzie Morawieckiego planują serię wieców w różnych miejscach Polski, a w sobotę 17 października odbędzie się kongres. W stowarzyszeniu wciąż trwają dyskusje, czy to już dobry moment na rejestrację partii i czy powinna się nazywać Rozwój Plus; niewykluczone, że partia formalnie powstanie dopiero na wiosnę.

Koalicjant czy koń trojański

Przyszłość Rozwoju Plus to sprawa otwarta. Żadnemu z secesjonistów, poprzedników Morawieckiego – a próbowało wielu – nie udało się stworzyć trwałej formacji politycznej, zdolnej do przekroczenia progu wyborczego. Nie byli w stanie sięgnąć po nowych wyborców, bo dla nich wciąż pachnieli jak PiS, nie mieli też siły, by wyrwać elektorat Kaczyńskiemu. Ktoś ukuł wtedy powiedzenie, że rozłam w PiS może się zakończyć powodzeniem tylko wtedy, gdy rozłamie się sam prezes.

Morawiecki, gdy powtarza, że Rozwój Plus jest „częścią obozu patriotycznego", nie różni się zbytnio od ziobrystów, którzy w 2012 r. nazywali siebie „drugim płucem prawicy" i raźno kroczyli ku przegranej.

Ale też nigdy kryzys PiS nie był tak potężny jak teraz, a Kaczyński – tak osłabiony.

Perspektywy dla obozu prawicy są mocno niepewne. Wspólnie ma sporą przewagę nad środowiskiem Donalda Tuska, ale przy tym rozdrobnieniu i przy licznych konfliktach wewnętrznych wcale nie jest pewne, że uda się stworzyć rząd, a tym bardziej – rząd stabilny.

Politycy z otoczenia Morawieckiego snują scenariusz, w którym Kaczyński godzi się z istnieniem ich partii i widzi w niej koalicjanta. – *W 2023 r. Tusk najpierw próbował zdusić Trzecią Drogę, a gdy mu się nie udało, zaczął ją taktycznie wspierać, co dało mu większość. W 2027 r. to samo mógłby zrobić Kaczyński wobec Rozwoju Plus* – ocenia nasz rozmówca. Jego zdaniem mogłoby to otworzyć drogę nawet do powyborczej koalicji z PSL, co zamknęłoby drogę do rządu Braunowi.

Teza atrakcyjna, analogie są jednak często niedoskonałe. Trzecia Droga nie karmiła się w takim stopniu elektoratem KO, jak Rozwój Plus wyborcami PiS. Trzecia Droga nie powstała też w wyniku rozłamu w KO i nie doprowadziła do wstrząsu w tej formacji.

Dlatego droga do pogodzenia się Kaczyńskiego z istnieniem Rozwoju Plus – a tym bardziej do taktycznego go wspierania – wydaje się co najmniej wyboista. Bardziej prawdopodobny scenariusz to próba zmiażdżenia konkurencji, ewentualne wchłonięcie jej na warunkach prezesa tuż przed wyborami.

Na razie – niezależnie od tego, co mówią posłowie Rozwoju Plus – inicjatywa Morawieckiego to promyk nadziei dla Tuska w niełatwych dla rządu czasach. Wybór Horały na wicemarszałka Sejmu nie był zatem sygnałem o jakimś tajnym porozumieniu i zwiastunem przejścia Morawieckiego na stronę Tuska, był posunięciem taktycznym. Korzystne dla KO jest istnienie balansującej na progu wyborczym partii, która odbiera głosy wciąż najsilniejszemu na prawicy PiS. Choć Rozwój Plus istniałby nadal nawet bez Horały jako wicemarszałka, który zaraz po wyborze, dla uwiarygodnienia się, zapowiedział wniosek o odwołanie ministra Kierwińskiego. Wszystkie te zagrywki i rachuby ostatecznie zweryfikują wybory.

WOJCIECH SZACKI

eprasa.pl ef163c68fb











FUNDACJA ZRÓBMY SOBIE KRAKÓW



Spełnianie marzeń

DZIECI



Wsparcie dla

TRADYCJI



Troska o

SENIORÓW

Wspólnie budujemy zaangażowany i empatyczny Kraków!

OBCHODZIMY 2. URODZINY

Rozwój nowoczesnej

SZTUKI



Serce dla

ZWIERZĄT

UŚMIECH

każdego dnia



Zobacz wszystkie nasze inicjatywy na:
zrobmysobiekrakow.pl

eprasa.pl ef163c68fb

Król planktonu

Szymon Hołownia powrócił. Przejął kontrolę nad klubem sejmowym Polski 2050, a dni Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz w rządzie wydają się policzone. Dla spójności koalicji to dobra wiadomość.



© MATEUSZ GROCHOCKI/EAST NEWS

MICHAŁ DANIELEWSKI

Już kiedy Szymon Hołownia na początku kadencji przeżywał tygodnie chwały jako nowy marszałek Sejmu, przyciągając do kin tłumy na transmisje z obrad parlamentu, wielu irytował swoją ekspansywną obecnością. Bo przemądrzały i zbyt pewny siebie, a jednocześnie politycznie dość niejednoznaczny oraz ekscentryczny w lekko rzucanych pomysłach i wypowiedziach. Dziś drażni tym bardziej, niczym autor jednego przeboju lata, który ciągle wpycha się na scenę z tą samą piosenką, podczas gdy publiczność znalazła już sobie nowych idoli i o Hołowni najchętniej by zapomniała.

Kłopot w tym, że o Hołowni zapomnieć się nie da. Więcej, chcemy tego czy nie, to od niego w dużym stopniu zależy, czy koalicja 15 października będzie miała szansę utrzymać władzę w przyszłorocznych wyborach. Bo dziś w polskiej polityce jest jak w przyrodzie: plankton stanowi krytycznie ważny element. Jeśli zginie, załamie się cały ekosystem obozu władzy.

Rozbieg do skoku

By to dobrze zrozumieć, spójrzmy na pięć ostatnio opublikowanych sondaży. W IBRiS „blok demokratyczny" w konfiguracji z wyborów w 2023 r. (czyli łącznie z partią Razem) ma 43 proc., „blok prawicowy" – 47 proc. W badaniu Opinii24 proporcje się odwracają: „blok demokratyczny" ma 46 proc., a „blok prawicowy" – 43 proc. Również w Pollsterze „blok demokratyczny" prowadzi, tym razem 51 do 49 proc. Z kolei United Survey daje 2 pkt proc. przewagi „blokowi prawicowemu", a CBOS – 3 pkt proc. Pomijając kwestie związane z liczbą i rozkładem niezdecydowanych w poszczególnych pracowniach, widać, że prawicowa opozycja nie jest w jakiejś szczególnej ofensywie, a sympatie społeczne rozkładają się podobnie jak w wyborach prezydenckich – remisowo.

Prawica ma jednak jedną kluczową przewagę: mimo partyjnego rozmnożenia wszystkie jej hipotetyczne komitety wyborcze przekraczają próg 5 proc. Tymczasem w przypadku „obozu demokratycznego", gdyby wybory odbywały się w najbliższą niedzielę, pod progiem zmielonych zostałoby co najmniej 1,5 mln gło-

eprasa.pl ef163c68fb

sów, składających się na poparcie dla PSL, Polski 2050 i Razem (które zresztą i tak nie chce być z koalicyjnym obozem).

Nic więc dziwnego, że w politycznych gabinetach zrodził się pomysł odbudowy Trzeciej Drogi w nowej formie, tym razem pod jednoznacznym przywództwem Władysława Kosiniaka-Kamysza. Już nie po to, by walczyć o kilkanaście procent poparcia, ale by chociaż w miarę bezpiecznie dostać się do Sejmu. Do realizacji takiego scenariusza niezbędne jest te 200–300 tys. głosów, na które wciąż może liczyć Polska 2050. Szkopuł w tym, że Trzeciej Drogi nie da się odbudować z Katarzyną Pełczyńską-Nałęcz, której zdolności koalicyjne są ujemne, a umiejętności polityczne dyskusyjne. Stąd powrót Szymona Hołowni na pierwszą linię politycznego frontu i próba przejęcia kontroli nad klubem parlamentarnym, czyli jedynym ciałem Polski 2050, które ma dziś jakiekolwiek polityczne znaczenie.

Po wielu perturbacjach byłemu marszałkowi Sejmu w ubiegłym tygodniu udało się wreszcie dopiąć swego, ale plan zrealizował w sposób tak oryginalny, jak tylko on potrafi. Ogłosił bowiem, że zostanie szefem klubu jedynie wówczas, jeśli zmiana zostanie poparta jednomyślnie, by „zapobiec dalszym podziałom w partii". Nie trzeba wielkiej politycznej wyobraźni, aby przewidzieć, że przy takich warunkach brzegowych dojście do porozumienia musiało być ekstremalnie trudne. Z drugiej strony osiągnięcie jednomyślności byłoby dużym sukcesem Hołowni i jednoznacznym potwierdzeniem jego pozycji jako przywódcy całego środowiska.

Ostatecznie wyszło na jego. W ostatni czwartek odchodzący ze stanowiska poseł Paweł Śliz ogłosił: „Gdy lider założyciel chce stanąć na pierwszej linii, naturalną i jedyną mądrą decyzją szefa klubu jest zrobić mu miejsce i przekazać pałeczkę". Hołownia wygrał pierwszą rundę, ale poniósł również kolejne wizerunkowe koszty.

Partia w stanie dekadencji

Wieści się zmieniały. Szymon Hołownia wchodzi do rządu. A nie, jednak nie wchodzi. Ma lepsze stosunki z premierem Tuskiem. Skądże znowu, Tusk się na niego obraził za spinki do mankietów od prezydenta. Hołownia przegrał głosowanie na szefa klubu. Nieprawda, żadnego głosowania nie było. To esencja z doniesień mediów w ostatnich tygodniach. Co więcej, według kolejnych plotek rozsiewanych przez „życzliwych" partnerów z koalicji w rozmowach z dziennikarzami Hołownia chciał być jednocześnie ministrem kultury, funduszy regionalnych, ambasadorem w Watykanie i przedstawicielem przy ONZ. Mnożyły się opinie, że jest niezdecydowany, miękki, hamletyzuje.

Powyższy chaotyczny patchwork z newsów i spekulacji nieźle podsumowuje ostatni miesiąc aktywności założyciela Polski 2050. Kiedyś o Bronisławie Geremku mówiono, że gdy idzie po schodach, to nie wiadomo, czy wchodzi, czy schodzi – o Hołowni można było powiedzieć podobnie, z tym zastrzeżeniem, że zarazem wszyscy byli przekonani, iż za chwilę się na tych schodach poślizgnie na skórce od banana. Były marszałek Sejmu stał się bowiem postacią odrobinę slapstickową. Chociaż trzeba dodać, że nie do końca jest to jego wina – po prostu doprowadza do białej gorączki tylu kolegów z koalicji, że zawsze znajdzie się ktoś, kto podrzuci mediom niekorzystną dla Hołowni wersję wydarzeń.

Gorzej, że komiczna stała się także jego partia, nad którą zniechęcony i obrażony na rzeczywistość Hołownia oddał władzę po kiepskim wyniku w wyborach prezydenckich, ale *de facto* nikt tej władzy po nim nie przejął. Zwycięstwo w wewnętrznych wyborach Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz najpierw doprowadziło do rozłamu, a później do kompletnego rozprężenia, bo pozostająca poza Sejmem Pełczyńska tylko teoretycznie kontrolowała własne zaplecze parlamentarne, teraz zaś po comebacku Hołowni jej realny wpływ zmalał do zera.

Stan Polski 2050 dobrze ilustruje też brak wystawienia kandydata w przyspieszonych wyborach na prezydenta Krakowa. Poseł Śliz miał wyraźną ochotę na start, ale uznano najwidoczniej – nawiasem mówiąc, dość rozsądnie – że już sama próba zebrania podpisów może skończyć się kompromitacją. Zresztą ci członkowie Polski 2050, którzy twardo stąpają po ziemi, rozumieją, że w ten sam sposób zakończy się również próba samodzielnego startu ich formacji w wyborach parlamentarnych, bo perspektywa zebrania 100 tys. podpisów przy chaosie w kierownictwie i rachitycznych, rozbitych strukturach rysuje się raczej mgliście. Jednym słowem, partia znalazła się w stanie dekadencji i rozkładu, czyli w formie właściwej dla Tymczasowych Ugrupowań Protestu po zderzeniu z realną polityką.

Długa droga Hołowni

Czy Hołowni uda się choć trochę odbudować wizerunek i posklejać Polskę 2050, czyniąc z niej przewidywalnego koalicyjnego partnera w perspektywie wyborów parlamentarnych? To może się wydarzyć, nieroztropnie byłoby go skreślać. Lubi się go czy nie, trzeba przyznać, że jego dotychczasowa droga polityczna imponuje. W cztery lata z publicysty i telewizyjnego showmana, który w polityce zaczynał praktycznie od zera, stał się marszałkiem Sejmu. Zarazem był współtwórcą formacji, która istotnie przyczyniła się do odebrania władzy PiS-owi. A teraz, gdy wydawało się, że jest już kompletnie skończony jako istotny polityk, odzyskuje krok po kroku kontrolę nad partią, którą stworzył, i wraca do poważnej gry. Nie został prezydentem Polski, co pewnie wciąż jest jego marzeniem, dziś jest ledwie królem politycznego planktonu, ale pokazuje zarazem, że potrafi być twardym zawodnikiem, a nie tylko rezolutnym specjalistą od bon motów, sympatycznym politykiem na dobrą pogodę.

Słabością Hołowni zawsze było obrzydzenie wobec polityki gabinetowej. Obrzydzenie raczej szczere, to nie był tylko populistyczny, antypolityczny teatr. Układy, układziki, personalne roszady, walka o wpływy, pragmatyczne, zalatujące zgnilizną kompromisy – to nigdy nie była jego bajka. W tym sensie był politykiem niekompletnym i nieporadnym, banalnie łatwym do rozegrania. Najlepszym tego przykładem było jego słynne, sekretne spotkanie z Jarosławem Kaczyńskim w domu Adama Bielana. Rozmowa była tak tajna, że błyskiem znalazła się na medialnych czołówkach, stawiając Hołownię w podwójnie kompromitującej sytuacji: po pierwsze, jako nielojalnego członka obozu koalicyjnego, a dla wielu wyborców po prostu zdrajcę kolaborującego z PiS, po drugie zaś, jako naiwniaka, który w banalny sposób dał się użyć jako pożyteczny trybik w politycznej rozgrywce, której nie kontrolował i którą – jak się wydaje – nie do końca rozumiał.

Dziś Hołownia wydaje się twardszy, by nie powiedzieć, że bardziej cyniczny. Kiedy na finiszu sejmowych wakacji ▶

eprasa.pl ef163c68fb

▶ ogłosił swój powrót do aktywnej polityki, zaskakiwała zmiana jego tonu. Przedstawiał się jako lojalny partner koalicyjny, nie wykluczał wejścia do rządu, potwierdził, że chce zostać szefem klubu, nie miał oporów, by spotykać się z pozostałymi liderami obozu rządowego, choć formalnie nie miał do tego żadnego tytułu. Ta rozmowa z udziałem premiera Tuska odbyła się według oficjalnej wersji z okazji 50. urodzin Hołowni, które – tak się przypadkowo złożyło – przypadły akurat w przededniu głosowania nad kandydaturą Macieja Berka do Trybunału Konstytucyjnego. Ale mówiąc poważnie, dla wszystkich obserwatorów jest jasne, że to były marszałek Sejmu, a nie Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz czy szef klubu Paweł Śliz, w porozumieniu z innymi liderami zabezpieczał głosy za Berkiem wśród posłów Polski 2050.

Hołownia zagrał na siebie i z pełną premedytacją do końca zdruzgotał podmiotową pozycję Pełczyńskiej-Nałęcz zarówno w rządzie, jak i w partii. Czy zachował się nielojalnie wobec, bądź co bądź, szefowej swojej formacji? Tak. Ale zarazem zachował się jak polityk. Dokonało się przepoczwarzenie: Hołownia przestał udawać idealistę, którego brudna polityka nie dotyczy.

Zakiwana ministra

Wybór Hołowni na nowego szefa klubu Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz skwitowała lodowatym w tonie postem na platformie X, wyliczając ustawy i sprawy, którymi powinien niezwłocznie zająć się nowy przewodniczący. Miało być stanowczo, wyszło raczej rozpaczliwie, tym bardziej że czas Pełczyńskiej w rządzie wydaje się policzony, i to raczej w tygodniach, a nie w miesiącach. Wraz z definitywną utratą wpływu na klub parlamentarny szefowa Polski 2050 straciła również ostatnią kartę przetargową w postaci głosów potrzebnych na przykład do uchwalenia budżetu. Partnerem do rozmów w obozie rządowym będzie Hołownia, a im głośniej Pełczyńska-Nałęcz będzie się domagała „spotkania liderów koalicji" ze swoim udziałem, tym bardziej widoczny będzie jej brak politycznego znaczenia, który ostatecznie musi zakończyć się dymisją.

Trzymanie we własnym gronie ministry odgrywającej ostrą wewnętrzną opozycję wobec reszty rządu to w roku wyborczym byłby zbytek łaski. Z punktu widzenia interesu politycznego Tuska, Czarzastego i Kosiniaka-Kamysza byłoby to dawanie przestrzeni przeciwniczce, która nie dość, że odmawia gry we wspólnej drużynie, to jeszcze zupełnie nie wiadomo, czego po niej oczekiwać. Pełczyńska pomstuje bowiem w mediach na „tanie, marne, politykierskie gierki" rządowych partnerów i pewnie ma w tym sporo racji, ale sama nie wyjaśnia, jaki ma właściwie plan na wybory oraz jak chce się dostać do Sejmu ze średnią sondażową na poziomie 1,5 proc. i niemal zerową zdolnością do koalicyjnych sojuszy. Jej odpowiedzią na wszystko są wezwania do „działania na rzecz zwykłych Polaków", ale wygląda to bardziej na polityczny eskapizm, a nie na polityczny plan. Trudno oprzeć się wrażeniu, że Pełczyńska-Nałęcz robi wszystko, by zostać z rządu wyrzucona jako bohaterka politycznych knowań cynicznych mężczyzn, ale nie sposób zgadnąć, co jest na końcu wybranej przez nią drogi i jaki właściwie kapitał na wybory ma się z tego zrodzić.

Narracyjnie najbliżej jej do partii Razem, ale ta radzi sobie obecnie na tyle dobrze, że Pełczyńska ze swoim stylem uprawiania polityki jest dbającym o spójność przekazu razemitom nieszczególnie potrzebna. Jakąś opcją jest też Rozwój Plus Mateusza Morawieckiego, który próbuje się rozpychać w centrum sceny politycznej, ale byłby to ryzykowny mariaż dla nowej formacji, która próbuje się rozwijać organicznie i obecnie koncentruje swoje wysiłki przede wszystkim na budowie lokalnych struktur. Nie można też wykluczyć, że obecnej liderce Polski 2050 chodzi po prostu o to, żeby z polityki odejść na własnych warunkach jako „ofiara Tuska". I ten cel wydaje się akurat do zrealizowania.

Posłowie Polski 2050 za Pełczyńską-Nałęcz umierać raczej nie będą, zwłaszcza że pod wodzą Hołowni mogą liczyć na zorganizowane przejście pod skrzydła Kosiniaka-Kamysza i zbiorowe negocjacje dotyczące wyborów w 2027 r. Idąc na czołowe zderzenie z resztą koalicji pod wodzą obecnej liderki, musieliby na własną rękę zorganizować sobie szalupę ratunkową albo pogodzić się z faktem, że w przyszłym roku wraz z nadejściem jesieni znajdą się w politycznym niebycie.

Za mało, by wygrać

Skuteczny (jak na razie) powrót Szymona Hołowni zdaje się wskazywać, że koalicja rządowa wchodzi na ścieżkę prowadzącą do rozsądnego poukładania się przed wyborami. Warunki minimalne są powszechnie znane: żaden głos nie może zmarnować się pod progiem, nie wolno alienować grup elektoratów sytuujących się na ideowych skrzydłach obozu władzy, a czas na wewnętrzne przepychanki i przeciąganie liny kończy się nieodwołalnie w styczniu 2027 r. Styl jest jak na razie siermiężny, publiczność raczej gwiżdże, niż klaszcze, ale skład drużyny i jej taktyka powoli zaczynają się wykluwać.

Zapewne w najbliższym czasie będziemy świadkami jeszcze niejednej awantury, bo Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz nie odejdzie z rządu cicho i pokornie, spodziewać się należy raczej fajerwerków. Jednak koniec końców reaktywacja Trzeciej Drogi w nowej formule wydaje się dziś bardzo prawdopodobna, co w sposób oczywisty stanowi pozytywną informację dla koalicji 15 października. Wspólny start Kosiniaka-Kamysza i Hołowni zabezpiecza do pewnego stopnia poparcie części bardziej konserwatywnych wyborców oraz osób, które są znużone jałową polaryzacją, nie mają jasno sprecyzowanych poglądów politycznych, lecz jednocześnie są sceptycznie nastawione do prawicowej opozycji.

Wciąż jednak obóz rządowy ma spore problemy w swojej liberalno-lewicowej bazie, zwłaszcza jeśli chodzi o mobilizację wśród kobiet. W ostatnim badaniu CBOS deklarowana frekwencja wśród mężczyzn jest o ponad 8 pkt proc. wyższa i jednocześnie poparcie dla partii opozycyjnej prawicy jest wśród nich o ponad 23 (!) pkt proc. wyższe niż wśród kobiet. Dla porównania, w 2023 r. na wybory poszło więcej kobiet niż mężczyzn (różnica 1,6 pkt proc.), a 56 proc. z nich głosowało na partie koalicji 15 października. To ogromna mobilizacyjna luka, którą trudno będzie zasypać personalnymi roszadami, eskalacją walki z PiS, odzyskaniem Trybunału Konstytucyjnego czy prostym straszeniem Konfederacją.

Słowem, Hołownia wrócił, koalicja się wewnętrznie układa, panowie politycy dobrze się ze sobą dogadują, ale jeśli poczują się zbyt komfortowo, teza Pełczyńskiej-Nałęcz, że polską polityką rządzi logika męskiej szatni, może stać się jesienią 2027 r. trafnym, choć niewesołym proroctwem.

MICHAŁ DANIELEWSKI

eprasa.pl ef163c68fb

Sądziłem, że mam z „Lalką” spokój



Co mnie łączy z Rzeckim? Staram się, jak on, być wyznawcą teraźniejszości, nie lubię narażać na szwank tego, co jest, dla tego, co być może – mówi Marek Kondrat, powracający na ekran rolą w „Lalce”.

JANUSZ WRÓBLEWSKI: **– Ile razy w życiu czytał pan „Lalkę”?**

MAREK KONDRAT: – W całości przeczytałem ją raz, mając 25–27 lat. Na maturze znałem ją pobieżnie, a w pełni rozumiem ją dopiero dziś. To genialna, wielowątkowa powieść, która zachowuje zdumiewającą aktualność.

Co pana w niej wzrusza?

Pogoń Wokulskiego za ideałem. Z jakichś powodów bliski mi jest model mężczyzny poszukujący absolutu, któremu los lub własna natura nie pozwalają go osiągnąć. Znajdziemy ten typ w innych, moich ulubionych powieściach, jak „Muzeum niewinności” Pamuka czy „Miłość w czasach zarazy” Márqueza. Porusza mnie też rys polskiego tragizmu – motyw zrywów i sukcesów, po których nic nie zostaje, jak po Solidarności, albo społecznym zrywie pomocy Ukrainie. Te same ręce, które się trzymały, dziś skaczą sobie z pazurami do oczu.

Wersję optymistyczną mechanizmów społecznych przedstawionych w „Lalce” proponują za to twórcy serialu wyreżyserowanego przez Pawła Maślonę. Pewnie pan go już obejrzał?

Obejrzałem pierwszy odcinek i to wszystko, co mogę zrobić dla tego serialu. Intelektualnie nie wytrzymuje próby zestawienia go z oryginałem Prusa. Nie chcę przez to powiedzieć, że nasza „Lalka” przedstawi cały zamysł powieści, ale go nie zniekształci. ▶

© MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl ef163c68fb

▶ Pytania o tzw. wolność twórczą wydają mi się bezzasadne. Niech każdy sam sobie odpowie, kto tu jest twórcą, a kto wolnym twórcą. Ja trzymam się zasady traktowania widza na swoim poziomie. To wydaje mi się uczciwe.

W waszej „Lalce" mierzy się pan z rolą Rzeckiego, ostoją rozsądku i zastygłego czasu, nie przedstawia go pan jednak jako bezradnego staruszka. Wymyślił pan na niego żołnierski rys, daleki od wizerunku ciapowatego staruszka, z którym kojarzyła się dawniejsza ekranowa kreacja Tadeusza Fijewskiego.

Rzecki jest byłym żołnierzem węgierskiej piechoty. Żołnierski reżim łączy się u niego z profesjonalnym dystansem i etyką dawnego subiekta. Spotykam – choć coraz rzadziej – takich ludzi wśród starych kelnerów albo sprzedawców, i to głównie na Zachodzie. Podziwiam ich rzetelność, dyscyplinę, klasę, nienaganną postawę. Dzięki tym cechom Rzecki jest dla Wokulskiego opoką, przy której Staś może zrzucić maskę i okazać bezsilność.

W powieści Rzecki ma 50 lat. Założył pan kostium, dokleił wąsy...

Zawód aktora w pełnym wydaniu. Możliwość takiej przebiórki wydała mi się zachęcająca. Skorzystałem z kunsztu Liliany Gałązki, która maluje mnie od 40 lat, od „CK Dezerterów". To był mój warunek uczestnictwa w filmie, że Lila zrobi mi twarz. Dyskretny talent operatora Piotra Sobocińskiego (kręciłem filmy z jego dziadkiem), scenografów i twórców kostiumów upewnił mnie, że jestem w dobrym miejscu i zadbany, jak nigdy dotąd.

Dlaczego po prawie 20 latach niegrania zdecydował się pan wrócić do zawodu aktorskiego?

W ogóle tego powrotu nie przewidywałem. Odzwyczaiłem się od reżimu filmowego. Nie mam emocji z tym związanych. Wyzbyłem się ich. Mówiąc „nigdy więcej", zaklinając się, że żaden reżyser ani pomysł mnie już nie przekona, nie miałem świadomości, że ten akurat będzie tak blisko.

Blisko czego?

Blisko mojej osobowości, potrzeby literackiej, mojej wrażliwości. Rzetelność Wokulskiego, z drugiej strony jego niespełnienie i uczucie za tym stojące – tą drogą poruszałem się przez całe życie. To takie polskie poza wszystkim. Dochodzimy do jakiejś kulminacji, a potem jak kamikadze giniemy wraz z puentą. Sądziłem, że mam z „Lalką" spokój, bo były dwie ekranizacje, w tym Hasa z moim ojcem. A potem zaczęło się to kleić, że można to zamknąć w międzypokoleniowym dialogu.

Wcześniej odrzucił pan propozycję zagrania w ekranizacji książki Lejba Fogelmana „Warto żyć". Poeta i krytyk Jacek Dobrowolski dopatrzył się w tym antysemickiej manifestacji.

Nie wchodzę w takie polemiki. Wiem, kim jestem, i nie czuję potrzeby udowadniania tego. Najkrócej rzecz ujmując, 1968 r. i przymusowy exodus Żydów z Polski był aktem założycielskim mojej dorosłości. Otrzymawszy świadectwo maturalne, udałem się wtedy na długie wakacje, a jak wróciłem, nie zastałem pod znanym mi adresem dziewczyny, w której się kochałem. Mój świat się załamał. To była katastrofa. Parę miesięcy temu, poproszony przez Leszka Jażdżewskiego o udział w Igrzyskach Wolności w Łodzi, w obecności blisko tysiąca słuchaczy opowiadałem tę – jakkolwiek patrzeć – intymną historię. Skończyło się owacją. Jeżeli Dobrowolski miałby powtórzyć tym ludziom, że jestem antysemitą, mocno by się zdziwili.

Poświęcił pan aż dwa lata pracy nad „Warto żyć".

Motywacją była ta właśnie młodzieńcza rana. Myślałem naiwnie, że spłacę swój nieistniejący, moralny dług. Że Lejb z tym swoim opowiadaniem o radosnym, wyrzuconym znad Wisły bohaterze – przeżywającym życie tak, jak on je opisuje – da mi możliwość zadośćuczynienia ludziom, którzy musieli zniknąć z Polski. Niektórzy wciąż to przeżywają, z wieloma utrzymuję kontakt do dziś. Ale to opowiadanie jest trudne adaptacyjnie. Na scenie próbował sobie z tym wyzwaniem poradzić Andrzej Saramonowicz, niestety nie znalazł się teatr, który chciałby to wziąć. Stanęło na telewizji, która liczyła, że zrobią wokół mojego zaangażowania dodatkowe medialne halo. Scenariusz na moją prośbę napisał Kasper Bajon, skonstruował jednak rzecz, której TVP nie kupiła, bo właściwie był to scenariusz filmowy, za ciężki gatunkowo na mały ekran. Zrozumiawszy, że głową muru nie przebiję, wycofałem się, niepotrzebnie wplątując jakąś uwagę na temat sytuacji na Bliskim Wschodzie. Na tym polega całe nieporozumienie.

A co do tego wątku młodzieńczej miłości: szukał pan potem jeszcze ukochanej?

Tak. 14 lat później kręciliśmy film z Mártą Mészáros w Finlandii, m.in. z Janem Nowickim i Jadwigą Jankowską-Cieślak. Zaplanowane były też zdjęcia w Sztokholmie, gdzie Hania – ta moja miłość – mieszkała. Wysiadłszy z promu, znalazłem w książce telefonicznej jej adres. Wykręciłem numer, odezwał się mąż. Ucieszył się, bo Hania mu wiele o mnie opowiadała. Zaprosił do domu. Odpowiedziałem, że krótko tu jestem, ale pozwolę sobie do niej napisać list i zostawię go w hotelu. Kupiłem litrową butelkę Cutty Sark, wziąłem papier listowy. Płakałem, piłem i pisałem – opowieść o miłości, która była o wiele bardziej rozbudowana, niż życie podpowiadało.

Następnego dnia mieliśmy zdjęcia, a nazajutrz rano wróciliśmy do portu, gdzie czekał powrotny prom. Wyskoczyłem z busa na papierosa, nagle na ogromnym placu parkingowym na parę tysięcy miejsc, pustym o tej porze, widzę mały samochód jadący w moją stronę. Po 20 m zatrzymał się, wysiadła Hanka. Rzuciliśmy się sobie w ramiona i zaczęliśmy się całować przez pół minuty, po czym położyła mi palce na ustach, odwróciła się i bez słowa odjechała. To musiał być przejmujący widok, bo jak wróciłem do busa, zapadła w nim śmiertelna cisza.

Spotkał się pan jeszcze z nią kiedykolwiek?

Nie, nigdy.

Pan jest romantykiem.

Adam Michnik tak twierdzi, jak jemu to zarzucam.

Przeczytam panu komentarz Daniela Olbrychskiego à propos pańskiej rezygnacji z grania Fogelmana. „Andrzej Wajda, u którego przed laty razem zagraliśmy, powiedziałby: Danek, coś się naszemu Mareczkowi pokiełbasiło. Ja zaś uważam, że Marek na starość, która nas łączy, chce już mieć święty spokój. A to mnie z nim na pewno nie łączy". Chce mieć pan ten spokój?

Chcę w tym sensie, że większość aktorów ma potrzebę głośnej egzystencji. Napędza ich imperatyw nieustannego utrzymywania się na powierzchni. A mnie do szczęścia nie jest to potrzebne. Nie wyznaję tej niesfornej przywary aktorskiej, że trzeba zabierać głos w każdej sprawie. Lubię życie w prostym wymiarze – tak to ujmę.

Wielu aktorów o coś walczy, przeciwko czemuś protestuje. Olbrychski prawie obalił ministrę Hannę Wróblewską. Chce reformować kinematografię. Szablą ciął obrazy faszystów w Zachęcie.

eprasa.pl ef163c68fb



Kamila Urzędowska jako Izabela Łęcka w „Lalce" w reżyserii Macieja Kawalskiego

Przez długi czas, uprawiając aktorstwo, należałem do grupy, która, prawdopodobnie jak każda gildia zawodowa, ustalała swoje hierarchie, własne reguły gry i ja się nimi także przejmowałem. Tylko jak się wyskoczy z takiej bańki, nabiera się dystansu, myśli się: „Matko Boska, ale czy to naprawdę takie istotne?". Jestem sceptykiem. Nie wierzę, żeby moja aktywność cokolwiek zmieniła w życiu społecznym. I nie sądzę też, żeby głos aktorski był poważny w jakimkolwiek dyskursie. Absolutnie nie. Zupełnie inaczej postrzegam swoje miejsce. Niezbyt blisko mi do sztuki w ogóle.

Mówi to jeden z najwybitniejszych polskich artystów.

Sztuka uzurpuje sobie zbyt wiele praw i zbyt wielu wśród nas artystów. Jestem na pewno podatny na sztukę, która robi na mnie wrażenie. I dostrzegam jej niedoścignięłość. Lecz absolutnie wzbraniam się przed szantażem, że sztuka nas wyzwoli, obroni przed czymś. Że ona daje nam jakiś poznawczy oddech, dystans. Nie wierzę w takie rzeczy. Zupełnie nie. Sztuka jest bezbronna. Nie zmieni świata.

Aktor i artysta nie mają na nic wpływu?

Nie mają żadnego wpływu. Traktuję swoją rolę z lat minionych jako uczestnika procesu mającego przynosić odbiorcy ulgę. Za pieniądze, które ktoś płaci za bilet, musi otrzymać barwną opowieść, wizję świata, w którym na co dzień nie przebywa. Atrakcyjną baśń, przemawiającą na chwilę do jego wyobraźni i wrażliwości. Ale to niestety niczego nie zmienia.

To po co to wszystko?

Oto jest pytanie. Z tym mam największy problem. Czy życie w ogóle ma sens? Dla jednego ma, dla drugiego nie ma. Raz ma, raz nie ma.

A jak jest u pana?

U mnie generalnie nie ma. Bo jeżeli nie mamy wpływu na to, kiedy się rodzimy, gdzie się rodzimy i kiedy schodzimy, to właściwie fundament został nam usunięty spod nóg. Cała reszta jest staraniem o sens. Czyli robimy mnóstwo rzeczy, aby sobie uzasadnić wartość pobytu na ziemi, odbijając się od straszliwego okrucieństwa. Od przyrody, w której trwa mord od rana do nocy. Przez cywilizację, która jest niesprawiedliwa, równie bezwzględna i samounicestwiająca się. Ludzie uciekają od tej determinacji w stronę właśnie sztuki albo wiary. Szukają ocalenia, nadziei, rąbka sensu. Ale wątpię, aby to było skuteczne.

Zostaje coś po nas?

Zwykle w bliskich, którym powierzamy geny i uczucia. Przede wszystkim miłość. W niej odnajduję trwałą wartość.

Krótki dystans.

Bardzo. Ale, jak powiedziałem, jestem pesymistą. Jedno pokolenie umrze. Drugie zapomni. I co zostaje? Nic. Miazga. Pocieszam się jedynie, że nie jestem samotny w tej rozpaczy. Można by cytować wielu poważnych twórców. Sens sztuki natomiast widzę wyłącznie w dziełach, które są niedoścignięte, mierzi mnie wszystko, co jest poniżej tego, a uzurpuje sobie prawa na więcej, jak choćby film.

Można jaśniej?

Kiedy uprawiałem czynnie aktorstwo, kinematografia sprawiała wrażenie państwa w państwie, a uprzywilejowana pozycja filmu była niewspółmierna do jego jakości. To budziło mój sprzeciw. Nie potrafiłem zaakceptować, że aby wyrazić jakąś myśl i uczucia, reżyser potrzebuje do tego góry pieniędzy. Uważałem to za nieprzyzwoite. Nie rozumiem, jak można lekceważyć aspekt materialny, żądać wielkich środków z państwowego portfela, nie myśląc w ogóle o tym, czy przyniosą jakiś zysk, czy choćby się zwrócą.

Jak to się ma do „Lalki", jednej z najdroższych kinowych produkcji ostatniego 30-lecia?

To spełnienie mojego wyobrażenia, czym powinno być jakościowe, wielkoekranowe widowisko, zrealizowane z myślą o widzu. Nie chodzi tylko o rozmach, scenografię, zdjęcia, aktorstwo. Film, do którego PISF nie dołożył złotówki, jest nie tylko realizacją artystycznych ambicji twórców, ale też bardzo odważnym przedsięwzięciem biznesowym. Co oznacza ryzyko i kolosalną odpowiedzialność, którą biorą na siebie producenci. I to jest proporcja właściwa dla filmu. Oscara za najlepszy film odbiera producent, a nie reżyser czy scenarzysta. „Lalka" bazuje na powieści, której geniuszu i nieustającej aktualności nie jesteśmy w stanie należycie docenić, co wydaje się przedziwne zupełnie. Jeżeli odrzucimy oprawę i przestaniemy się skupiać na szczegółach XIX-wiecznej Warszawy, nie wyparują sensy dotyczące ▶

© MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl ef163c68fb

▶ ułomności ludzkiej natury, podziałów klasowych, fatalizmu polskiej historii, mirażu sukcesu z jego brakiem szczęśliwego rozwiązania.

Pamięta pan autobiografię Kirka Douglasa „Syn śmieciarza"? Nigdy nie zapomnę rozdziału o przygotowaniach do „Spartakusa". Amerykanin opisuje, jak strasznie go fascynuje antyk, tłumaczy, dlaczego chciałby zagrać zbuntowanego niewolnika, wylicza uporczywe próby znalezienia finansowania. Negocjuje z wytwórniami, sam chce zostać współproducentem i gdy w końcu udaje mu się to wszystko spiąć, zastanawia się nad wyborem reżysera. Tymczasem całe moje życie zawodowe wyglądało tak, że przychodził jakiś reżyser z własnym scenariuszem. A na koniec szukało się pieniędzy na ten jego wymarzony, genialny projekt w piwnicach przechowywany, nie zapytawszy uprzednio, czy i czym zasłużył na realizację. Wszystko odwrotnie.

Wygląda na to, że kino nie było pana ulubioną rozrywką i dlatego kilkanaście lat temu postanowił się pan z tym światem rozstać.

Chcąc być w zgodzie ze sobą, trudno wskazać jedną przyczynę. Było ich wiele. Wychowanie w domu aktorskim, przymus podporządkowania się woli dorosłych, przedwczesne poznanie kulis tego zawodu, czyli pozbawienie się baśni należnej dziecku. Jak się okazuje, że miecz jest drewniany, a księżyc ze sreberka, to umyka trochę iluzji. W życiu zawsze jest coś za coś. Niby koledzy mi zazdrościli, ale na podwórku objawiali to w sposób niesłychanie kąśliwy, przezywając mnie Wawrzkiem albo Ciżmą. Mnie to bolało, że się wyróżniałem w bardzo biednych czasach. Chciałem być taki sam jak wszyscy. Źle znosiłem nienaturalność zachowań rodziców, także sztuczność kolegów ojca zatopionych w pozach minionego czasu, ukrywających się za aktorskimi maskami. Ta inność mnie niesłychanie paraliżowała. Nie umiałem jej docenić. Potem doszedł do tego tragiczny wypadek ojca. Miał 42 lata, był u szczytu kariery. Samochód, który go wiózł między Warszawą a Łodzią w trakcie zdjęć do „Zemsty" Bohdziewicza, uderzył w tył ciężarówki. Ojciec był wesołym człowiekiem, wrócił ze szpitala po miesiącu kompletnie odmieniony. W połowie sparaliżowany, przedwcześnie postarzały. Zaczął chodzić o lasce. To mi uświadomiło kruchość artystycznych marzeń. Przyjaźń z Konwickim upewniła mnie, że poszukiwanie sposobów wyjścia poza kino i teatr jest słusznym wyborem. Dała mi wsparcie, wytchnienie, bo zawsze miałem rozterkę, czy przypadkiem nie zdradzam samego siebie oraz innych. On to doceniał, radził się tego trzymać.

Wróćmy do Rzeckiego, którego pan gra w „Lalce" – do kwintesencji lojalności, pracowitości, pragmatyzmu. Czy to pańskie lustrzane odbicie?

Nie zastanawiałem się nad tym, ale jest wiele cech, które mnie z nim łączą. Na przykład zachowawczość, przedsiębiorczość, odpowiedzialność. Staram się, jak on, być przede wszystkim wyznawcą teraźniejszości, nie lubię narażać na szwank tego, co jest, dla tego, co być może. Wszystko w moim życiu opiera się na takich regułach. Mój wieloletni kontrakt z bankiem nie polegał wyłącznie na sprzedaży wizerunku. Czuję się rezydentem, wtopiłem się w zasady tej instytucji, mam tam kolegów, a oni nie traktują mnie jako kogoś z zewnątrz. Spotykamy się na płaszczyźnie biznesowej w ramach swoich obowiązków. Nie tylko, żeby robić reklamy. Objeżdżam też kraj, spotykając się z klientami korporacyjnymi banku, poznając tych, którzy de facto stworzyli nową Polskę i regularnie wypracowują 85 proc. polskiego PKB.

Wokulskich naszych czasów.

Menedżerów sumiennie płacących podatki, ludzi z pomysłami i ogromną odwagą, kreujących nowe miejsca pracy, którzy przyczynili się do gospodarczego boomu. Na początku swojej drogi tworzyli kapitalizm bez kapitału. Taka polska specjalność. Ale się udało. To budzi mój ogromny szacunek. Kraj się bogaci na naszych oczach. Ostatnie 30 lat to złota epoka. Więc u schyłku życia muszę powiedzieć, że mogę docenić ojczyznę. Mało tego, zdałem sobie sprawę z jej wyjątkowości. W przeciwieństwie do umierającej Europy, do której panicznie zmierzaliśmy, a która dzisiaj budzi obawy o szansę na przetrwanie.

Z jakichś powodów jednak to nie Marek Kondrat prowadzący przedsiębiorstwo winiarskie ani pan jako twarz banku są symbolami tych przemian. Został nim natomiast Adaś Miauczyński, niezbyt popularna w Europie i na świecie postać, grana przez pana w filmach Koterskiego.

Miauczyński jest niezrozumiały na Zachodzie. Tak samo jak my jesteśmy nieprzetłumaczalni. Mało kto nas rozumie. Tę odmienność widać zwłaszcza w poczuciu humoru Polaków. Ćwiczyłem to nieraz, powtarzając m.in. w teatrze w Hamburgu żart z lat 60. o PRL: do konsumentów piwa podchodzi patrol milicji i zagaduje, dlaczego nie pracują w godzinach przedpołudniowych. „Dla mnie nie ma pracy" – odpowiada jeden z nich. „Jak to – oburza się funkcjonariusz – w komunizmie praca jest dla każdego. Jaki ma pan zawód?". „Torreador". Niemieccy słuchacze nie wybuchali śmiechem. To niemożliwe, nie ma zawodu torreadora w Polsce. W Niemczech też nie – trzeźwo analizowali.

Nie kupili surrealizmu.

Kompletnie. Z tego wyrósł Mrożek, Gombrowicz, cała nasza osobność, którą lubię i cenię. Wracając do Miauczyńskiego, niejednego zadziwiłem, grając świra. Nie umiejętnościami, tylko konstrukcją postaci, która się niebezpiecznie zlała z moim charakterem i wrażliwością. Znam Adasia od podszewki, wiem, co mu dolega, umiem nadać odpowiedni wyraz jego cierpieniu. Noszę go po prostu w sobie jak w leśmianowskim garbie. A on się odzywa od czasu do czasu. Porównałbym to do bólu nogi w łydce na widok dawno niewidzianych butów narciarskich. Ilekroć Koterski przysyłał mi swój scenariusz, uruchamiał się we mnie ten mechanizm. Natychmiast czułem ucisk w skroniach. Niesłychanie zachłanna i niszcząca poczwara wyłaziła wtedy, by komponować mi życie.

Wciąż pan tego neurotyka nosi w sobie?

Podejrzewam, że tak. Mam swój dom wariatów w pamięci. Ma inne kształty i dźwięki niż ten u Koterskiego, ale jest. Relacje mojego ojca i matki były dość podobne do tych z jego filmowego debiutu. Oparte na drażliwości, ciągłym nieporozumieniu, poczuciu przegranej, wiecznych pretensjach o to, że druga osoba po prostu istnieje. „– Dlaczego mnie tak traktujesz, skoro poza mną nie masz nikogo na świecie? – A kogo mam tak traktować, skoro poza tobą nie mam nikogo na świecie?". To cytat z „Pieszo" Mrożka, idealnie pasujący do uniwersum Koterskiego i moich osobistych wspomnień.

Do doświadczeń większości rodaków chyba również.

Aktor generalnie ma kłopot z tym, że w odróżnieniu od malarza czy pisarza pracuje na swoim organizmie. Jest przedmiotem własnej twórczości. Dlatego szuka zasłon, obudowuje się maskami, robi makijaż, ma tekst, który staje się dla niego cudzysłowem i tak dalej. Wcielając się w Miauczyńskiego, w ogóle nie czułem tej odległości. Jakby ktoś założył mi znoszone, schodzone, dobrze znane, doskonale pasujące kapcie. Nawet dziwaczny język

eprasa.pl ef163c68fb



Marcin Dorociński jako Stanisław Wokulski

Koterskiego stał się moim językiem potocznym. Od razu w niego wszedłem. Też cierpię na przymus powtarzania, posiadam nawyki, nad którymi z pełną świadomością próbuję zapanować. Marek oczywiście pokazywał mi, jak on sam poprawia sobie spodnie czy maniakalnie ustawia przedmioty w swoim mieszkaniu. Ja tego nie robię. Natomiast siła natręctw jest podobna. Odmienny wyraz tylko znajduje we mnie.

Ciekawe, że inni aktorzy grający Miauczyńskiego potrafili rozdzielić siebie od bohatera.

Widocznie było mi to pisane. W przypadku innych ról zawsze to było ubrane w jakąś bezpieczną przestrzeń, która nie dopuszczała takiej intymności i przeniknięcia człowieka, obrania go ze skóry i dotknięcia nerwów. Dla mnie to było zbyt dojmujące doświadczenie. Dlatego zestawienie Koterskiego ze mną wywołało efekt ucieczki. Ta rola wyczerpała moją ciekawość natury ludzkiej. Pokazała mi wszystko, co na temat człowieka powiedzieć może aktor. Przebieranie się w inny kostium byłoby udowadnianiem, że można jeszcze być kolorowym, ale już bez żadnej przyjemności.

Przyjemności, która pana zniszczyła?

Dopóki krew nie spłynie, nie ma przyjemności, jak pisał Henri Michaux w „Niejakim Piórko". Trochę tak jest. Bez bólu nie ma prawdy. W moim przypadku rzeczywiście było to kosztowne. Bardzo wyczerpujące. Zostałem w pewien sposób spenetrowany i dzisiaj nie mam środków, by powtórzyć coś równie ekstremalnego. Z drugiej strony aktor bywa nieszczęśliwy dwa razy. Jak gra i jak nie gra.

Czyli cały czas.

Zastanawiał się pan, dlaczego aktorstwo cieszy się tak niesłychaną estymą? Dlaczego fakt porzucenia aktorstwa, jak w moim przypadku, budził takie poruszenie i jeszcze większe zaciekawienie na mój powrót?

Dlatego, że aktor jest zwierciadłem duszy narodu?

Czy ja wiem? Bronek Pawlik opowiadał mi kiedyś, że jak zdawał do szkoły teatralnej w Krakowie, mieszkał na stancji u swojego wuja, dyrektora poczty. Ten, jak wracał do domu, sięgał po nalewkę, kładł swój wielki brzuch na obrusie zaścielającym stół, wkładał bindę na wąsy i siatkę na czuprynę wyłysiałą. Któregoś dnia przychodzi Bronek i oświadcza: „Wuju, dostałem się do szkoły aktorskiej". A on na to: „Za wariota bedziesz robił. To zróbże jaką minę". „Ależ wuju – wtrąca Bronek – to poważna szkoła, dramatyczna". „No to zróbże jaką dramatyczną minę". Aktorstwo z tym się kojarzy.

Z komedianctwem i celebryctwem?

Hollywood zmieniło wszystko. Stworzyło gwiazdy, które dorównywały Bogu. Zarabiały miliony, a zwykli widzowie myśleli o nich, że świat, który kreują, jest kompletnie dla nich niedostępny. Za to jest płacone za bilet, nie za wynurzenia, kim jest człowiek – co desperacko uprawia przeintelektualizowana Europa. Mnie to przestało bawić. Parę lat temu zadzwonił do mnie Krzyś Warlikowski. Ja byłem gdzieś daleko na antypodach, a on mówi, że ma dla mnie propozycję: „Przyjeżdżaj szybko!". Chodziło o „Skąpca" Moliera w połączeniu z jakąś literaturą epicką. Odbyliśmy dwa spotkania po dwie, trzy godziny. Niesłychanie inspirujące. Powiedziałem: W porządku, ale jak zaczniemy pracować i się dowiem, że kolega i koleżanka teraz grają w „Kocie w butach" i przyjdą pojutrze, a nie zgodnie z umową jutro, to mi to wszystko obrzydnie. Już mnie nie będzie ciekawiło, więc pozostańmy w sferze niezrealizowanej.

W latach 90., kiedy ojczyzna zachęcała, żeby brać sprawy w swoje ręce, namówiłem Lindę, Zamachowskiego, Malajkata na restauratorstwo. Skoro mamy czterdzieści parę lat i nazwiska, które mogą być pomocne, zróbmy coś konkretnego, a nie dajmy się inspicjentowi wpuszczać bez przerwy na plan czy na scenę. Ponieważ żyłem w świecie iluzji w dużym stopniu, rwało mnie w stronę czegoś, za co będę w pełni odpowiedzialny, co ma fizyczny wymiar. To mi zostało. Ostatnio np. pociąga mnie stolarstwo.

Więc skąd nagła chęć powrotu na duży ekran?

Mam ten komfort, że naprawdę niczego nie muszę. Zrobiłem wyjątek. Miał być nim Lejb Fogelman, ale wygrał Aleksander Głowacki.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI

© MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl ef163c68fb



Prawo szuriatu

Świat płaskiej Ziemi, zaludnionej przez kosmitów, dzięki popularnym podkasterom coraz mocniej przebija się do mainstreamu. I coraz lepiej się na nim zarabia.

JOANNA PODGÓRSKA

Wszechświatów jest 38 – twierdzi autorytatywnie Anna Głowacz. Ma dostęp do „najwyższej siatki przestrzeni" i często rozmawia ze Stwórcą. Czasem z nim współpracuje, pomagając innym cywilizacjom. Tydzień temu ratowali planetę, gdzie było jakieś słoneczne wydarzenie, wszystko się popaliło i mieszkańcy umierali z głodu. Anna zrobiła jednak pewien myk z liniami czasu, skopiowała planetę i cywilizacja będzie mogła się odbudować.

Nasza ziemska cywilizacja jest już siódmą z kolei. Wcześniej była m.in. Lemuria. Lemurianie, którzy ocaleli z katastrofy (mniej więcej pół miliona), mieszkają w podziemnym mieście pod górą Shasta w USA. Są tam też dinozaury, które na powierzchni wyginęły. Ci, którzy chcą kontrolować ludzkość, manipulują naszym DNA i tworzą fałszywe wersje historii, żebyśmy nie poznali prawdy. Choćby tej, że nasza planeta jest w rzeczywistości dużo większa. Znamy tylko 7 proc. jej powierzchni. „Afrykę zmniejszyli dziesięciokrotnie" – oskarża Anna. Wie, gdzie jest reszta planety, zamieszkana przez istoty

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl ef163c68fb

pozaziemskie – za Antarktydą. Dlatego nie wpuszcza się tam nikogo, a ci, którzy próbują, są zabijani. Na swojej stronie internetowej Anna Głowacz przedstawia się: „Stojąca na straży tego, co słuszne, wskazuje kierunek cywilizacji ziemskiej, by poprzez ujawnienie tego, co dotąd pozostawało ukryte, podążała ku wyższemu wymiarowi. Otoczona smoczymi strażnikami każdego dnia stawia czoła przedstawicielom sił ciemności, do których odnosi się jednak z szacunkiem należnym każdej Istocie pochodzącej z tego samego, co my Źródła. Nieustannie poszukuje nowych, coraz bardziej udoskonalonych metod ochrony i oczyszczenia ziemskich Istot". Na Facebooku ma ponad 80 tys. obserwujących.

Jestem cherubinką

Sporo. Ale to nic w porównaniu z Cyprianem Majchrem, którego podkast na YouTube śledzi ponad 600 tys. Annę Głowacz zaprosił trzykrotnie. Majcher był reprezentantem Polski w rugby i w pierwszej wersji swojego podkastu gościł głównie sportowców. Szło średnio. Potem goście byli bardziej zróżnicowani: Tomasz Karolak, Michał Koterski, Marcin Prokop. Ale prawdziwym złotem okazali się rozmówcy z obszaru medycyny alternatywnej, znawcy reinkarnacji, cywilizacji pozaziemskich, teoretycy płaskiej Ziemi. Nie prostuje, nie neguje, nie kontruje. Z kamienną twarzą wysłuchuje najdzikszych bzdur, a zarzuty kwituje stwierdzeniem, że tylko daje przestrzeń do refleksji.

Z Anną było podobnie. Majcher ze zrozumieniem przyjął do wiadomości, że jest ona aniołem – cherubinką, stąd ma fajny dostęp do tego, co się będzie działo. A mianowicie, że jesteśmy bardzo blisko ujawnienia. W drugim kwartale 2027 r. zostaną nam przedstawione istoty pozaziemskie. Jakie? – dopytuje Majcher. Z kamienną twarzą wysłuchuje odpowiedzi, że najpierw te ludzkopodobne, żeby uniknąć szoku. I opowieści, że Anna energetycznie odwiedziła liriański statek kosmiczny, na którym są m.in. Arturianie, Plejadianie i Andromedianie, lecący w stronę Słońca z misją nasycenia plazmy słonecznej energiami, które mają załagodzić szok ujawnienia, że istoty, które nami rządzą, nie są ludźmi. – To będzie mocne – cieszy się Majcher. Trzecia rozmowa z Anną Głowacz była jednak chyba zbyt mocna, bo została zdjęta z YouTube. Zastanawiała się tam, czy Hitler przypadkiem nie miał racji, że chciał się przeciwstawić 13 żydowskim rodzinom, które do dziś rządzą światem. Może nie byłoby wówczas dzieci na wyspie Epsteina, rządu światowego, który funduje nam wojny i pandemię, żeby zdepopulować ludzkość. „Zrobiliśmy z niego oprawcę, a może on tak naprawdę chciał nas wszystkich ustrzec po prostu" – mówiła. A Cyprian Majcher słuchał.

Słuchał Adama „Akasha" Kubiaka – rapera, który pod wpływem doznań z substancjami psychodelicznymi doświadczył pola toroidalnego, odkrył świętą geometrię i wysłał w stratosferę balon na wysokość 37 km, żeby potwierdzić, że Ziemia jest płaska. Zdjęcia z kosmosu to globalna mistyfikacja – przekonywał. Według niego heliocentryzm to spisek. Bogate elity ukrywają prawdę, żeby utrzymywać ludzkość w niewiedzy, bo dzięki temu łatwiej manipulować społeczeństwem. – To będzie najbardziej odjechany podkast – cieszył się Majcher.

Odkrywca i jego prawdy

Dr Franc Zalewski to przypadek szczególny. Mówi o sobie w podkaście u Majchera: „Z zawodu jestem geologiem, mineralogiem, ale także archeologiem, kosmologiem, egiptologiem. Fascynuję się matematyką, a z powołania jestem odkrywcą prawdy w Polsce, jak i na świecie". Faktycznie ma tytuł doktora, uzyskany w Instytucie Nauk o Ziemi na Uniwersytecie Śląskim. Potrafi przedstawiać swoje koncepcje w pseudonaukowym sztafażu, zarzucając słuchaczy liczbami i danymi.

A koncepcje ma osobliwe – ewolucji nie było, stałe fizyczne to fikcja, szczepionki to loteria: „ktoś dostaje cukier, ktoś sól fizjologiczną, a ktoś jajo stwora"; Księżyc jest w środku pusty, kiedyś były dwa, ale jeden zestrzeliły rozwinięte cywilizacje, które wcześniej żyły na Ziemi. A historia według dr. Franca wyglądała tak – ok. 400 tys. lat temu na Ziemi awaryjnie lądował statek kosmiczny (osobiście odnalazł ślady tego lądowania w Indiach, ciągną się na 60 km). Przylecieli nim Ariowie czterech ras: Daryjczycy, Haryjczycy, Rusini i Świętorusini – błękitno- i zielonoocy blondyni. Po nich na Ziemię dotarli Anunakowie. Te dwie wysoko rozwinięte cywilizacje walczyły ze sobą. Także po potopie, który nastąpił 13 tys. lat temu. Dopiero gdy zużyli całą broń i zniszczyli cały sprzęt, ich cywilizacje upadły. Odrodziły się potem, ale na dużo niższym poziomie.

Jak głosi dr Zalewski, potomkowie Anunaków tworzą kraje muzułmańskie, a Ariów chrześcijańskie. Europa leży na resztkach Atlantydy, a większość zabytków, m.in. budowle w Szkocji, katedry we Francji i Hiszpanii czy nawet polskie zamki, takie jak Rabsztyn i Ogrodzieniec, pochodzą z czasów przedpotopowych. Franc Zalewski bada pod tym kątem zabytki architektoniczne i wszędzie znajduje ślady mechanicznej obróbki, wymagające wysoko rozwiniętych technologii. Płaskorzeźby w egipskim Luksorze są według niego dowodem na to, że funkcjonowało tam przed potopem laboratorium genetyczne, gdzie produkowano ludzi.

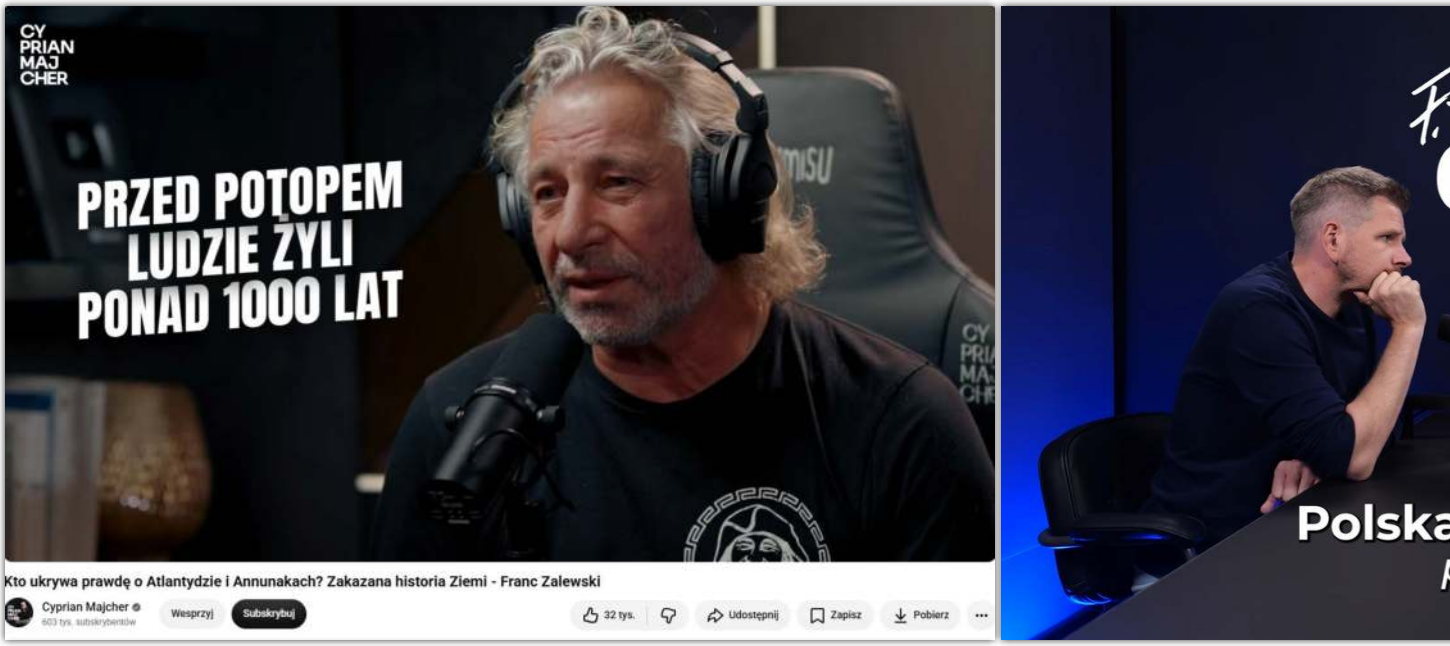
„Żebyśmy mieli jasność, to, co mówisz, to nie są żadne domniemania, ale każdy aspekt możesz udowodnić" – upewnia się Majcher. I ubolewa, że w szkole, na lekcjach historii nic o tym nie było. „Szarą masą łatwiej rządzić" – poucza Zalewski. A kto rządzi? Zalewski nie mówi tego wprost, ale wspomina o jeszcze jednej cywilizacji, która przybyła na Ziemię i do dziś podsyca konflikt między potomkami Anunaków i Ariów – „czarnogłowi osobnicy w małych czapeczkach".

I to jest moment, w którym bajanie o Anunakach i Ariach przestaje być zabawne i niewinne. Źródłem wiedzy, na które powołuje się Zalewski, są „Wedy aryjskie" – rzekomo zaginione, ale „odtworzone" w latach 90. XX w. przez rosyjskiego ezoteryka Aleksandra Chiniewicza. Można powiedzieć, że to współczesne „Protokoły mędrców Syjonu". Chiniewicz stworzył skrajnie nacjonalistyczny ruch, głoszący supremację białej rasy – „rasy panów", czyli Słowian – Ariów, walczących z „siłami ciemności", które zawiązały spisek, by ukryć prawdziwą wielkość prasłowiańskich imperiów. Potajemnie dążą do przejęcia władzy nad światem, zniszczenia białej rasy i manipulowania ludzkością. W komentarzach Chiniewicza są oni metaforą narodu żydowskiego. W Rosji „Wedy aryjskie" zostały zakazane jako materiały o charakterze ekstremistycznym. W Polsce ukazało się właśnie tłumaczenie ich pierwszego tomu.

Reptilianie to już oczywistość

A dr Franc Zalewski gości w kolejnych podkastach. Wygląda to trochę tak, jakby na YouTube funkcjonowała „giełda szurów", ekscentrycznych rozmówców, w stylu „językoznawcy", który twierdzi, że w starożytnym Egipcie mówiono po polsku, bo to „pierwszy język", od którego pochodzą wszystkie inne, czy gościa w masce Anonimusa, który wie wszystko, bo kontaktuje ▶

eprasa.pl ef163c68fb



Dr Franc Zalewski koncepcje ma osobliwe – ewolucji nie było, stałe fizyczne to fikcja, szczepionki to loteria. Po prawej: **youtuberem o gigantycznych zasięgach, Jego rozmowę z Robertem Bernatowiczem, specjalistą od kosmitów, obejrzało 1,2 mln ludzi.**

▶ się ze Stwórcą, i opowiada, gdzie żyją syreny. Mniejsi podkasterzy śledzą tych największych i jeśli zasięgi są zachęcające (rozmowa Majchera z dr. Zalewskim przekroczyła 670 tys. widzów), zapraszają ich do siebie. Sukcesu może nie powtórzą, ale kolejnych 100 tys. widzów wysłucha aryjskiej klechdy czy pseudomedycznych rewelacji. Gdy spojrzeć w komentarze, widać, że część osób ogląda te rozmowy „dla beki", ale całkiem spora część – nie.

Wizja płaskiej Ziemi zaludnionej przez kosmitów hula jak pożar na stepie. Przekaz się multiplikuje. Jak tłumaczył na łamach POLITYKI popularyzator nauki dr Dawid Myśliwiec, jeśli spotykamy się z czymś często, to to normalizujemy. Kiedyś rzadko można było usłyszeć o reptilianach. Dziś nietrudno o „informację", że rządzą światem. Z kategorii „dziwne" przeszło to do kategorii „ciekawe". A grunt jest podatny. Jak wynika z ostatnich badań Eurobarometru, prawie 40 proc. Polaków odrzuca teorię ewolucji. Według 47 proc. lek na raka istnieje, ale jest ukrywany. 43 proc. jest przekonanych, że wirusy produkowane są w rządowych laboratoriach, żeby kontrolować naszą wolność. Szok społeczny, jakim była pandemia, jeszcze ten klimat potęguje. W wielu ludziach nauka budzi już nie tyle nieufność, ile pogardę i wrogość.

Na korzyść teorii spiskowych działa także fakt, że ludzie czerpią przyjemność z uczucia posiadania wiedzy tajemnej, niedostępnej dla wszystkich. Media społecznościowe działają jak pudło rezonansowe. Kiedyś deklaracja wiary np. w płaską Ziemię czy zaludniających ją kosmitów mogła być nieco wstydliwa. Gdy ten przekaz jest publicznie powtarzany w mediach społecznościowych, łatwiej się do niego przyznać. A na takie treści można trafić nawet w podkastach prowadzonych przez popularnych celebrytów.

Komunikatorka międzygatunkowa

Youtuberem o gigantycznych zasięgach, który tworzy przestrzeń dla dziwnych teorii, jest Filip Chajzer. Jego rozmowę z Robertem Bernatowiczem, specjalistą od kosmitów i reinkarnacji, obejrzało 1,2 mln ludzi. Zaczął od tego, że nie ma śmierci; „Bez dyskusji, nawet mnie nie rozśmieszaj" – mówił, a Chajzer wpatrywał się w niego jak w proroka. Dla widzów, świadomych, że w wypadku samochodowym stracił dziewięcioletniego syna, mógł to być przykry widok. Przez ponad godzinę Bernatowicz tłumaczył mu, że syn nie umarł, bo śmierć to złudzenie, tylko zakończył pewien etap. Trafił do krainy światła, tam na górze, gdzie dusze omawiają swoje kolejne wcielenia. A ból po stracie? Im trudniej, im więcej łez, tym lepiej dla duszy.

Niedługo po tej rozmowie Chajzer zaprosił Bernatowicza po raz kolejny. Tym razem więcej było o kosmitach. Na przykład o tym, jak w 1957 r. na ich statek trafił pewien człowiek, który relacjonował potem, że jego opiekunka nazywała się Dagola, pochodziła z planety Alia i była hermafrodytą. Dagola mówiła do ekranu, a ten jej odpowiadał. Tłumaczyła temu człowiekowi, że to odwzorowanie neuronów w mózgu, które ludzkość też kiedyś odkryje, dzięki czemu będzie mogła rozmawiać z istotami, które bardzo jej pomogą. „To był 1957 r. Masz jakieś pytania?" „Przecież to sztuczna inteligencja" – odkrywa z zachwytem Chajzer. „Tak. To dusza włożona w maszynę" – podsumował Bernatowicz.

O duszach, ale zwierzęcych, było też sporo w rozmowie Chajzera z Klaudią Głowacką, która określa się jako medium, komunikatorka międzygatunkowa. Komunikuje się telepatycznie ze zwierzętami, także zmarłymi. Potrzebuje tylko zdjęcia, łączy się energetycznie na odległość i sczytuje z pola tego zwierzęcia informacje, które chce przekazać. Przez bitą godzinę snuła opowieści o rozmowach z psami i kotami, ale też końmi czy królikami.

A Chajzer wtrącał głównie przerywniki: „Naprawdę?! To niesamowite!". „A zdarzyło się, że zwierzę nie chciało z tobą gadać?" – dopytywał. Okazało się, że tak; pewien koń powiedział jej: „Teraz jem, przyjdź później". Obecny w studiu pies Chajzera też nie był zbyt rozmowny, bo spał. Ale Klaudia Głowacka, na prośbę Chajzera, rozmawiała z nim już wcześniej. I tu prowadzący zastawił pewną pułapkę. Spytał, czy pies powiedział coś, o czym może wiedzieć tylko on. Powiedział – przyznała międzygatunkowa komunikatorka – że wszedł w coś obrzydliwego, co musiałeś potem wycierać. – To prawda – ucieszył się Chajzer – wszedł w gówno! Klaudia Głowacka miała też dla Chajzera przekaz ogólny od psa: „Żyj w zgodzie ze sobą. Nie oglądaj się na innych. Nie daj się

eprasa.pl ef163c68fb



który tworzy przestrzeń dla dziwnych teorii, jest Filip Chajzer.

© YOUTUBE CYPRIAN MAJCHER, YOUTUBE FILIP CHAJZER

doprowadzić do ściany, a jak już przy niej jesteś, to się od niej odbij. To ci daje dużą siłę. Nie walcz, bądź w zaufaniu, bo świat ci niesie nagrodę". Chajzer był wzruszony.

Biznes na wcieleniach

I to wszystko może jest zabawne, ale nie do końca. Klaudia Głowacka to niejedyna komunikatorka międzygatunkowa. Robi się z tego nowa profesja, żerująca na tym, że ludzie coraz częściej traktują zwierzęta jak członków rodziny i bardzo przeżywają ich śmierć. W internecie można znaleźć oferty telepatycznych sesji, które prowadząca przeprowadzi ze zwierzęciem, a potem podzieli się wynikami z właścicielem. „To wyjątkowa chwila, w której Twój pupil może opowiedzieć Ci swoją historię tak, jak nigdy wcześniej, wprowadzając spokój i radość do Waszego wspólnego życia". W cenie 399 zł. U Klaudii Głowackiej jest trochę drożej. Pakiet kosztuje 1000 zł, ale oprócz sesji ze zwierzęciem obejmuje też sesję bioenergoterapii. „Jeśli pojawią się blokady, to od razu z nimi pracuję. Dobieram odpowiednią aromaterapię" – zapewnia Głowacka.

Gdy ogląda się podkasty takich prowadzących, jak Filip Chajzer czy Cyprian Majcher, nasuwają się pytania: Czy oni naprawdę wierzą w to, co słyszą? Czy ich rozmówcy wierzą w to, co mówią? Czy to cyniczny pomysł biznesowy? Tak czy inaczej, kasa się zgadza. Zysk prowadzących jest oczywisty. Im większe zasięgi, tym większe dochody. A jeśli chodzi o rozmówców, zazwyczaj okazuje się, że wokół swoich teorii mają zbudowany mniejszy lub większy biznes. Podkast, który obejrzą setki tysięcy ludzi, daje im reklamę.

Anna Głowacz prowadzi internetowy sklep, w którym sprzedaje swoje książki; a pisze przynajmniej jedną rocznie. I nie są to rzeczy tanie. Ilustrowany „Atlas istot pozaziemskich", w którym opisuje 177 kosmicznych ras, kosztuje prawie 250 zł. Sprzedaje też warsztaty online albo wyjazdowe (m.in. do Tunezji z opcją all inclusive), narzędzia diagnostyczne „wspomagające i przyspieszające rozpoznanie energii duszy i planu jej doświadczania, niezbędnych w zachodzących procesach transformacji", pracę na wcieleniach i sesje uzdrawiające niemal wszystko – od nerek i tarczycy, po włosy i paznokcie.

Dr Franc Zalewski także sprzedaje konferencje online, wyjazdy edukacyjno-badawcze, na przykład do Egiptu, podczas których pokazuje niedowiarkom ślady przedpotopowych, wysoko rozwiniętych cywilizacji. W podkastach reklamuje swoją książkę o Wielkiej Piramidzie, która jest według niego jedyną rzetelną pozycją na świecie, jaką na ten temat napisano.

Wszystko wskazuje na to, że biznes, który wyrasta wokół teorii spiskowych i pseudomedycznej szarlatanerii, jest na fali wznoszącej. Sprzyjają mu niepewne czasy. Kiedy trudno zrozumieć rzeczywistość, a przyszłość jest nieprzewidywalna, teorie spiskowe są alternatywą dającą subiektywne poczucie bezpieczeństwa. Wokół ich głosicieli tworzą się grupy, które można porównać do sekt, które zaspokajają potrzebę relacji. Lepiej być w jakiejś wspólnocie niż w żadnej; choćby to byli nawet płaskoziemcy.

JOANNA PODGÓRSKA

REKLAMA



POLSKA STOLICA KULTURY
Projekt Polskie Stolice Kultury 2026–2028 jest finansowany przez Islandię, Liechtenstein i Norwegię w ramach funduszy EOG oraz ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Iceland Liechtenstein Norway grants
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Polskie Stolice Kultury dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
75 NARODOWE CENTRUM KULTURY
Partner: Bielskie Centrum Kultury
Patroni medialni: Trójka Polskie Radio, Radio Katowice, MINT, K MAG, VOGUE BAZAAR

eprasa.pl ef163c68fb

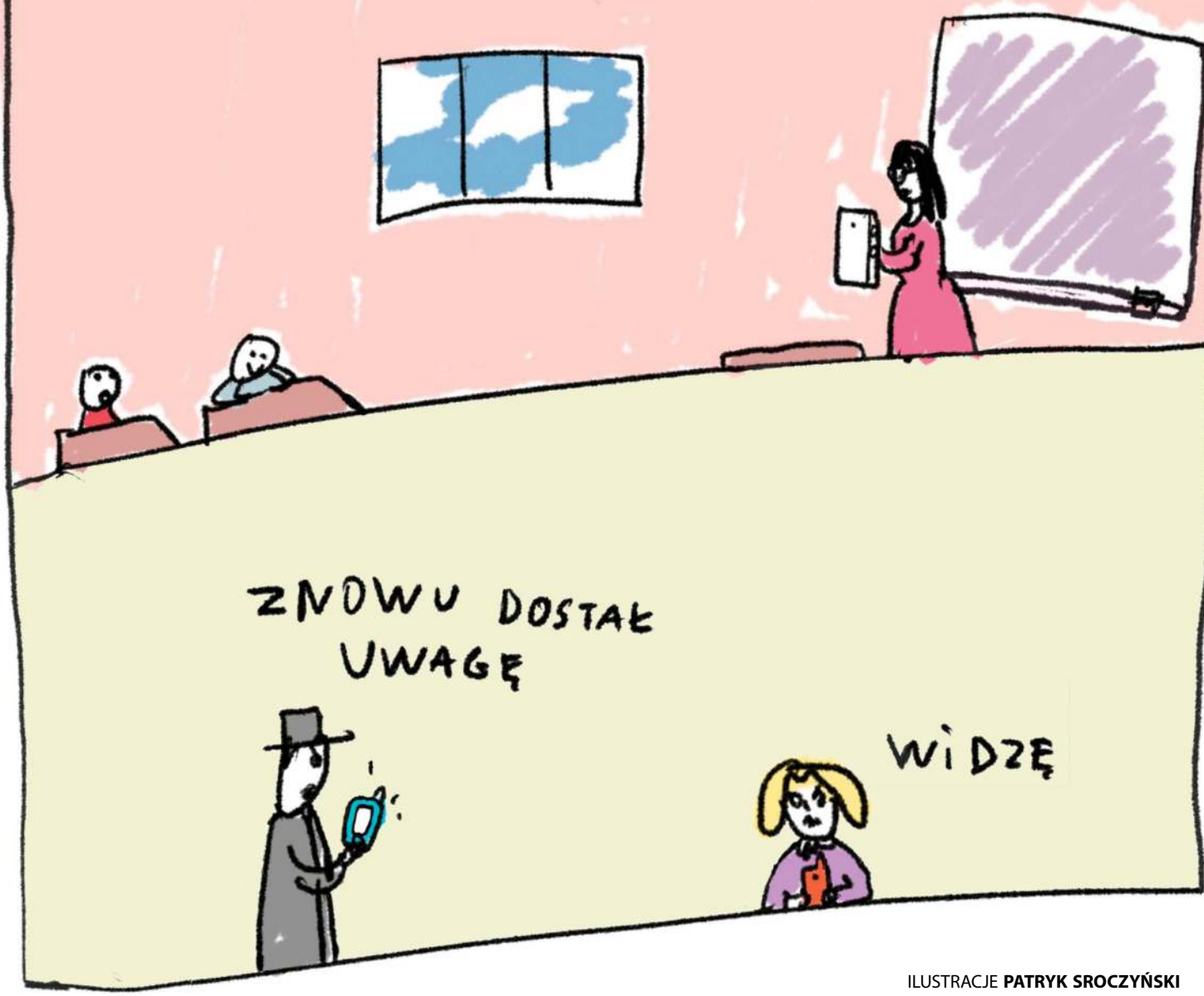
Komu dane

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Odrzucony przez Karola Nawrockiego państwowy dziennik elektroniczny denerwowałby rodziców pewnie tak samo jak komercyjne dzienniki. Ale przynajmniej za darmo. No i nie byłoby podejrzeń, że Pałac Prezydencki gra z uczniami w durnia, bo weto jest co najmniej dyskusyjne.

Papierowa era wygasa w oświacie od 2009 r., kiedy weszło w życie zezwalające na to rozporządzenie MEN. Po pierwszej fali entuzjazmu elektroniczny dziennik zaczął rodziców męczyć, a z czasem niemal prześladować. – *Bunt, złość, tak bym te emocje nazwała* – mówi Magdalena Genow, pisarka i mama, która poświęciła e-dziennikom gorąco komentowany wpis w social mediach. „Czekałam z otwarciem do 31.08. Za każdym razem czuję się, jakbym musiała wrócić do szkoły i od nowa przejść wszystkie klasy. Librus", oznajmia w nim Genow i wylicza wady systemu, a pod spodem zbiera się mała masa krytyczna z podobnie myślącymi rodzicami. MEN miał własny problem z e-dziennikiem. Konkretnie taki, że w zasadzie stracił kontrolę nad tym, co dzieje się w szkole. Próba odzyskania jej rozbiła się o weto. Karol Nawrocki, który „Polska" i „polskie" odmienia przez wszystkie przypadki, wolał pozostawić dane dzieci w rękach zagranicznych firm. Ciekawe, co go przekonało?

Polskie szkoły korzystają dziś najczęściej z dwóch komercyjnych e-dzienników: Librusa i Vulcana (rodzice nazywają go „Rzymianinem"). Obydwa są pozornie bezpłatne. Pozornie, bo w wersji dla oszczędnych



ILUSTRACJE **PATRYK SROCZYŃSKI**

eprasa.pl ef163c68fb

jest bardzo oszczędna oferta. System został tak zaprojektowany, że korzystanie bez aplikacji jest uciążliwe. A korzystanie z aplikacją jest już płatne. Sprytne.

E (tam) lobby

Darmowy publiczny dziennik miał przeciąć duopol i odzyskać kontrolę nad danymi. W zamyśle miał być też bezpieczniejszy, bo schowany w aplikacjach mObywatel i mObywatel Junior. We wrześniu w wybranych ok. 40 placówkach ruszyłby pilotaż, a od przyszłego roku dziennik byłby już wdrażany powszechnie (jako jedna z opcji do wyboru, obok podmiotów komercyjnych). Nic z tego nie będzie. – *Po wecie prezydenta projekt publicznego eDziennika nie będzie kontynuowany. Nie będzie też pilotażu* – wyjaśnia definitywnie rzeczniczka MEN Ewelina Gorczyca.

„Trochę więcej pracy, trochę więcej rozsądku, trochę mniej pośpiechu. Nie róbmy z dzieci testerów. Przygotujcie dobrą ustawę, zostanie podpisana", tłumaczył swoje weto Karol Nawrocki. Resort edukacji odpowiedział, że nie poprawiłby w projekcie niczego, a prezydenta najwyraźniej ktoś przekonująco odwiódł od złożenia podpisu. Ministra Barbara Nowacka pisze na X wprost o „lobbystycznym wecie". – *Pytania o możliwy lobbing nie pojawiły się bez powodu* – wyjaśnia Ewelina Gorczyca. – *Argumenty zawarte w uzasadnieniu prezydenckiego weta były zbieżne z tymi, które wcześniej podnosili komercyjni dostawcy e-dzienników. To nie MEN powinien dziś rozstrzygać, czy do lobbingu doszło. Od tego są odpowiednie służby i dlatego ministra Barbara Nowacka zwróciła się o zbadanie tej kwestii*. Kancelaria Prezydenta w piśmie do POLITYKI na pytania o lobbing nie odpowiedziała.

Czego się zatem obawia Karol Nawrocki? „Państwo chce stworzyć jeden centralny system, w którym znajdą się bardzo wrażliwe dane uczniów – grzmiał w specjalnym nagraniu. – Numery PESEL, zdjęcia, oceny, frekwencje, a także informacje o specjalnych potrzebach edukacyjnych". Prezydent, również rodzic, zapomniał chyba, że ten sam zestaw danych gromadzą dziś prywatne firmy. Na dodatek zarówno Librus, jak i Vulcan mają zagranicznych właścicieli. Pierwszy należy do koncernu Sanoma, fińskiego wydawcy edukacyjnego (działa poza Polską m.in. w Belgii, Hiszpanii, Szwecji i we Włoszech), drugi – do Public Consulting Group z Bostonu, firmy oferującej rozwiązania informatyczne (świadczy usługi również w Kanadzie i Wielkiej Brytanii).

Obydwa systemy są nieźle zabezpieczone, a wrażliwe informacje – jak zapewniają prezesi obu spółek – spoczywają w centrach danych na terenie kraju, chronionych ponoć i przed pożarami, i przed atakami sieciowymi. Do włamań jednak dochodzi, a niedawna afera z MyDr (gdy wyciekły dane 19 mln Polaków) zmusza do wzmożonej czujności. W tym roku uczniom z Otwocka zostały wystawione jedynki na koniec semestru, w aplikacji pojawiły się wulgarne wiadomości. Na Dolnym Śląsku były próby wyłudzeń: rodziców poproszono o wpłaty na rzekomą wycieczkę do kina. Librus tłumaczył, że to pojedyncze incydenty, które mogą się przytrafić, jeśli konto zostanie przejęte albo wkradnie się złośliwe oprogramowanie. Uwierzytelnienie dwuskładnikowe, wymagające potwierdzenia tożsamości, minimalizuje takie ryzyko, ale nie jest obowiązkowe.

Czy państwowy dziennik byłby lepiej zabezpieczony – tego się już nie dowiemy. Logowanie przez mObywatela albo Profil Zaufany (w przypadku nauczycieli) chroni zasadniczo przed kradzieżą hasła, to solidna zapora. Ale nie ma zapór szczelnych w stu procentach. „W lutym awaria Profilu Zaufanego odcięła Polaków od logowania do usług państwa, takich jak login.gov.pl, mObywatel czy ZUS przy okazji startu obowiązkowego KSeF. Natomiast w sierpniu certyfikaty w mObywatelu wygasły dzień wcześniej, niż powinny, i część użytkowników straciła dostęp do dokumentów" – przypomniał w rozmowie z TVN24 Tomasz Turba, specjalista do spraw cyberbezpieczeństwa z serwisu Sekurak.

Weto prezydenta przeszło w miarę gładko również dlatego, że MEN nie potrafił zadbać o wsparcie dla projektu wśród nauczycieli. Z ich perspektywy to nowy system, który trzeba by od zera opanować. Na nich spoczął by pewnie ciężar przeprowadzki z Librusa czy Vulcana do eDziennika. Środowisko nie lubi też wolt ogłaszanych w środku lata, kiedy procedował w tej sprawie Sejm, a potem zmiany przyklepywał Senat. Związek Nauczycielstwa Polskiego sygnalizował, że pedagodzy objęci pilotażem musieliby pracować przez jakiś czas równocześnie w dwóch systemach. Nie mieli na to ochoty i już mieć nie muszą, choć własny projekt e-dziennika zgłosił od razu Rozwój Plus Mateusza Morawieckiego. Rzekomo najlepszy z możliwych, choć w mglistych założeniach – ma być za darmo i bezpiecznie – zbliżony do propozycji MEN.

Co zadane?

Na razie wszystko zostaje po staremu, czyli na niby: niby za darmo i niby dobrowolnie. – *To skandal, że trzeba płacić za aplikację, która jest traktowana przez szkoły jako główna forma komunikacji* – mówi Martyna, mama 8- i 13-latki, obsługująca dwa uczniowskie konta. Za wstęp na zebrania i konsultacje z nauczycielami w publicznej szkole przecież się nie płaci. O usługach elektronicznych, które kiedyś były za darmo, a teraz żądają opłat za byle durnotę, znany aktywista internetowy Cory Doctorow mówi, że to przejaw „gównowacenia", czyli zepsucia.

Państwowy dziennik kosztowałby budżet ok. 216 mln zł w rozłożeniu na dziesięć lat. Za Librusa czy Vulcana płacą dziś głównie samorządy – jak szacuje MEN, ok. 40 mln zł rocznie. Obie firmy świadczą też inne usługi edukacyjne, organizują szkolenia itd. A za opcje ekstra płacą im bezpośrednio rodzice: 30–50 zł rocznie w zależności od pakietu. Niewiele, ale działa efekt skali, nawet biorąc pod uwagę niż demograficzny (to nadal 5 mln osób w wieku szkolnym). MEN oszacował te zyski na 100 mln zł. Prezes spółki Vulcan Jacek Różycki pisze POLITYCE, że to kwota „mocno przesadzona", nawet gdyby pododawać wpływy wszystkich rynkowych graczy.

Rodzice nie muszą, ale zwykle płacą za rozszerzone pakiety, bo to przydatne, wręcz niezbędne udogodnienia: szybkie powiadomienia na telefon (informacje o spóźnieniach czy nieobecnościach tracą sens po paru godzinach), wiadomości, e-usprawiedliwienia, brak reklam itd. Darmowa jest okrojona wersja dziennika w przeglądarkach internetowych.

Od września dorośli muszą się więc przyspawać do smartfonów, żeby orientować się w sprawach dzieci i szkół – to kolejny powód rozżalenia. Nowy stopień. Lekcja odwołana. Zastępstwo. Konkurs. Szczęśliwy numerek. Powiadomienia na ekranie i towarzyszące im charakterystyczne plumkanie to dla rodziców chleb powszedni przez dziesięć miesięcy w roku. Mają wgląd w plan lekcji (włącznie z numerami sal i nazwiskami nauczycieli) i oceny (na bieżąco uśredniane), tu się ▶

eprasa.pl ef163c68fb

▶ dowiadują, co należy przynieść na zajęcia (ołówki HB, zeszyt, żołędzie) i z jakich podręczników korzystać. – *Z jednej strony oczywiście przyjemnie jest widzieć oceny dziecka i mieć bezpośredni kontakt z nauczycielami* – mówi Daniel, tata 12-latka. – *Z drugiej strony komunikat „masz wiadomość dla ucznia Jan" bywa stresujący.*

Zasadniczo są dwie szkoły: część rodziców sprawdza dziennik regularnie, część – ta buntownicza – sporadycznie, zdając się na samodzielność dzieci. A jednak dowolność też bywa gdzieniegdzie czysto teoretyczna. Na pierwszych zebraniach rodzice są w tych sprawach instruowani, a czasem otrzymują do podpisu kwitek z zapewnieniem, że będą do dziennika zaglądać codziennie. Wolno odmówić, ale to się może zemścić. – *Koledzy opowiadali, że rodziców tak się straszy: jeśli nie będą zaglądać do dziennika, system to odnotuje i wychowawca się dowie* – mówi Dariusz Chętkowski, polonista z Łodzi i bloger POLITYKI. – *Pomijając skrajne sytuacje, nie wiem, czy to w ogóle jest sensowne, żeby dorośli ludzie mówili do dorosłych ludzi, żeby zajmowali się swoimi dziećmi.*

Alerty przychodzą na telefon z różną częstotliwością i o różnych porach, niektóre są istotne, inne pomijalne. W tej masie łatwiej przeoczyć to, co naprawdę ważne, albo źle coś zrozumieć. Córce Martyny któregoś dnia odwołano pierwszą lekcję; w wolne miejsce polonistka wpisała „przypomnienie o nauce alfabetu". To była źle oznaczona praca do domu. Połowa klasy niepotrzebnie przyszła na ósmą do szkoły. – *Raz wyłączyłam powiadomienia i umknęły mi zapisy na kółka naukowe* – opowiada Martyna. – *Załapali się tylko ci, którzy pierwsi odpisali w aplikacji. To przecież absurd.*

Dzieci i nastolatki mają swoje konta w aplikacjach, z dostępem do planu lekcji i rozpiską prac domowych, co – nawiasem mówiąc – kłóci się niejako z zakazem smartfonów i towarzyszącym mu przekazem o zaletach ograniczania ekranów. – *Syn miał pretensje, że nie sprawdzam Librusa codziennie tak jak inni rodzice* – przyznaje Magdalena Genow. – *Sam zaczął zaglądać, a mnie to odpowiadało, bo nie jestem typem kontrolującym i mam do niego pełne zaufanie. Niestety pochwalił się tym w szkole i okazało się, że nie jest to mile widziane.*

Część rodziców wciska dzieciom notesy, zachęca do uważności, pilnowania, co zadane. Ale brudnopisy są po szkole zwykle czyste. Wiele krajów (Dania, Szwecja czy



Francja) robi tymczasem krok wstecz, wraca do tablicy, książek, zeszytów, odręcznego pisania i ustnych egzaminów. W Polsce rozmowa na ten temat też powinna się już toczyć; badania PISA (omówione w poprzedniej POLITYCE) potwierdzają, że potrzeby są pilne.

Twarze nieznane

Opracowując jakikolwiek nowy system, należałoby ten krok wstecz postawić: przestudiować, co wyszło w ostatnich latach, a co się nie sprawdziło. Papierowe dzienniki służyły w pierwszej kolejności nauczycielom, miewali do nich wgląd uczniowie (pod nadzorem), rodzice wcale. E-dzienniki wywróciły ten porządek. Sami pedagodzy raczej nie narzekają, bo „w papierach" wszystko się zgadza i mają jeden domyślny kanał do komunikacji z rodzicami (już ich nikt nie tropi w social mediach). Rzecz w tym, że korzystają z e-dzienników również na prywatnych smartfonach i wklepują dane po godzinach. Dziennika z tektury nie zabraliby do domu.

No i jest jeszcze drugie dno. – *Najbardziej bulwersuje mnie pomijanie dzieci w szkolnej komunikacji* – mówi Magdalena Genow. – *Odbiera im się podmiotowość, poczucie odpowiedzialności i sprawczości. Rodzic ma się martwić o oceny, pamiętać o jarzębinie na plastykę. A jak dziecko o czymś zapomni, to jest „wina mamy". Mam wrażenie, że wychowujemy pokolenia, które są we wszystkim wyręczane. To krzywdzące i niebezpieczne. Kto potem przejmie tę rolę rodzica? Pracodawca?*

Faktem jest, że ucyfrowienie oświaty stworzyło nową sytuację psychologiczną, której pewnie nikt nie planował. Uczniowie są zwalniani z pamiętania i myślenia. Rodzice czują się, jakby wrócili do szkoły. Oraz jak więźniowie smartfonów i wszechwiedzący Wielcy Bracia. – *Moje córki nawet na wagary pójść nie mogą* – dodaje Martyna. – *Spóźnią się minutę na lekcję i ja już to widzę. Dostaną pałę – dowiaduję się przed nimi.* Syn Daniela dostał jedynkę bez wyjaśnienia i do dziś boi się tabliczki mnożenia.

Co do paru spraw wszyscy dorośli – rodzice i nauczyciele – chyba się zgadzają. Po pierwsze, duopol na rynku nie jest sytuacją optymalną ani zdrową, e-dzienników powinno być więcej (podręczniki też wybiera się przecież z większej oferty). Po drugie, powiadomienia w aplikacji – nieważne, czy mowa o firmie prywatnej, czy o państwowym narzędziu – należałoby uporządkować, np. rozważyć, czy o nowych stopniach trzeba informować błyskawicznie, zanim oswoi się z nimi sam uczeń. – *Wszelkie sprawy inaczej wyglądają w pierwszej sekundzie, a inaczej, kiedy już się ochłonie* – mówi Chętkowski. – *Rodzice z nadmiarem informacji o dzieciach sobie nie radzą. Psychika człowieka działa tak, że jeśli dostaje 100 informacji, z tego 99 jest dobrych, a jedna zła, to skupia się na tej złej. U dziecka jest odwrotnie, powie raczej: „Ale dostałem piątkę z polskiego", co z tego, że jedynkę z matematyki. Jeśli dziecko ma szansę powiedzieć rodzicowi o wszystkim na zasadzie: „Mam dobrą i złą wiadomość, od której zacząć?", to jest inna rozmowa. Ale dziś decyduje rodzic, który widzi tylko tę złą wiadomość. Dziecko zaczyna myśleć: „Cokolwiek bym zrobił dobrego, i tak zawsze będę krytykowany".*

Z tego wynika „po trzecie" – trzeba więcej rozmawiać, ale po staroświecku, twarzą w twarz. Technologie mimochodem zmieniają relacje rodziców z dziećmi. Z nauczycielami również. Paradoks polega na tym, że kontakt jest permanentny, ale wirtualny i płytki, rodzic staje się wyciągiem wiadomości z Librusa – i odwrotnie. – *Skoro przestawiliśmy się na komunikację poprzez e-dziennik, na odległość, zdalną, to właściwie nie mam pojęcia, kim są rodzice moich uczniów* – przyznaje Chętkowski. – *I nie zawsze rozumiem, z czego wynika zachowanie dzieci.*

W wielu szkołach spada liczba zebrań dla rodziców, czasem przez cały rok odbywa się tylko jedno, we wrześniu. Resztę załatwia e-dziennik. Dorośli siłą rzeczy mogą jeszcze bardziej uzależnić się od smartfonów. Ale to temat na oddzielny artykuł.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

eprasa.pl ef163c68fb



© MACIEJ ORŁOWSKI

Ruta Kowalska mieszka w ponadstuletnim domu, którego okolice są dla niej zielonym laboratorium

Kuzyn wrośniak

MAGDA BRZEZIŃSKA

Polacy nie znają roślin, które rosną obok bloku, w parku miejskim czy na łąkach za miastem. I wielu się tego wstydzi. Stąd boom na spacery botaniczne i warsztaty zielarskie.

Milion – odpowiada ze śmiechem dr Sara Orzechowska na pytanie o liczbę przeprowadzonych w tym sezonie spacerów i warsztatów botanicznych. Przyznaje, że z roku na rok ma coraz więcej zleceń – już przestała je liczyć, stąd ta przesadzona, ale odpowiadająca emocjom liczba. Warsztaty zamawiają instytucje kultury (np. Narodowy Instytut Kultury i Dziedzictwa Wsi), ośrodki gminne, NGO-sy, koła gospodyń wiejskich, ale też uniwersytety, szkoły, prywatne osoby. – *Jeżdżę po całym kraju, bo moje warsztaty nie są jedynie zielarskie, poznajemy rośliny z wielu stron, w wielu miejscach, aspektach. Pokazuję, że w wiedzy o roślinach żyje wiele mitów* – mówi Orzechowska, etnobotaniczka, dyplomowana fitoterapeutka, autorka książki „Kobiety i rośliny w folklorze polskim". Na swoim facebookowym profilu Chwaściory opowiada o roślinach rodzimych i inwazyjnych przybyszach, korzeniach leczniczych i jadalnych, o prozdrowotnych właściwościach znamion roślin, np. „wąsów" kukurydzy (napar z wysuszonych „wąsów" polecany jest przy przeroście prostaty).

O rosnącym popycie na warsztaty mówią również inni przyrodnicy, botanicy i fitoterapeuci, czyli specjaliści ziołolecznictwa. Choć trzeba by tu raczej użyć feminatywów, bo przeważają w tej społeczności kobiety. – *Jest boom na wiedzę o roślinach, zwłaszcza o ziołach* – ocenia Hanna Zarzycka-Konieczkiewicz, która od sześciu lat prowadzi warsztaty dla dzieci i dla dorosłych, od kwietnia do końca września. Od dziecka żyła blisko natury, w szkole była dobra z biologii, a w dorosłym życiu czerpała z wiedzy Hanny Świątkowskiej, słynnej „Zielichy", która powtarzała, że „nie zna człowieka, który nie umiałby wejść w kontakt z roślinami".

Nieufni i analfabeci

– *Popularność spacerów botanicznych, przyrodniczych czy ornitologicznych przyspieszyła pandemia. Wielu z nas doceniło wtedy przyrodę, poczuło tęsknotę za nią* – mówi Stanisław Łubieński, pisarz, kulturoznawca, z zamiłowania przyrodnik miejski. Z obserwacji autora „Drugiego życia Czarnego Kota" i „Dwunastu srok za ogon" wynika, że Polacy są bardzo zawstydzeni, że nie potrafią ponazywać roślin, które mijają w drodze do pracy czy odpoczywając w parku. – *Jesteśmy analfabetami przyrodniczymi. Nawet* ▶

eprasa.pl ef163c68fb

▶ *mieszkańcy wsi są od przyrody oderwani – mają coraz mniej okazji, by ją obserwować, żyć jej rytmem, bo mają nowoczesny sprzęt i zautomatyzowaną produkcję* – dodaje Łubieński.

Ile kosztuje bezcenna wiedza

Na spotkania z Sarą Orzechowską przychodzą osoby, które w mijanych codziennie chwastach chcą zobaczyć – za poetką Ellą Wheeler Wilcox – „niekochane kwiaty", poszerzyć swoją wiedzę o przyrodzie. Nie brakuje też osób, które polują na informacje, jak wykorzystać dzikie rośliny w kuchni, a także młodych rodziców pragnących zapewnić sobie i dzieciom zdrowsze życie. Pojawiają się również nieufni wobec medycyny konwencjonalnej. – *Ja mam z tym problem logiczny, bo zielarstwo jest elementem medycyny konwencjonalnej, ale zapewne chodzi im po prostu o metody naturalne* – domyśla się Orzechowska. Wśród uczestników są także zielarze amatorzy, którzy popełniają błędy przy samodzielnym przetwarzaniu ziół i potrzebują superwizora.

Do Ruty Kowalskiej – biolożki, dyplomowanej fitoterapeutki, autorki „O czym szumią zioła" oraz „Receptariusza ziołowego", która prowadzi profil Zioła w pełni – zgłaszają się przede wszystkim ci, którzy chcą nauczyć się podstaw botaniki i samodzielnie leczyć się ziołami. – *Coraz więcej osób widzi, że korzystanie w tej materii z social mediów czy AI może prowadzić na manowce. Często podawane są tam błędne informacje, np. rumianek jest nagminnie mylony z maruną bezwonną albo rumianem polnym* – podkreśla Ruta Kowalska i przewiduje, że w dobie informacji generowanych przez sztuczną inteligencję ludzie będą jeszcze bardziej doceniać czas spędzony z dobrze wykształconymi botanikami i zielarzami. Znajomi Ruty Kowalskiej nazywają ją w żartach „wiedźmą z papierami", bo dysponuje solidną wiedzą akademicką (absolwentka biologii na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu i dwóch studiów podyplomowych z ziołolecznictwa oraz licznych kursów), którą łączy z wiedzą tradycyjną.

Ceny tego typu usług przyrodniczych są zróżnicowane. Te zamawiane przez gminne ośrodki i instytucje kultury są wprawdzie na ogół „bezpłatne" dla uczestników, ale średnia rynkowa cena dwugodzinnego spaceru to ok. 1,4 tys. zł. Często takie spacery proponowane są w ramach budżetu obywatelskiego gminy. Zgłoszony w tym roku projekt do budżetu obywatelskiego gminy Warszawa na zrealizowanie raz w miesiącu półtoragodzinnych rodzinnych spacerów z edukatorką przyrodniczą w zielonych miejscach Targówka wyceniono na 14,4 tys. zł. Na przeróżne warsztaty dla mieszkańców toruńskiego Rubinkowa, w tym przyrodnicze, zapisano w projekcie „Razem dla Rubinkowa" łącznie 74 tys. zł.

Bywa też, że chętni muszą pokryć część kosztów – za dwugodzinny spacer z rozpoznawaniem dzikich roślin, zorganizowany przez kielecki Instytut Dizajnu, uczestnicy płacili po 30 zł (grupa 25-osobowa), a resztę dofinansował instytut. Spacer prowadziła Kasia Sianko, która od sześciu lat organizuje spacery ziołowe w Trójmieście i jak pisze na swojej stronie internetowej: „inspiruje tysiące ludzi do uważniejszego patrzenia pod nogi i nurkowania w miejskie chaszcze i zarośla".

Na większy wydatek trzeba być gotowym, gdy spotkanie nie jest dofinansowane przez instytucje. I tak na przykład dwuipółgodzinne warsztaty prowadzone przez Anetę Zabrzewską, farmaceutkę, zielarkę i edukatorkę, w ogrodzie jej Ziołowej Pracowni kosztują 145 zł od osoby.

Inną odnogą edukacji botanicznej – dostępną nie tylko w sezonie kwitnienia i owocowania roślin – są kursy online. Subskrybenci internetowego Klubu Dzikożerców za 39 zł miesięcznie uczestniczą w całorocznym kursie, w ramach którego dostają sezonowy atlas roślin, live z sekcją Q&A i co miesiąc przepisy na dania z zebranych roślin i grzybów, np. kiszony seler z podagrycznikiem, grzybowe kakao z suszonych wrośniaków, białoporków lub błyskoporków podkorowych.

Na Uniwersytecie Jagiellońskim kurs „Warsztaty terenowe z botaniki", w ramach którego uczestnicy spotykają się z wykładowcami na trzech spacerach po Lesie Wolskim, Forcie Bodzów i okolicach Kampusu UJ w Krakowie, kosztuje 500 zł (33 zł za jedną godzinę lekcyjną). Warunkiem zaliczenia i otrzymania certyfikatu jest przygotowanie własnego zielnika składającego się z 30 gatunków roślin naczyniowych.

Botaniczny spacer... polityczny

Choć tak popularna i poszukiwana, u progu lata tego roku edukacja botaniczna stała się jednak przedmiotem kpin i politycznego happeningu. „Darmowy spacer dendrologiczny" w Łazienkach Królewskich w Warszawie zorganizował 11 czerwca poseł Sławomir Mentzen – jako ironiczną odpowiedź na informacje, że zanim Marta Cienkowska została ministrą kultury, jej firma wygrywała przetargi Zarządu Zieleni m.st. Warszawy na kwotę niemal 1,7 mln zł i w ramach tego zlecenia organizowała między innymi spacery dendrologiczne dla Warszawian.

Na zwołany przez Mentzena spacer z leśnikiem Sylwestrem Machnią (radnym gminy Jabłonna i działaczem Konfederacji i Nowej Nadziei) przyszły tłumy. Spora część uczestników pojawiła się z pobudek politycznych, ale wielu z nich było zainteresowanych przyrodą Łazienek, o czym mówili reporterom relacjonującym wydarzenie. Mogli przyjrzeć się różnicom między dębami czerwonymi i dębami szypułkowymi, rosnącej tu gleditczji trójcierniowej, której strąki mogą służyć za paszę dla zwierząt, a ugotowane nasiona, przypominające w smaku groch, można dodać do zupy. Ci, którzy uważnie spojrzeli pod nogi w części zwanej Ogrodem Romantycznym, natrafili na kokorycz, której bulwy mają działanie psychoaktywne, ale po kilkugodzinnym gotowaniu można je bezpiecznie zjeść, tak jak robiły to kiedyś ludy tubylcze Rosji.

Praktyczna botanika już w PRL stała się ofiarą polityki, kiedy to wyrugowano z edukacji tradycyjną wiedzę o roślinach, którą kiedyś przekazywano z pokolenia na pokolenie – nie pasowała do wizji nowoczesnego socjalistycznego państwa z czystymi, jasnymi aptekami i „panią magister" w białym fartuchu. – *A dziś dorośli, w większości starsi ludzie, chcą wrócić do ziołolecznictwa. Na warsztatach rozmawiamy o chorobach Parkinsona i Alzheimera i o roślinach, które mają działanie lecznicze. Na przykład o aksamitkach, czyli popularnych „śmierdziuchach", z których główek można robić napary, maceraty, o silnym działaniu przeciwbakteryjnym i przeciwzapalnym. Albo o niedocenianym i traktowanym jak chwast podagryczniku – dobrym na stawy, dnę moczanową, na bóle mięśni. O pokrzywie wspierającej organizm w walce z rakiem...* – wylicza Hanna Zarzycka-Konieczkiewicz.

Wprawdzie na spacerach przyrodniczych dla całych rodzin większe zainteresowanie wykazują dorośli – dzieci szybko się nudzą i tracą koncentrację – to jednak właśnie one powinny być jak najczęściej „zanurzane" w przyrodę.

20 lat temu Sandra L. Hofferth z Uniwersytetu w Maryland przeprowadziła badania, z których wynikało, że o poło-

eprasa.pl ef163c68fb



Dr Sara Orzechowska podczas jednego z warsztatów botanicznych

wę zmalała liczba dzieci spędzających czas w naturze – biegając po parku, lesie, skwerze koło domu, bawiących się pod drzewami na podwórku – a wraz z tym pogorszyły się ich sprawność fizyczna i odporność psychiczna. Dziś badania przynoszą jeszcze bardziej dramatyczne dane. Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) zaleca, by dzieci i młodzież codziennie miały przynajmniej 60 minut aktywności fizycznej, ale w Polsce te wytyczne spełnia ok. 17 proc. młodzieży w wieku 11–15 lat i 15–19 proc. dzieci w wieku przedszkolnym (jak wynika z pilotażu dla Ministerstwa Sportu i Turystyki).

Edukatorzy przyrodniczy podkreślają, że to szkoła powinna wyprowadzać dzieci do pobliskiego parku czy lasu, na łąkę czy choćby miejski skwer, gdzie też można znaleźć i rozpoznać mnóstwo gatunków, opowiedzieć o procesach biologicznych. – *Uczenie biologii w klasach, w ławkach jest bez sensu. Dzieci znają regułki, wiedzą na pamięć, co to jest fotosynteza, ale nie potrafią tego przełożyć na bycie w świecie, w naturze. Biologia to powinny być spacery. Dziś są tzw. zielone szkoły, ale niewiele mają wspólnego z poznawaniem natury – dzieci jadą wtedy na przykład do nowoczesnych muzeów czy parku legend, gdzie wszystko jest wirtualne* – mówi Hanna Zarzycka-Konieczkiewicz.

Nowa podstawa programowa, która weszła w życie 1 września, daje szansę na realizację takiej outdoorowej edukacji przyrodniczej. W klasach IV–VI szkoły podstawowej przyroda ma być przedmiotem interdyscyplinarnym (połączeniem biologii i geografii), realizowanym również poza murami szkolnymi, bez notatek, za to z eksperymentami i doświadczeniami. Z trzech godzin lekcyjnych tygodniowo co najmniej dwie mają być połączone w blok.

Natura na receptę

Przyrodnicy oferujący warsztaty i spacery obstawiają, że w przyszłym sezonie liczba zamówionych spotkań, a co za tym idzie liczba uczestników, będzie jeszcze większa niż tegoroczna, bo już nawet lekarze polecają pacjentom regularne zażywanie „witaminy N", czyli kontaktu z naturą. Nasz mózg pracuje wydajniej, jeśli mamy okazję spacerować po lesie, pobiwakować nad rzeką, przemierzyć górski szlak...

Dla Sary Orzechowskiej ten użytkowy aspekt jest oczywisty, ale najważniejsze jest poczucie przebywania w ekosystemie. – *Czyli w pewnym domu. Wyobrażasz sobie żyć w bloku, w którym nie znasz ani jednego sąsiada? Pod jednym dachem z setką nieznajomych? We mnie to budzi lęk: jak można nie znać swojego najbardziej elementarnego miejsca, w którym egzystujemy? Gdy spotykam nowe gatunki, odczuwam mrowiący niepokój – kto to jest, jaki jest? To jak nowy kuzyn w rodzinie. Kiedy mnie ludzie pytają, czemu rośliny, a nie zwierzęta odgrywają taką rolę w moim życiu, odpowiadam: bo rośliny nie uciekają. Zwierząt nie poznasz tak niesamowicie blisko.*

Hanna Zarzycka-Konieczkiewicz dodaje, że spacery stają się coraz częściej okazją do ostatnich spotkań z roślinami, których w wyniku zmian klimatycznych i zanieczyszczenia powietrza wkrótce już nie będzie. – *One jako pierwsze przeżywają szok termiczny. Te, które kiedyś dorastały do metra, dziś zatrzymują się na sześćdziesięciu centymetrach. Zanika choćby wiązówka błotna, zmniejsza się przestrzeń występowania chrobotka reniferowego.*

Ruta Kowalska od 20 lat mieszka w odludnym miejscu na Pomorzu Zachodnim, w ponadstuletnim domu, którego okolice są dla niej żywym zielonym laboratorium. – *Podczas warsztatów sporo uwagi poświęcam temu, że przyroda to nie darmowy market, gdzie można iść, zrywać bez opamiętania, ale sanktuarium, dom innych istot, gdzie chodzimy w gościnę.*

MAGDA BRZEZIŃSKA

© ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl ef163c68fb



Bitwa Kongresowa

We wrześniu 2026 r. przypada 12. rocznica zamknięcia warszawskiej Sali Kongresowej z powodu remontu. Z tej okazji ratusz zapewnia, że jeszcze tylko dwa lata i Sala zostanie ponownie otwarta.

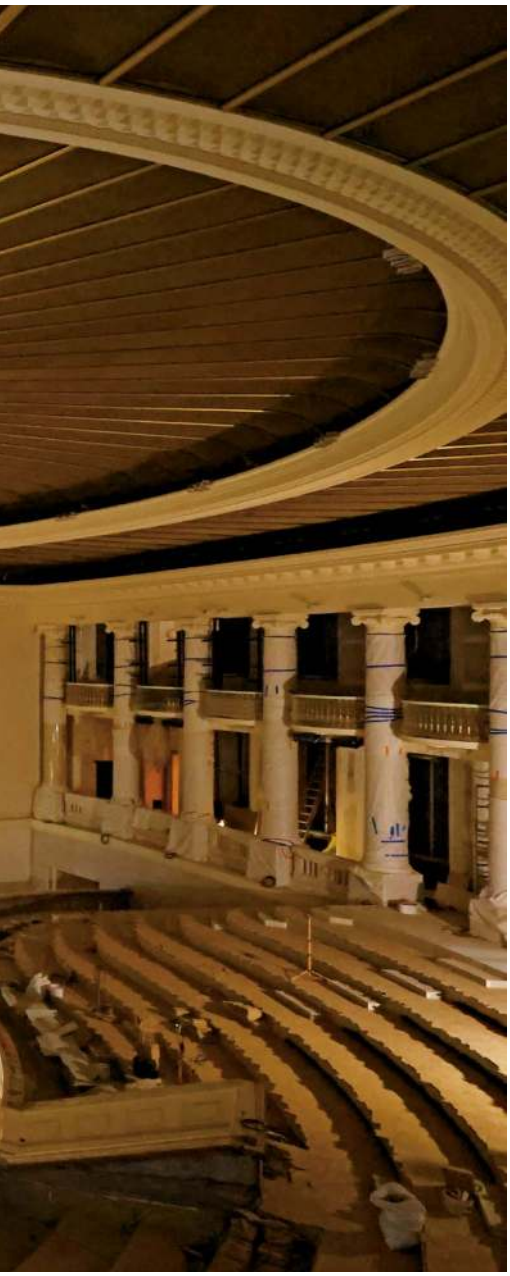
MARCIN KOŁODZIEJCZYK

Dla porównania: cały Pałac Kultury i Nauki, którego Sala Kongresowa jest częścią, zbudowano (wraz z wykończeniem wnętrz) w trzy lata i dwa miesiące. Otwarto go z pompą 22 lipca 1955 r. z okazji Narodowego Święta Odrodzenia Polski. Tak nazywano kolejne rocznice obwołania w 1944 r. w Lublinie polskiej władzy komunistycznej zależnej od ZSRR (Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich).

Powstanie PRL (Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej) też ogłoszono 22 lipca, w 1952 r. Budujący się już wtedy Pałac był oficjalnie darem ZSRR dla PRL. Salę Kongresową projektowano z myślą o zjazdach partii i wystąpieniach politycznych.

Polityka leżała więc u zarania Sali i, jak twierdzą niektóre z osób zaangażowanych na różnych etapach w remont, polityka ma wpływ na najnowsze jej dzieje. Zamknięta od 12 lat Kongresowa to także: karuzela stanowisk, braki pieniędzy, zawiadomienia do prokuratury, procesy sądowe, bankructwa, wstrzymania prac, odstąpienia od umów, kary za niedotrzymanie

eprasa.pl ef163c68fb



© LESZEK ZYCH

terminów, nieprzewidziane koszty. I żal, że miejsce, którym koncertowali The Rolling Stones, David Byrne, Gotan Project czy Siouxsie & the Banshees, stoi puste i niewykorzystane.

Bój

W 2008 r. Krzysztof Markowski, były pierwszy starosta powiatu grodziskiego, zostaje mianowany „prezydenckim pełnomocnikiem do spraw remontu Sali Kongresowej". W stolicy prezydentką jest Hanna Gronkiewicz-Waltz z PO. Pałac Kultury, zwany przez Warszawiaków Patykiem lub Pekinem, już od 1999 r. funkcjonuje jako spółka „Zarząd Pałacu Kultury i Nauki sp. z o.o." (wszystkie udziały należą do miasta). Markowski jest członkiem zarządu, wiceprezesem i dyrektorem technicznym w spółce. Zarząd ogłasza przetarg na projekt modernizacji Sali Kongresowej. To ma być już ostatnia odsłona boju o Salę, który rozpoczął się kilka lat wcześniej.

Czasy są wówczas bardzo napięte politycznie. Po trzech latach rządzenia Warszawą Lech Kaczyński zostaje w 2005 r. prezydentem Polski. W 2006 r. krajem włada niepodzielnie PiS (Kaczyńscy jako prezydent i premier). Natychmiast po objęciu urzędu Jarosław Kaczyński wyznacza Warszawie partyjnego komisarza – Kazimierza Marcinkiewicza, swego poprzednika na fotelu premiera. Taki układ to dla Kongresowej wyrok – ma być przerobiona na teatr muzyczny (jest już gotowy projekt i pozwolenia). To idea Janusza Pietkiewicza, dyrektora Teatru Wielkiego, znajomego Kaczyńskich.

W grudniu 2006 r. rządy w mieście obejmuje Gronkiewicz-Waltz, a już w lutym 2007 r. cały PKiN zostaje wpisany do rejestru zabytków ze względu na „wartość historyczną, artystyczną i naukową". Uratowana przed ludźmi PiS Kongresowa staje się prawnie nietykalna, ale teraz sama musi zostać do nowych przepisów dostosowana (głównie pożarowych i ewakuacyjnych) i już wkrótce jej zabytkowość ma przeistoczyć się z atutu w mankament.

Tu właśnie wkracza Krzysztof Markowski, pełnomocnik do spraw remontu. Od tej pory już wszystko ma iść prosto i sprawnie, remont Sali ma potrwać trzy lata. Ot, wymieni się fotele na niepalne, odświeży wystrój, wyznaczy strefy pożarowe, zamontuje zraszacze i widzowie będą mogli wrócić.

Ale zamiast tego przez kolejne lata toczy się bój za bojem, a klęska goni klęskę.

Mina

W grudniu 2008 r. przetarg na projekt przebudowy wygrywa firma Sound & Space z Poznania. Gotowy projekt (powstały ostatecznie w 2012 r.) kosztował miejską spółkę 1,5 mln zł i, jak informowały media z tamtego czasu, został przyjęty przez Krzysztofa Markowskiego, pełnomocnika ds. remontu, bez uwag krytycznych.

Mimo to wkrótce między Pałacem a projektantem wybucha bardzo ostry spór. Robert Lebioda, szef Sound & Space, twierdzi publicznie, że zarząd Pałacu wymaga na nim zmiany projektu, których nie obejmuje umowa i które znacznie zwiększą zakres prac w Kongresowej, więc także ich koszt. Miasto przewidziało na remont 40 mln zł i nie zamierza dokładać ani grosza. Ratusz odcina się, że projekt Lebiody „do niczego się nie nadawał". Robert Lebioda zostaje odsunięty od prac w Kongresowej. Już w 2013 r. sprawa ląduje w sądzie z powództwa projektanta. Pałac żąda od Lebiody 6 mln zł kary za dwa lata opóźnienia i wady projektu, a Lebioda od Pałacu „co najmniej" 9 mln. Twierdzi m.in., że nie dostał za swoją pracę zapłaty.

Proces trwa latami. W 2016 r. Krzysztof Markowski, pełnomocnik ds. remontu Sali Kongresowej, wypowiada się w „Gazecie Wyborczej", że jest mu „zwyczajnie po ludzku żal" Roberta Lebiody, bo „zrobił sporą robotę", a tymczasem całe honorarium miałby wydać na kary. Markowski opowiada też, że doradzał stronom pójście na ugodę sądową, ale nic nie wskórał.

Tymczasem we wrześniu 2016 r., dokładnie dwa lata po zamknięciu Sali Kongresowej, już i sam Krzysztof Markowski ma kłopoty prawne w związku z remontem, którego był pełnomocnikiem. Zawiadomienie do prokuratury składa na niego prezeska spółki Zarząd PKiN Renata Kaznowska. W zawiadomieniu zarzuca mu błędy (miał zaakceptować niekompletną i wadliwą dokumentację remontu stworzoną przez firmę Sound & Space).

W rozmowie z gazetą Markowski wypowiada znamienne zdanie: zawiadomieniem do prokuratury jest zdziwiony, jednak podskórnie przeczuwał, że taki może być finał. A zdziwiony jest, bo wcześniej nie słyszał od żadnego z wysokich rangą urzędników miejskich złego słowa na temat projektu remontu, który teraz jest tak krytykowany.

Pokazuje to atmosferę panującą w tamtym czasie w Pałacu w związku z Kongresową. Ten plac przebudowy – jak mówią niektórzy z wykonawców robót na ich wczesnym etapie – jest odbezpieczoną miną, którą kolejni urzędnicy przerzucają między sobą w nadziei, że wybuchnie w rękach komu innemu. Główna bitwa, zakulisowa, wydaje się toczyć o to, by oficjalnie nie nazwać remontu „przebudową", a jedynie „adaptacją" lub „modernizacją". Przebudowa byłaby droższa i wymagałaby dodatkowych pozwoleń (konserwatorskich i budowlanych), od kiedy Sala jest chronionym prawnie zabytkiem.

Zwiad

Lech Mill, doświadczony i nagradzany warszawski architekt, trafia do remontowanej Sali Kongresowej w 2015 r. Jego ▶

eprasa.pl ef163c68fb

▶ firma DEM&M Projects (działa od lat 90.) wygrywa przetarg na dostosowanie projektu remontu wykonanego przez Sound & Space (toczy się już wtedy sprawa sądowa Lebioda kontra Pałac). Mill pamięta, że poinformowano go, że w oryginalnym projekcie są niespójności, które czynią go nierealizowalnym, a modernizacja Kongresowej ma polegać na dostosowaniu jej do współczesnych norm ochrony przeciwpożarowej. Chodzi więc o taki projekt, którego realizacja nie potrzebowałaby zdobywania uciążliwych pozwoleń na budowę.

Mill zaczyna od zrobienia przeglądu rozdłubanej już przez budowlańców Sali. Samo miejsce, jak przyznaje, fascynuje go, praca przy Kongresowej to dla architekta prestiż. Będzie spędzał tu kolejne miesiące, dni i noce. Odkryje rozwiązania techniczne, które w 1955 r. były majstersztykiem inżynierii światowej, ale również i ten prosty fakt, że uczciwej modernizacji nie da się przeprowadzić bez gruntownego wypatroszenia Sali.

– *Z przeglądu wynikało, że trzy czwarte prac to będą sprawy akustyczne* – mówi Lech Mill. – *Okazało się na przykład, że to, co brano za marmury ścienne, to były membrany dźwiękowe, całkowicie rozstrojone w ciągu pół wieku. A kiedy wykonawca zaczął je zdejmować, pod spodem ukazały się tony azbestu. W dokumentacji bazowej nikt nie wziął pod uwagę konieczności usunięcia azbestu.*

To nie wszystko – w podłodze odkrywa dziury, a w szkieletach ścian łatwopalne pakuły. Tego nie można już zostawić bez przebudowy, a ta – jak już wiadomo – podniosłaby cenę remontu. Miasto nie chce dosypać pieniędzy, naciska na nagięcie projektu do okoliczności. W Kongresowej następuje więc pat, który kosztuje zaangażowane w prace firmy coraz więcej.

Z jednej strony jest wykonawca robót, konsorcjum z firmą Mermaid Construction na czele, który czeka na wytyczne, jak budować. Budowlańcy chodzą po rozbebeszonej Sali bez zajęcia. Z drugiej strony jest Lech Mill starający się, zgodnie ze zleceniem, dostosować projekt remontu, ale coraz wyraźniej widzący, że nie da się tego zrobić w ramach budżetu przewidzianego przez Pałac i bez potrzeby zdobywania pozwoleń na budowę. Starał się, pamięta, dawać budowlańcom drobne zajęcia, żeby tylko utrzymać firmę Mermaid na placu budowy. Mill poszukuje rzeczoznawcy-pożarnika, który zgodziłby się pracować przy remoncie Sali Kongresowej. Nie ma chętnego.

– *Zmowa milczenia* – wspomina. – *Sam byłem o krok od zawiadomienia prokuratury.*

Eksplozje

W 2015 r. było już jasne, że kłopotliwy remont Sali Kongresowej może mieć złe skutki polityczne dla ekipy rządzącej Warszawą Hanny Gronkiewicz-Waltz. Właściciele firm budowlanych wykonujący zamówienia publiczne w Polsce zawsze biorą pod uwagę politykę – z ich punktu widzenia kadencje polityków powinny trwać dłużej niż cztery lata dzielące kolejne wybory. Wtedy budowałoby się z większą pewnością, bo politycy nie dbaliby tak panicznie o wizerunek. A Kongresowa psuła wizerunek.

Pałac jako duża spółka miejska podlega politycznemu kalendarzowi. W 2015 r. już wiadomo, że remont Sali nie zakończy się w ciągu dwóch lat, jak planowano, a wybory do parlamentu przypadają na październik. 3 kwietnia 2015 r., gdy nową prezeską Zarządu PKiN została Renata Kaznowska, Krzysztof Markowski, wiceprezes i pełnomocnik ds. remontu, traci swoje stanowiska.

Lech Mill, architekt, pamięta, że z nową prezeską współpracowało mu się z początku bardzo dobrze. Co prawda informuje ją, że nie obejdzie się bez rozszerzenia prac, a ona naciska na przycięcie projektu do starego budżetu. Ale przynajmniej zawsze odbiera od niego telefony i można liczyć na to, że podejmie szybkie decyzje. Zapytana przez architekta, jaki konkretnie profil działalności miasto planuje dla Sali Kongresowej po remoncie, Kaznowska odpowiedziała, że miejsce powinno być przystosowane do poziomu światowych premier kinowych. To powoduje, że Lech Mill już nie poprawia niczyjego projektu, a pracuje nad własną, całkiem nową koncepcją. Kończy ją na czas – zostaje przyjęta bez zastrzeżeń i zapłacona.

Jednak decyzja prezeski o kinie festiwalowym rozpoczyna kolejną remontową bitwę ze szczegółami opisywaną przez ówczesne media. Kłócą się eksperci akustycy, idzie o dobór nowej aparatury nagłośnieniowej. Jesienią 2015 r. jeden z nich, Michał Kamiński, wręcza prezesce notatkę służbową, z której wynika, że drugi akustyk, Piotr Prońko, naciska na dobór sprzętu jednej konkretnej firmy. Afera jest wielopoziomowa, panowie nagrywają się nawzajem, zbierając na siebie haki. Kamiński ma twierdzić, że straszono go prokuraturą i CBA, jeśli nie przystanie na propozycje Prońki. Tuż przed wyborami parlamentarnymi prezeska Kaznowska składa w tej sprawie zawiadomienie do prokuratury – podejrzenie korupcji.



Z kart historii Sali Kongresowej: 13 kwietnia 1967 r.

Remont się sypie. W kwietniu 2016 r. Mermaid Construction, firma wybrana do prac w Kongresowej, schodzi z placu budowy i ogłasza bankructwo. Od dawna już nie płaciła podwykonawcom, teraz ci zasypują miasto roszczeniami. Lech Mill pamięta pewien weekend wiosną 2016 r., gdy prezes Kaznowska przestaje odbierać od niego telefony. Wobec bankructwa głównego wykonawcy i nowej, przyjętej przez Pałac koncepcji Milla jest już jasne, że remont Kongresowej będzie dużo droższy. W poniedziałek architekt dostaje zaproszenie do Pałacu, gdzie urzędnik wręcza mu odstąpienie przez pałacową spółkę od umowy z nim „z powodu ustania celu publicznego".

W październiku 2016 r., kiedy Renata Kaznowska odchodzi z funkcji prezeski Zarządu PKiN na fotel wiceprezydentki stolicy (jest nią do 2026 r.), sytuacja remontowa wygląda następująco: Sala rozgrzebana, w prokuraturze zawiadomienia w sprawie akustyków i Markowskiego (oba wkrótce umorzone), roszczenia podwykonawców firmy Mermaid wobec miasta, w sądzie proces Warszawa vs Robert Lebioda (autor pierwszego projektu remontu).

© CEZARY LANGDA/PAP, WOJCIECH ŁASKI/EAST NEWS

eprasa.pl ef163c68fb





Koncert The Rolling Stones i 14 lipca 1981 r. – nadzwyczajny zjazd PZPR

Pozew do sądu przeciwko miastu składa również Lech Mill. Podnosi w nim, że spółka miejska nie zapłaciła za prace, które jego firma wykonała w związku z jego autorskim projektem.

Rozejm

Rozpoczęty w 2014 r. z budżetem 40 mln zł remont Kongresowej, przez kolejne kilka lat stoi. Jak mówią zaangażowani w prace wykonawcy: Warszawa myśli. W 2017 r. ekipa Hanny Gronkiewicz-Waltz orientuje się już, że przedsięwzięcia nie da się opędzić tanim kosztem – dosypuje pieniędzy.

Przetarg na nową „koncepcję modernizacji" wygrywa w 2017 r. firma ECM Group Polska. W 2018 r. – ponad cztery lata po rozpoczęciu remontu Sali – prezydentem stolicy zostaje Rafał Trzaskowski.

W 2019 r. miasto wybiera nowy projekt przebudowy, wygrywa konsorcjum z firmą Arcadis na czele (projekt kosztuje ponad 10 razy więcej niż ten pierwszy z 2012 r. – 15,9 mln zł). W 2020 r. wybucha epidemia koronawirusa – prace stoją, ceny materiałów budowlanych szybują pod niebo i już nie spadają.

W 2022 r. spółka Zarząd PKiN ogłasza przetarg na nowego wykonawcę remontu Kongresowej. W grze są 183 mln zł, chętnych brak. Najtańsza oferta jest droższa od przewidzianego budżetu o 150 mln. Wykonawcy są ostrożni, bo Sala uchodzi w branży za minę. Nie ma rady – Warszawa podwaja budżet. Nie ma mowy o taniej adaptacji, to totalna przebudowa.

We wrześniu 2023 r., w dziewiątą rocznicę zamknięcia Kongresowej, przetarg na jej remont wygrywa firma Adamietz Warszawa. Koszt zapisany w umowie – 393 mln. W marcu 2025 r. po raz kolejny okazuje się, że pracy przy remoncie jest więcej – suma rośnie do 478 mln zł. W kwietniu 2026 r. prezydent Trzaskowski ogłasza w socjalach, że Sala Kongresowa powróci w drugiej połowie 2028 r. (14 lat od zamknięcia).

Adamietz Warszawa buduje już w stolicy Muzeum Getta, rozbudowuje kardiologiczny szpital w Aninie, remontuje szpitale Bielański i Praski. Prezes firmy Wojciech Gerber ma bardzo konkretne podejście do przebudowy Kongresowej.

– *Tego, co robimy w Sali Kongresowej, nie można nazwać kończeniem remontu, bo tak naprawdę nikt go wcześniej nie zaczął* – mówi Gerber. – *Wcześniej podjęto próbę adaptacji w bardzo ograniczonym zakresie, my robimy totalną rewolucję. Odnosząc się do wszechobecnej polityki, która towarzyszy, co jest nieuniknione, temu przedsięwzięciu, mogę jedynie powiedzieć, iż nie jest to przedmiotem naszego zainteresowania. Jako przedsiębiorca budowlany skupiamy się na tym, aby wywiązać się z umowy zawartej z klientem. Wykonujemy po prostu swoją pracę, robimy to za pieniądze i na pewno nie po to, aby kogokolwiek lub cokolwiek ratować.*

„Totalna rewolucja" pozostawi Kongresową w niemal niezmienionej formie wizualnej, bo odbywa się głównie w dziedzinie niewidocznych dla laika instalacji. Sala, jak mówi prezes Gerber, jest jak instrument muzyczny, który trzeba dostroić, by działał. A żeby w ogóle rozpocząć pracę, należało zdemontować i wywieźć 1,5 tys. ton azbestu (o którym – z niewyjaśnionych powodów – nikt jakoś nie wiedział, kiedy w 2014 r. remont startował). Do pierwotnej umowy z Adamietzem Warszawa dodano już 12 aneksów w związku z tą i innymi „niespodziankami" Sali Kongresowej.

W czerwcu 2024 r. prezeską Zarządu PKiN sp. z o.o. została Katarzyna Osowiecka (jest piątym prezesem od 2014 r.). W strukturach miasta pracuje od 26 lat, uchodzi za doświadczoną menedżerkę. Ma ostatecznie doprowadzić remont do końca.

– *Sala Kongresowa będzie gotowa w połowie 2028 r., w ogóle nie zakładam innego wariantu* – mówi. – *I dementuję informacje, że remont trwa od 2014 r. Umowa z firmą Adamietz Warszawa została podpisana w listopadzie 2023 r. i remont trwa od tej chwili. To prawda, że Kongresowa zamknięta jest już długo i przyznaję, że zarządy PKiN są już tą sprawą zmęczone, dlatego najwyższy czas to zakończyć.*

I dodaje:

– *Rozgrzeszam wszystkich poprzednich urzędników zaangażowanych w remont Sali Kongresowej. Starano się w miarę możliwości dostosować proces do wymogów ówczesnych ustaw. Uważam, że przeznaczenie 40 mln zł było przed 12 laty realnym kosztem remontu.*

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

eprasa.pl ef163c68fb

Czerwone kartki



Ustawa o lobbingu kończy właśnie 20 lat. To całkiem dużo jak na prawo, które od początku nie działało i jest totalną fikcją. Jak wygląda lobbing po polsku, najlepiej widać po aferze Zondacrypto.

PAWEŁ WALEWSKI

Ustawy głosuje się w Sejmie, ale nie zawsze tam się je pisze. Czasem powstają w luksusowych hotelach w Monako albo na Ibizie. Albo ktoś przynosi je do kogoś w teczce. A jak sprawa zaczyna śmierdzieć, to robi się duży przelew na fundację ministra sprawiedliwości i działa się dalej. Sprawa Zondacrypto obnażyła takie mechanizmy. I pokazała, że korupcja i lobbing w Polsce potrafią być dwiema stronami jednego medalu.

Wszystko wskazuje również na to, że uchwalona w 2005 r. (weszła w życie rok później) Ustawa o działalności lobbingowej jest zwykłą wydmuszką. Według wspomnianej ustawy zawodowy lobbysta powinien widnieć w rejestrze i nosić w Sejmie czerwoną plakietkę. Tyle że taka plakietka, zamiast otwierać drzwi do gabinetów, działa jak pocałunek śmierci.

Tak zwani eksperci

Spotkać w Sejmie zawodowego lobbystę to jak wygrać los na loterii. W ubiegłym roku na ogólną liczbę 595 „podmiotów" wykonujących tę działalność zawodowo i wpisanych do rejestru MSWiA tylko 17 zdecydowało się zadeklarować taką aktywność przy Wiejskiej (to 10 osób prywatnych i 7 kancelarii prawnych). Większość znajdowała się już w sejmowej ewidencji z lat ubiegłych i tylko troje zgłosiło taką chęć po raz pierwszy (i również troje, poza wpisaniem się na listę, niczego więcej nie zrobiło, bo nawet nie odebrali okresowej karty wstępu). Już to pokazuje, że prawdziwy lobbing odbywa się poza procedurami.

12 posiedzeń komisji poselskich – tyle w trakcie całego ubiegłego roku odwiedzili zarejestrowani w Sejmie zawodowi lobbyści. Interesowały ich prace nad ustawami o Służbie Więziennej, rynku pracy, ochronie zwierząt, ale zabierali głos tylko podczas sześciu spotkań, a zaledwie dwójka skorzystała z możliwości złożenia propozycji rozwiązań i opinii prawnych. To i tak coś, bo były lata, kiedy zawodowi lobbyści nie przedstawili posłom żadnych ekspertyz, a ich wystąpienia nie dotyczyły nawet tematu obrad, czyli konkretnego projektu ustawy, lecz kwestii technicznych. Raczej się więc nie przepracowywali.

Jak wynika z regulaminu Sejmu, lobbyści mają prawo wzięcia udziału w wysłuchaniu publicznym dotyczącym projektu ustawy, co do której zgłosili wcześniej zainteresowanie (nie muszą rejestrować się 10 dni wcześniej, jak przedstawiciele fundacji czy stowarzyszeń). W 2025 r. odbyły się w Sejmie cztery takie wysłuchania. Tylko przy jednym (w sprawie zmiany ustawy o ochronie zwierząt) dwoje lobbystów skorzystało z przysługującego im prawa.

Co ciekawe, jak można przeczytać w dorocznej „informacji o działaniach podejmowanych wobec Sejmu RP przez podmioty wykonujące zawodową działalność lobbingową": „W 2025 r. nie odnotowano żadnych zgłoszeń o prowadzeniu nielegalnej działalności lobbingowej przez podmioty niewpisane do rejestru". I ta formułka powtarzana jest co roku, mimo że w przytłaczającej większości posiedzeń komisji i podkomisji z udziałem posłów i przedstawicieli rządu (a odbywa się ich w roku ok. 1,5 tys.) uczestniczą goście, którzy przychodzą do Sejmu z konkretnym zamiarem pilnowania interesów swoich firm, związków czy

eprasa.pl ef163c68fb



stowarzyszeń. – *Przecież ja to widzę na co dzień* – opowiada pracownik jednej z komisji. – *W posiedzeniu uczestniczy 5–10 posłów, a z tyłu siedzi tylu samo tzw. ekspertów, którzy na bieżąco podsuwają im na kartkach uwagi. Przed 2006 r. było jednak jeszcze gorzej, bo lobbyści wprost dyktowali znajomym posłom poprawki do projektów ustaw w trakcie obrad* (teraz trzeba je przynajmniej złożyć przed posiedzeniem, żeby było wiadomo, kto i co zaproponował).

Mamy trzy potężne dziedziny, w których lobbing jest najbardziej zacięty, systematyczny i z zasady niewidoczny: ochrona zdrowia, zbrojeniówka oraz sektor używek (alkohol i tytoń). Nie dlatego, że akurat w tych branżach pracują ludzie bardziej skłonni do wywierania wpływu niż gdzie indziej. Po prostu stawką są tam ogromne pieniądze, regulacje bezpośrednio decydujące o rynku oraz decyzje państwa, które potrafi jedną zmianą przepisu komuś otworzyć albo zamknąć drzwi do bardzo lukratywnych biznesów.

W ochronie zdrowia chodzi o refundacje leków, dostęp do świadczeń i technologie medyczne – sam budżet refundacyjny NFZ na 2026 r. przekracza 32 mld zł. W zbrojeniówce państwo jest gigantycznym klientem, a zamówienia publiczne dotyczą sprzętu wartego miliardy i mają dodatkowo wymiar strategiczny. W przypadku tytoniu i alkoholu regulacje dotyczą jednocześnie rynku, podatków, reklamy, sprzedaży i zdrowia publicznego.

Prawne szpagaty

Paradoks polskiego systemu polega na tym, że w tych kluczowych sektorach nikt przy zdrowych zmysłach nie nazywa siebie lobbystą. Krzysztof Kopeć, prezes Polskiego Związku ▶

© WOJCIECH LELIŃSKI/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl ef163c68fb

▶ Pracodawców Przemysłu Farmaceutycznego, przyznaje wprost: – *Jestem w naszym związku chyba 12 lat i nie pamiętam, żebyśmy zatrudniali zawodowego lobbystę, bo nie jest nam do niczego potrzebny.* Wyjaśnienie jest proste: związki pracodawców posiadają pełną, naturalną legitymację do reprezentowania swoich członków, dyskutując z urzędnikami państwowymi bez pręgierza podejrzanego lobbingu. Jak trzeźwo i poniekąd sarkastycznie podsumowuje Kopeć, skoro oficjalna ustawa nie sprawdza się w praktyce, to rzeczywistość samoistnie wykreowała własne, wygodniejsze standardy. – *Nikt przez ostatnie lata nie otwierał tej ustawy, więc nikt z nas też nie myślał, co z tym fantem zrobić. Każdy sobie radzi w swoim zakresie.*

Z podobną wirtuozerią radzi sobie Infarma zrzeszająca zagraniczne koncerny lekowe. Jej dyrektor generalny Michał Byliniak nie ma nic do ukrycia. – *Związek Pracodawców Innowacyjnych Firm Farmaceutycznych działa z otwartą przyłbicą, a jego wpływ na władzę to nic innego jak czysta realizacja „istoty demokracji partycypacyjnej".* Infarma, podobnie jak polscy wytwórcy leków, nie zatrudnia profesjonalnych lobbystów. I trudno im się dziwić, skoro ustawa wręcz zaprasza do omijania jej szerokim łukiem, wyłączając darmową działalność związków pracodawców z wymogu rejestracji. W efekcie mamy do czynienia z prawnym szpagatem: z jednej strony dyrektor Byliniak solennie zapewnia, że Infarma nie prowadzi zawodowej działalności lobbingowej w rozumieniu kulawych przepisów, a z drugiej – organizacja ta w swoim własnym statucie wprost deklaruje „podejmowanie prawnie dozwolonych działań lobbingowych". To system idealny – w majestacie prawa można być pełnoobjawowym lobbystą, formalnie nim nie będąc.

W tę lukę wchodzi armia wyspecjalizowanych agencji *public relations*, które też unikają stygmatyzującej łatki. Usilnie rysują grubą kreskę między tymi pojęciami, tłumacząc, że *public affairs* to jest właściwy lobbing, a PR zajmuje się czystą komunikacją poprzez współpracę z mediami. Kiedy jednak inspirowane zręcznie media publikują chwytające za gardło wywiady o dramatycznej walce chorych bez dostępu do nowoczesnych terapii, agencje błyskawicznie umywają ręce. Zgodnie z ich dość kazuistyczną logiką nie jest to lobbing, bo przecież artykuły nie formułują urzędowego postulatu: „Panie ministrze, proszę wpisać lek na listę". W ich oczach to jedynie „nakreślanie sytuacji osób chorych" i wskazywanie potencjalnych korzyści z refundacji leku. W ten sposób to zręczne komunikowanie problemów społecznych tworzy perfekcyjny kamuflaż dla twardego rynkowego nacisku.

W niemniej obłożonym obostrzeniami przemyśle tytoniowym mechanizmy kamuflażu są bliźniaczo podobne. Gdy kilka lat temu na polski grunt wkraczała amerykańska firma Juul Labs ze swoimi kolorowymi wielosmakowymi e-papierosami, jej sztabowcy szybko pojęli lokalne reguły politycznej gry. Jak bez ceregieli wspomina były pracownik tego koncernu, operujący wówczas na polskim rynku, firma nie czuła najmniejszej potrzeby opłacania profesjonalnych lobbystów. Przyczyna była trywialna: – *Wiedzieliśmy, że jak poseł zobaczy gościa z czerwoną plakietką w Sejmie, to ucieknie.*

Zamiast iść pod prąd, firma zapisała się do branżowego stowarzyszenia i zaczęła realizować swoje interesy wspólnie z innymi graczami, wtapiając się w tło polskich organizacji (producentów liquidów do e-papierosów). Mniejszym wyczuciem wykazał się Philip Morris, który w 2019 r. został przyłapany w Sejmie na nieformalnym spotkaniu z posłami PiS, wówczas partii rządzącej. Tematem były „nowoczesne wyroby tytoniowe" i ich rzekomo mniejsza szkodliwość – czyli dokładnie to, co koncern chciałby, aby decydenci mieli w głowach, gdy przyjdzie głosować nad akcyzą i regulacjami. Problem w tym, że nie trafiło do rejestru spotkań ani nie było z niego stenogramu.

Gdy sprawę ujawniło RMF FM, media nazwały to „niejawnym lobbingiem", opozycja – „absolutnym skandalem", a Jarosław Kaczyński, w geście przypominającym dyrektora szkoły łapiącego uczniów na paleniu za boiskiem, wydał natychmiastowy zakaz dalszych tego typu spotkań „o charakterze lobbystycznym lub co do których można sformułować domniemanie, że mają taki charakter". – *Odtąd wszelkie kontakty z branżą tytoniową miały być równie tajne, ale już przynajmniej bez oficjalnego zaproszenia* – komentuje jeden z posłów. Sprawa stała się symbolem polskiego lobbingu: niby wszystko legalnie, niby dialog z biznesem, ale najlepiej bez śladu w dokumentach i z dala od oczu dziennikarzy.

Najdziwniejsze układy panują w zbrojeniówce, w której kontrakty zaczynają się od sześciu zer, a kończą na dziewięciu. Trudno się dziwić, że tu walka jest najbardziej zacięta, a lobbing najbardziej ukryty. Przy czym w branży mówi się raczej o załatwiaczach niż o lobbystach. Rolą załatwiacza jest dojście do decydentów, przekonanie ich do swojego produktu. Jakimi metodami – nie wiadomo, bo służby jakoś się nie popisały dotychczas jakimiś sukcesami w tropieniu nielegalnego lobbingu w zbrojeniówce. Można działać w mroku, bo MON gra na zasadach specjalnych.

Rządzący mają w zanadrzu broń atomową, jak mówi się w branży, czyli mogą powołać się na Pilną Potrzebę Operacyjną i kupować w procedurze uproszczonej. Mogą omijać przetargi i mieć za nic ustawę o zamówieniach publicznych. A nawet nie informować opinii publicznej, że zaciągają miliardowe kredyty – jak to miało miejsce, kiedy w czerwcu 2023 r. ministrem obrony narodowej był Mariusz Błaszczak. Polacy o tym, że zadłużyli się na 20 mld tzw. pomostówki Błaszczaka, dowiedzieli się z koreańskiej telewizji SBS. Za pieniądze te kupiono m.in. samoloty F-50. Pierwsze 12 sztuk dostarczono do Polski rzeczywiście bardzo szybko. Tyle że maszyny te nie posiadały żadnego uzbrojenia. To dosyć niezwykłe rozwiązanie jak na samoloty bojowe.

Resortowa cisza

Zajrzyjmy do resortów, bo również one są zobowiązane do sprawozdawania „działań podejmowanych przez podmioty wykonujące zawodową działalność lobbingową". Wcale nie lubią się tym chwalić. W całym 2025 r. do Ministerstwa Obrony Narodowej wpłynęło jedno takie zgłoszenie, we wcześniejszych latach – żadne. W Ministerstwie Zdrowia w 2021 r., zgodnie z oficjalnym raportem, pojawił się jeden lobbysta zainteresowany zmianą ustawy o refundacji leków, w latach 2022–24 nie było nikogo, za to w ubiegłym roku odnotowano siedem zgłoszeń od kilkudziesięciu podmiotów zainteresowanych pracami legislacyjnymi nad projektem ustaw: o przeciwdziałaniu narkomanii, o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi oraz o ochronie zdrowia przed następstwami używania tytoniu, refundacji leków i Prawa farmaceutycznego.

Maciej Miłkowski, wiceminister zdrowia zawiadujący w latach 2018–24 polityką lekową państwa, znany z nieugiętości wobec koncernów, sprowadza nas z urzędowych obłoków na ziemię, nazywając obecny stan rzeczy zwykłą grą pozorów. Nie chodzi mu nawet o to, by zakazać kontaktów branży z ministerstwem. Przeciwnie: kontakty są potrzebne. Chodzi o to, by było wiadomo,

eprasa.pl ef163c68fb

kto przyszedł, kogo reprezentuje i czy bierze od kogoś pieniądze. – *Tymczasem w przypadku wielu stowarzyszeń pacjenckich i zapraszanych do ministerstwa ekspertów często nie było wiadomo, kogo oni tak naprawdę reprezentują i czy przypadkiem nie figurują na liście płac podmiotów medycznych walczących o grube miliony* – wspomina.

W branży farmaceutycznej istnieje cały ekosystem podmiotów, które mogą wpływać na proces stanowienia prawa, nie występując formalnie jako zawodowi lobbyści. Są związki pracodawców, izby gospodarcze, kancelarie prawne, organizacje pacjentów, fundacje, eksperci, konferencje, raporty i debaty. Każdy z tych elementów jest całkowicie legalny. Problem pojawia się wtedy, gdy przestajemy wiedzieć, czyja agenda jest przedstawiana jako „niezależna opinia".



Urzędnik Ministerstwa Zdrowia, który zgodził się mówić anonimowo, opisuje mechanizm dość bezlitośnie. Jego zdaniem 99 proc. działań lobbingowych odbywa się poza oficjalnym obiegiem. Nie dlatego, że ktoś łamie prawo, ale dlatego, że bezpośredni kontakt z decydentem może odbywać się w kuluarach, podczas konferencji czy panelu, a osoba reprezentująca interes firmy nie musi przedstawiać się jako lobbysta. Często jest przedstawicielem fundacji lub świeżo powołanego „instytutu". Sama firma nie zawsze wygląda dobrze w roli inicjatora dyskusji. Wynajmuje więc podmiot, który organizuje debatę, przygotowuje raport albo zaprasza ekspertów. Pojawiają się przedstawiciele środowiska medycznego, pacjentów i ministerstwa. Wszyscy rozmawiają o ważnym problemie społecznym. Firma może nawet nie być widoczna. Ale jej argumenty są. – *Ja to nazywam systemową dulszczyzną* – mówi urzędnik. W ministerstwie, jego zdaniem, zazwyczaj doskonale wiedzą, kto stoi za raportem lub debatą. Problem polega na tym, że formalnie wszystko się zgadza. To właśnie jest najciekawsza cecha polskiego lobbingu: wszyscy wiedzą, ale nic z tym nie robią.

Jak zabito przejrzystość

Polski system lobbingu dogorywa więc w głębokiej hipokryzji. Teoretycznie wszystko jest OK. Jest ustawa, są procedury. Niektórzy nawet udają, że grają w tę grę. – *W praktyce prawo służy wyłącznie do cynicznego pudrowania rzeczywistości* – brutalnie diagnozuje prof. Grzegorz Makowski z Zakładu Etyki Biznesu i Filozofii Ekonomii Szkoły Głównej Handlowej.

Jak w ogóle doszło do tego, że polski parlament przyjął i zaakceptował taki bubel prawny? Trzeba cofnąć się do dni po wybuchu afery Rywina, kiedy politycy zapragnęli nagle pokazać obywatelom, że robią porządek z korupcją. Jak wspomina prof. Krzysztof Jasiecki z Katedry Socjologii SGH, który był wówczas jednym z ekspertów sejmowej komisji przygotowującej ustawę o lobbingu, już na samym początku został uprzedzony, że będzie tymczasowa i „wróci się do tego za kilka lat". Prof. Makowski dodaje jeszcze jeden detal: – *Pierwotny projekt rządowy nie był wcale taki zły. Prawdziwa tragedia rozegrała się dopiero w parlamencie, gdzie związki pracodawców i naprędce skrzyknięci lobbyści skutecznie wybili tej ustawie zęby w taki sposób, że niczemu nie służy.*

Do tego dochodzi rażące niechlujstwo – na przykład kuriozalny przepis zmuszający samorządy do corocznego sprawozdawania kontaktów z lobbystami, chociaż wszystkie inne ich dotyczące bezmyślnie wyrzucono podczas prac w Sejmie (nie objęto też rygorami ustawy tak ważnych instytucji w stanowieniu prawa jak Kancelaria Prezydenta czy Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji).

Kolejna wada to brak wymuszania transparentności, bo – jak wskazują nasi rozmówcy – konia z rzędem temu, kto potrafi rozróżnić lobbystę zawodowego od niezawodowego. Bo jeśli wynajmujesz kogoś na umowę cywilnoprawną do załatwienia sprawy w ministerstwie, to jest on już „zawodowym lobbystą" i musi widnieć w państwowym rejestrze. Ale jeżeli tę samą osobę zrzeszenie przedsiębiorców lub izba gospodarcza zatrudni u siebie na etacie, w praktyce może działać poza rygorami ustawy.

Dlaczego przez 20 lat nikt tego nie naprawił? Prof. Jasiecki widzi w tym odbicie upadku kultury politycznej. – *Rządy Zjednoczonej Prawicy były tak bardzo niechętne pluralizmowi, że to się przekładało na system reprezentacji interesów. A paraliż Trybunału Konstytucyjnego i demontaż sądownictwa doprowadziły do osłabienia instytucji kontrolnych w państwie, wzrostu znaczenia grup nieformalnych i arbitralności politycznej.*

I na tle całego świata nasza klasa polityczna nie jest wyjątkiem. Bo wystarczy spojrzeć na Stany Zjednoczone (gdzie regulacje lobbingu i wymogi transparentności były zawsze dobrze opisane przynajmniej na poziomie federalnym). Odkąd prezydent Donald Trump zatrudnił członków rodziny w swoim gabinecie, przyjął w prezencie samolot od innego państwa, a rosyjski oligarcha sfinansował weselne przyjęcie jego syna, standardy zostały zamienione w farsę, ale dla innych państw mogą stanowić teraz nowy wzór.

To osłabienie instytucji państwa wzmaga poczucie bezkarności, które zachęca do wchodzenia w różne praktyki o charakterze korupcyjnym. – *Bardziej liczą się dojścia i personalna siła przebicia różnych postaci na scenie politycznej, więc nie ma powodu, żeby o swoje interesy próbować zabiegać na drodze oficjalnej* – dodaje prof. Jasiecki.

Przy czym w dojrzałej demokracji lobbing to nic nagannego, przeciwnie – daje obywatelom narzędzie kontroli nad tym, co dzieje się na salonach. – *Musimy wyzbyć się złudzeń, że posłowie, ministrowie i urzędnicy to wszechwiedzący geniusze i potrafią zza biurek urządzać nam świat* – mówi prof. Makowski. – *Powinni korzystać z wiedzy, którą mają ludzie od lat pracujący w jakiejś branży po to, żeby ją regulować.*

Nasze państwo tego nie potrafi i politycy z cynicznym uśmiechem usiłują nam wcisnąć kit.

PAWEŁ WALEWSKI

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl ef163c68fb



Chińskie centrum logistyczne w Qingzhou. Żeby przyspieszyć ekspansję, Chińczycy budują paczkowe huby w całej Europie, także w Polsce.

Celne strzały

Tania chińszczyzna już nie jest taka tania po wprowadzeniu unijnego cła. Ale Temu, Shein i Aliexpress się nie martwią. Otwierają magazyny w Europie i sprzedają nam coraz więcej droższych produktów.

CEZARY KOWANDA

Serwis Temu swoim znakiem rozpoznawczym uczynił agresywne komunikaty o promocjach, rabatach, okazjach i wyprzedażach. Korzystający ze strony, a zwłaszcza z aplikacji, mogą poczuć się jak na wirtualnym bazarze, gdzie zamiast krzyczących sprzedawców pojawiają się nieustannie powiadomienia i zachęty do zakupu. Nawet tak przykre dla siebie zjawisko jak unijne cło Temu próbuje teraz obrócić na własną korzyść. Przekonuje klientów, że nie mają się czym martwić, bo aż 40 proc. nowych dopłat Chińczycy biorą na siebie.

Od 1 lipca paczki wysyłane spoza Unii Europejskiej do krajów Wspólnoty, w tym Polski, objęte są zryczałtowanym cłem. Wynosi ono 3 euro powiększone o VAT (w praktyce to ok. 16 zł) za każdą kategorię produktu. Kto zamawia na przykład kilka par skarpetek, ten płaci tylko 16 zł więcej. Ale jeśli w jednej przesyłce znajdą się przykładowo towary trzech różnych kategorii, jak skarpetki, okulary przeciwsłoneczne i flamastry, wtedy dopłata wynosi już 48 zł.

To pierwsza próba ograniczenia zalewu paczek z Chin, których bezpośrednio do konsumentów Unii przybywa już ponad 5 mld rocznie, a do samej Polski ok. 100 mln. Do niedawna przesyłki o deklarowanej wartości do 150 euro (w praktyce nikt nie sprawdzał, czy tak rzeczywiście jest) były zwolnione z cła. Jakie są efekty nowych regulacji?

Na razie wiadomo jedno: liczba przesyłek z Państwa Środka rzeczywiście się zmniejszyła. Poszczególne kraje donoszą nawet o kilkudziesięcioprocentowych spadkach. Spektakularne są dane naszego Ministerstwa Finansów za lipiec. Liczba zgłoszeń celnych paczek spoza Unii o niewielkiej wartości (do 150 euro) wyniosła 2,1 mln – aż o połowę mniej niż w czerwcu. To powrót do poziomu z ubiegłego roku. Wówczas średnio miesięcznie takich przesyłek przybywało poprzez nasze lotniska i porty ok. 2 mln, jednak w pierwszej połowie tego roku ich liczba zaczęła szybko rosnąć. Sam resort finansów przestrzega jednak przed wyciąganiem zbyt daleko idących wniosków. Tym bardziej że z pewnością wielu amatorów chińskich platform zrobiło większe zakupy w maju czy czerwcu, aby zdążyć przed nadejściem nowego cła. Dotyczy to zwłaszcza drobnych przedsiębiorców, którzy chińskie towary sprzedają potem dalej, na przykład przez platformę Allegro.

Unijna regulacja uderzyła zwłaszcza w tanie produkty. – *Kupowane często nie dlatego, że czegoś potrzebujemy, ale mamy ochotę wypróbować gadżet albo zwyczajnie chcemy poprawić sobie nastrój. Właśnie takie towary za sprawą celnych dopłat stały się nagle zdecydowanie mniej atrakcyjne. Część klientów, która nie śledzi na bieżąco informacji, jest zaskoczona cłami. Są one doliczane zazwyczaj na końcu procesu zakupowego, tuż przed dokonaniem płatności. Bywa, że wówczas osoby zdezorientowane czy wręcz oburzone podwyżkami rezygnują z transakcji* – mówi Arkadiusz Kawa, ekspert branży logistycznej, profesor Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu.

Spadek zainteresowania chińskimi platformami widać już w badaniach Mediapanel. Jeszcze w czerwcu z Temu korzystało 16,7 mln polskich internautów, z których każdy w ciągu miesiąca na przeglądanie tego serwisu poświęcił średnio 51 minut. Tymczasem w lipcu liczba użytkowników Temu zmniejszyła się do 13 mln, a czas poświęcany na analizowanie ofert skrócił się do 34 minut. W sierpniu Temu zanotowało dalsze,

© SPLASH/EAST NEWS

eprasa.pl ef163c68fb

choć już niewielkie spadki. Po wprowadzeniu nowego cła także Aliexpress miał znacznie mniej użytkowników w lipcu niż w czerwcu (spadek z 10 do 8,4 mln), ale w sierpniu już odrobił część strat.

Spadek liczby przesyłek z Chin potwierdzają też nieoficjalnie firmy logistyczne. InPost w swoim najnowszym raporcie przyznaje, że prognozowane przez niego wzrosty wolumenu paczek będą w najbliższym czasie skromniejsze z powodu nowych unijnych regulacji. To jednak jeszcze nie oznacza, że chińskie platformy znalazły się rzeczywiście w odwrocie. Dobrą informacją okazują się dla nich analizy serwisu whenUbuy, który sprawdza, ile wydajemy na Temu, Aliexpress czy Shein. W sierpniu liczba produktów kupowanych w ramach jednej transakcji na Temu co prawda spadła średnio o połowę, ale za to wartość przeciętnego artykułu zwiększyła się aż o 50 proc. Według whenUbuy na Temu i Shein wydajemy mniej więcej tyle samo, ile przed wprowadzeniem ceł, a na Aliexpress nawet o 20 proc. więcej.

Często trzy główne chińskie platformy handlu internetowego traktujemy razem, jednak są między nimi spore różnice. – *Temu w większym stopniu opiera się na zakupach wielu relatywnie tanich produktów w ramach jednego koszyka, więc wzrost cen może prowadzić przede wszystkim do ograniczenia ich liczby. Aliexpress częściej służy do zakupu bardziej konkretnych, wcześniej poszukiwanych produktów, co może zwiększać akceptację wyższej ceny. Shein z kolei pozostaje mocno związany z modą, gdzie decyzje zakupowe są częściej związane z atrakcyjnością produktu, trendami i częstotliwością odświeżania oferty. Wspólny wniosek jest jednak taki, że konsumenci szybko dostosowują swoje zachowania do nowej rzeczywistości. Na tym etapie cła nie ograniczyły istotnie zainteresowania zakupami na chińskich platformach. Raczej zmieniły, co i w jaki sposób wkładamy do wirtualnego koszyka* – mówi Ewa Kraińska, założycielka i prezeska whenUbuy.

Jej słowa potwierdzają wyniki niedawnego sondażu UCE Research dla „Rzeczpospolitej". Aż 80 proc. dotychczasowych użytkowników chińskich serwisów nie zrezygnowało z zakupów na nich po wprowadzeniu cła. Jednak Chińczycy i tak już reagują na nowe przepisy. W przyspieszonym tempie inwestują w magazyny w Europie, aby stąd wysyłać paczki do klientów na naszym kontynencie. Nie są w stanie w ten sposób, wbrew obiegowym opiniom, omijać cła. Jeśli towar został sprzedany konsumentowi przed umieszczeniem w europejskim magazynie, a magazyn jedynie przygotowuje go do doręczenia, cło też jest pobierane. Skład celny pozwala płatność odroczyć, a nie jej uniknąć. Jeśli natomiast platforma sprowadza towar hurtowo, to jeszcze przed sprzedażą, opłaty są naliczane w momencie przekroczenia wspólnotowej granicy. – *Przenoszenie magazynów do Europy skraca czas dostawy do klienta, dzięki czemu chińskie platformy stają się bardziej konkurencyjne*– podkreśla Sebastian Błaszkiewicz, strategiczny doradca i ekspert rynku w Univio. – *Równolegle wprowadzają do swojej oferty coraz więcej produktów od sprzedawców europejskich, także polskich, podpisujących z nimi umowy. W ten sposób chińskie platformy mają się stawać pełnoprawną konkurencją dla takich graczy jak Allegro czy Amazon. Jako Polska możemy na tym sporo zyskać, bo jesteśmy idealnie położeni do tego, by rozwijać się jako logistyczny hub. To jednak rodzi też ryzyko: ten sam hub skraca dostawy i obniża koszty także konkurentom polskiego handlu*.

Zwłaszcza Aliexpress promuje ostatnio oferty z wysyłką z Polski lub innych krajów Unii Europejskiej, reklamując je jako wolne od dodatkowych opłat. Zainteresowanie ze strony chińskich firm naszymi magazynami jest coraz większe. Pod koniec ubiegłego roku ogromne centrum logistyczne pod Wrocławiem otworzył Shein. – *Jeden z czołowych chińskich graczy e-commerce zajmuje już w Polsce ok. 800–900 tys. m kw. powierzchni w kilku regionach kraju. To pokazuje skalę tego zjawiska, a dla rynku nieruchomości magazynowych oznacza popyt na naprawdę duże obiekty. Polska jest dla takich operacji naturalnym miejscem: duży rynek konsumencki, dobre drogi, rozwijające się porty i bliskość Niemiec* – mówi Marek Dobrzycki, partner w Panattoni.

Nowe cło od 1 lipca to tylko pierwszy z kilku kroków ochrony europejskich sprzedawców, narzekających na nieuczciwą konkurencję ze strony chińskich platform. Prawdopodobnie 1 listopada powinna pojawić się nowa opłata od drobnych paczek z towarami spoza Unii, mająca choć w części pokryć koszty ich obsługi celnej. Jej wysokość ustali Komisja Europejska. Na razie mówi się o kwocie od dwóch do czterech euro. Nasza Izba Gospodarki Elektronicznej apeluje, aby było to siedem euro. Od 1 listopada obowiązkowe staje się też podanie przez wysyłającego identyfikatora produktowego PID, bez którego zgłoszenie celne zostanie odrzucone.

Jednak prawdziwa rewolucja ma nadejść w połowie 2028 r. Unia chce, żeby wówczas cło dla przesyłek handlowych przychodzących spoza Wspólnoty już nie było ryczałtowe, ale naliczane od ich rzeczywistej wartości. – *Nie chodzi o to, żeby odciąć chińskie platformy od europejskiego konsumenta. Chodzi o realizację czterech celów. Pierwszy, który już częściowo udało się osiągnąć, to zmniejszenie ilości zupełnie bezsensownie zamawianych produktów z Chin. Drugi to wyrównanie szans pomiędzy chińskimi a europejskimi sprzedawcami. Trzeci to pokrycie realnych kosztów obsługi celnej i nadzoru rynku, które dziś finansuje europejski podatnik. Wreszcie czwarty to lepsza kontrola jakości produktów. Wiemy, że wiele z nich zawiera toksyczne metale ciężkie w stężeniu znacznie przekraczającym normy, a zabawki często nie są zgodne z europejskimi wymogami* – mówi Sebastian Błaszkiewicz z Univio.

Pierwsze miesiące obowiązywania nowych przepisów pokazują, że epoka traktowania chińskich platform jako miejsca ultratanich zakupów mija. Spędzamy na nich mniej czasu i nie jesteśmy tak skłonni kupować niepotrzebne rzeczy, gdy trzeba do nich dodać cło. Ale same platformy mają już wobec nas inne oczekiwania. Wprowadzają minimalny próg wydatków w ramach jednej transakcji (na Temu to 40–60 zł) i starają się coraz bardziej zachęcać do wybierania towarów droższych, gwarantujących im wyższe zyski.

To poważne zagrożenie dla europejskich producentów i sprzedawców. Bo do niedawna obowiązywała niepisana zasada: artykuły więcej warte i te naprawdę potrzebne kupuje się raczej lokalnie, a do tych najtańszych najlepsze są chińskie serwisy. Ponieważ jednak ich koszty rosną, więc zamiast ceną, będą teraz konkurować raczej czasem dostawy i dostępem do ogromnej liczby towarów. Chcą połączyć w sobie wizualną atrakcyjność chińskiego straganu z profesjonalną obsługą i różnorodną ofertą. Chińczycy otrzymali z Brukseli cios, ale już robią wszystko, żeby kolejne ich nie zabolały. ■

eprasa.pl ef163c68fb



Mieszkańcy Sany, stolicy Jemenu, demonstrują poparcie dla rebeliantów Huti (na portretach ich przywódca Abdul-Malek al-Huti), 31 lipca

Przeżuty kraj

Jemeńscy Huti za chwilę mogą sparaliżować globalny krwiobieg energetyczny, blokując cieśninę Bab al-Mandab. Ale nie muszą – jako rastafarianie islamu mają do tego dystans.

AGATA WÓJCIK, ŁUKASZ WÓJCIK

Jemen rozpościera się między kawą a katem. Ta pierwsza roślina dała mu sławę i bogactwo. Ta druga: biedę, zapomnienie i – jak mówi znajomy z Jemenu – „chwile wytchnienia od świata, do którego ten przeżuty kraj nie pasuje". Zwłaszcza dzisiaj, gdy stanął klinem w globalnym krwiobiegu energetycznym. I gdy reszta świata, przecierając oczy przy płaceniu za benzynę albo popijając caffé mocha w pewnej znanej sieciówce, przeklina pod nosem jemeńskich pasterzy w klapkach i z Kałasznikowami w rękach.

Rozpoczęta 9 września ofensywa Huti powiększyła teren kontrolowany w Jemenie przez to szyickie ugrupowanie o szeroki pas wzdłuż wybrzeża Morza Czerwonego, rebelianci zajęli m.in. miasto Mokka. Rozmawialiśmy o tej operacji z czołowym jemeńskim analitykiem Ibrahimem Dżalają. Zrekonstruował kluczową bitwę o port Mokka. Jego zdaniem Huti sfałszowali

© OSAMAH ABDULRAHMAN/AP/EAST NEWS, LECH MAZURCZYK

eprasa.pl ef163c68fb





rozkaz odwrotu dla sił rządowych. – *Rozpowszechniano go drogą radiową i przez esemesy, wykorzystując głos dowódcy sklonowany za pomocą sztucznej inteligencji* – opowiada Dżalaja. – *Siły rządowe składające się w praktyce z pięciu odrębnych ugrupowań pod zróżnicowanym dowództwem poszły w rozsypkę w ciągu dwóch godzin.*

W tym kontekście stereotyp strzelających na wiwat pasterzy w klapkach wydaje się nieaktualny. Huti przeprowadzali już m.in. ataki rakietowe na Izrael. A jeśli raport organizacji Anthropic jest wiarygodny, grupa korzystająca z modelu Claude w północnym Jemenie próbowała opracować wielostopniowy pocisk balistyczny o zasięgu prawie 2 tys. km oraz hipersoniczny dron szybujący.

W trakcie niedawnej ofensywy wzdłuż wybrzeża Huti dotarli aż do cieśniny Bab al-Mandab, jednego z najważniejszych wąskich gardeł globalnego transportu morskiego, łączącego Morze Czerwone z Zatoką Adeńską i dalej z Oceanem Indyjskim. Przez Bab al-Mandab, znanej też jako Brama Łez, w czasach pokoju przechodziło ponad 9 proc. światowego eksportu ropy naftowej, głównie z Arabii Saudyjskiej do Azji Wschodniej. Teraz nie przechodzi prawie nic, co biorąc pod uwagę blokadę cieśniny Ormuz u wylotu Zatoki Perskiej (przed wojną 20 proc. globalnego eksportu ropy), może wpędzić świat w kryzys ekonomiczny, jakiego nie było od dekad.

Rebelianci Huti podchodzą do tego z charakterystycznym dystansem. W 2014 r. zeszli z gór na północy kraju i zajęli Sanę, wypychając oficjalny rząd Jemenu. Wkrótce kontrolowali już trzecią część kraju zamieszkaną przez ponad 60 proc. Jemeńczyków. Potem interwencja sąsiedniej Arabii Saudyjskiej rozpętała wojnę domową, która trwała z przerwami do 2022 r. „Przez ostatnie cztery lata nie próżnowaliśmy – napisał w mediach społecznościowych jeden z przywódców Huti po niedawnej ofensywie. – Teraz spokojnie napijemy się kawy w Mokce i nad brzegiem morza spokojnie poczekamy na rozwój wydarzeń".

2 Problem polega na tym, że kawy, tak jak i bogactwa, w Jemenie już w zasadzie nie ma. A były czasy – wiek XVII z przyległościami – że każde ziarno kawy parzone w Europie pochodziło z tego kraju. Najpierw kawa dostała się do Jemenu z Etiopii, prawdopodobnie w XIV w. Klimat, zasoby wody, odpowiednio nachylone stoki – wszystko doskonale nadawało się pod uprawę. Gdy w XVI w. ten kraj opanowało imperium osmańskie, uprawa miejscowej kawy stała się wielkim biznesem. Do tego stopnia, że Osmanowie zakazali eksportu jemeńskich ziaren bez uprzedniego ich sparzenia lub wstępnego wypalenia, aby zastopować proces kiełkowania.

Osmanowie na ponad 150 lat zmonopolizowali handel kawą w Europie. Była ściągana z całego Jemenu do portu Al-Mokha nad Morzem Czerwonym, skąd statkami płynęła najdalej jak można na północ. Potem wielbłądami przez Egipt aż do portu w Aleksandrii. A stamtąd znów statkami do europejskich portów – na workach widniała nazwa jemeńskiego portu, gdzie ta podróż się zaczęła. Holendrzy sprzedawali nowy napój pod nazwą „kawa Mocha".

Osmański monopol kawowy działał do momentu, aż Baba Budan, pielgrzym z Azji Wschodniej, przemycił siedem niesparzonych ziaren we własnym żołądku i zasadził je w górach Majsur w południowych Indiach. Wkrótce Holendrzy zaczęli masowo uprawiać kawę na Jawie. Jeszcze w 1721 r. 90 proc. kawy ▶

eprasa.pl ef163c68fb

▶ spożywanej w Amsterdamie pochodziło z Jemenu, a zaledwie pięć lat później 90 proc. już z Jawy. Potem Jemeńczykom żyło się już tylko gorzej.

3 Przez ostatnie 11 lat Arabia Saudyjska realizowała strategię głodzenia, zastraszania i bombardowania swojego południowego sąsiada. Rijad wychodził z założenia, że z Jemeńczykami nie ma potrzeby rozmawiać, bo saudyjska potęga gospodarcza i siła militarna – okraszone cierpliwością – skłonią ich do uległości. Sprawią, że Jemen stanie się państwem od Rijadu zależnym, twardym podbrzuszem królestwa, zapewniającym mu geopolityczny spokój od południa. Ta strategia zupełnie zawiodła. – *Dla Arabii Saudyjskiej Jemen jest dziś jak Afganistan dla schyłkowego Związku Radzieckiego* – mówi Rami Churi, libański ekspert ds. Bliskiego Wschodu. – *Miał być poligonem, teatrem dla demonstracji własnej potęgi. A może się okazać cmentarzyskiem saudyjskich ambicji*.

Dziś, po trzech tygodniach od rozpoczęcia nowej ofensywy Huti, saudyjska strategia w zasadzie się rozsypała. Huti posuwają się dalej na południe i wkrótce mogą zagrozić Maribowi – miastu, które jest ostatnim bastionem wspieranych przez Saudyjczyków sił rządowych w zachodnim Jemenie, a jednocześnie jednym z dwóch największych zagłębi naftowych i gazowych kraju.

Zajęcie Maribu byłoby klęską całej koalicji anty-Huti. Oznaczałoby nie tylko przejęcie pokaźnych dochodów węglowodorowych, ale też kontrolę nad ostatnim niekontrolowanym przez Huti stosunkowo gęsto zaludnionym obszarem Jemenu. Skutkowałoby otwarciem drogi do dwóch wschodnich prowincji kraju, Hadramautu i Szabwy, również bogatych w surowce. – *Zajęcie Maribu przez Huti zbliży ich do zajęcia całego kraju* – uważa Mohammed al-Basha, ekspert ds. Jemenu i szef firmy doradczej Basha Report.

4 W tym kontekście zaskakiwać musi postawa administracji Donalda Trumpa (choć czy powinna?). Jeszcze kilka miesięcy temu saudyjski książę Mohammed bin Salman wydawał się jednym z najbliższych partnerów obecnego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Trump widział w Arabii Saudyjskiej nie tylko bankomat udający państwo, które kupi każdą ilość amerykańskiego uzbrojenia, nawet jeśli do niczego mu się nie przyda. Saudyjczycy mieli też być – obok Izraela – filarem nowego systemu bezpieczeństwa na Bliskim Wschodzie. Amerykanin tak miał ufać saudyjskiemu księciu, że zapowiedział przekazanie Rijadowi technologii wzbogacania uranu.

Gdy jednak z powodu saudyjskiej nieporadności, m.in. w Jemenie, amerykańskie interesy zostały zagrożone, Waszyngton zmienił ton. – *Trump już raz posłuchał saudyjskiego księcia w sprawie Iranu, gdzie reżim, zdaniem Saudyjczyków, miał się rozsypać po kilku amerykańskich atakach. A skończyło się blokadą cieśniny Ormuz* – mówi Rami Churi. – *Teraz więc, gdy Rijad poprosił o amerykańską pomoc w pokonaniu Huti, którzy mieli „zaraz pójść w rozsypkę", Trump odmówił, obawiając się o drugą cieśninę, czyli Bab al-Mandab*. Kiedy jeden z dziennikarzy zapytał wprost Trumpa, czy USA uderzą na Huti ramię w ramię z Saudyjczykami, ten zaprzeczył. Powiedział: „Huti do nas zadzwonili i dali znać, że nie chcą z nami walczyć. Nie chcą, żebym ich atakował".

5 W popularnej opowieści o najnowszej historii Jemenu obowiązuje fałszywa sekwencja wydarzeń. Saudyjczycy nie uderzyli na Huti z tego powodu, że ci sprzysięgli się z Iranem, ich największym wrogiem – było dokładnie odwrotnie. Tu warto się cofnąć do 1990 r., gdy doszło do zjednoczenia dwóch Jemenów, a w zasadzie upadku Ludowo-Demokratycznej Republiki Jemenu, czyli tzw. Jemenu Południowego (leżącego zresztą na wschodzie), który nie przetrwał bez bratniej pomocy radzieckich towarzyszy.

Arabia Saudyjska była wówczas na zupełnie innej trajektorii. Zalewana petrodolarami i amerykańską bronią uwierzyła, że to wystarczy do awansu na regionalne mocarstwo. Pierwszą ofiarą tych planów miał być właśnie świeżo zjednoczony i pogrążony w chaosie Jemen. A za pretekst do ofensywy posłużyła religijna ksenofobia Saudyjczyków, którzy jako gospodarze świętych miejsc islamu mają z zasady poczucie wyższości nad innymi muzułmanami, zwłaszcza nad szyitami.

A tak się składa, że w górach północnego Jemenu już od VIII w. rozwijała się endemiczna odmiana szyizmu zwana zajdyzmem. Dziś zajdyci to niemal połowa mieszkańców 42-milionowego Jemenu, stanowią bazę społeczną Huti. Nie zawsze jednak tak było – zajdyci przez długie wieki byli eskapistami: poukrywani w górach na północ od Sany przez setki lat zagłębiali się w mistyczne teksty islamu, gdy jeszcze potomkowie obecnej saudyjskiej elity biegali za wielbłądami. Jak pisze Peter Salisbury w swojej kanonicznej „Historii Jemenu", zajdyci zawsze odznaczali się wyjątkową tolerancją wobec obcych: średniowieczny Jemen był jedynym miejscem w świecie islamu, gdzie Żydzi mogli jeździć na wielbłądach – władcy wielbłądów z terenów dzisiejszej Arabii Saudyjskiej pozwalali im dosiadać tylko osiołków.

6 Gdy więc w latach 90. XX w. Saudyjczycy nabrali pewności siebie, postanowili wyplenić szyickich „heretyków" z Półwyspu Arabskiego. Ówczesnemu prezydentowi zjednoczonego Jemenu Alemu Abdallahowi Salehowi zaoferowali obfitą pomoc finansową w zamian za wpuszczenie do kraju saudyjskiej propagandy religijnej. Zmieniono program nauczania w jemeńskich szkołach, saudyjscy duchowni przejmowali zajdyjskie meczety, często pod osłoną wojska. Wtedy właśnie jedna z lokalnych rodzin zaczęła organizować ruch oporu – do dziś jej potomek Abdul-Malek al-Huti stoi na czele tego ruchu.

W tym sensie związek Huti z Iranem jest wtórny i dość specyficzny. Przez ostatnie dwie dekady Teheran budował swoje wpływy na Bliskim Wschodzie, współtworząc i finansując takie organizacje jak Hezbollah czy Hamas. W żadnym z tych przypadków nie można jednak mówić, że Iran miał pełną kontrolę, choć wpływał i prowokował korzystne dla siebie działania tych organizacji. Z Huti było inaczej – mowa tu o organizacji, która powstała zupełnie autonomicznie, od początku miała własną agendę, a to, że zbieżną w kilku miejscach z irańską, miało właśnie wtórny charakter.

Stwierdzenie, że Huti wykonują irańskie rozkazy, jest więc fałszywe. Jednocześnie nie można zaprzeczyć, że obie strony współpracują wywiadowczo, irańscy instruktorzy pojawiają w górach Jemenu, tak jak irańskie uzbrojenie. Iran od czasu do czasu jest w stanie sprezentować Huti tankowiec lub dwa, wypełnione po brzegi ropą, choć ostatnio jest to nieco utrudnione.

Mimo to w Teheranie nie ma guzika, po którego naciśnięciu Huti uderzaliby zgodnie z instrukcją. Ostrzelali Izrael pociskami balistycznymi, gdy kraj ten – w odwecie za atak Hamasu z 7 października 2023 r. – zaczął bombardować Strefę Gazy. Gdy jednak Amerykanie i Izraelczycy zaatakowali Iran 28 lutego tego roku, Huti nie kiwnęli palcem w obronie swoich domniemanych panów i władców.

eprasa.pl ef163c68fb



Kto nie żuje, ten się izoluje. W Jemenie 90 proc. dorosłych mężczyzn przeżuwa liście katu co najmniej przez trzy godziny dziennie.

7 Zdaniem Mustafy al-Absiego, jemeńskiego profesora medycyny behawioralnej z Uniwersytetu Minnesoty, taka geopolityczna dezynwoltura wynika po części ze specyficznego stylu życia nie tylko Huti, ale Jemeńczyków w ogóle: – *Mógłbym to porównać do kultury rastafariańskiej, przy czym u nas marihuanę w roli sakramentalnej używki niezbędnej do kontaktu z Bogiem i samym sobą zastępuje kat.*

Czuwaliczka jadalna, czyli właśnie kat, tak jak kawa, dotarł do Jemenu w XIV w. I tak jak kawa – z Etiopii. Przyniósł jednak biedę, nie bogactwo. Jako tzw. miękki narkotyk powinien być potępiony przez islam, jak haszysz czy alkohol, ale tak się nie stało prawdopodobnie dlatego, że był używany w celach religijnych przez licznych w Jemenie sufich, islamskich mistyków, którzy potrzebowali go, aby nie usnąć w czasie nocnych transów modlitewnych.

Substancjami czynnymi katu są katynon i katyna – związki o słabszym działaniu niż amfetamina. Wywoływany przez nie efekt jest zatem stosunkowo łagodny. Amatorzy katu wskazują na takie skutki jak pobudzenie, czujność, euforia i wzrost energii; twierdzą, że roślina ta pomaga im skupić się na nużących lub powtarzalnych zadaniach, w pełni uczestniczyć w życiu towarzyskim oraz hamować apetyt.

Dzięki takim właśnie cechom i religijnemu „certyfikatowi" liście katu szybko rozpowszechniły się poza kręgami religijnymi. Spotkania przy kacie zwane diwanami, podczas których mężczyźni gromadzą się, by wspólnie go zażywać od wczesnego popołudnia do późnej nocy, do dziś stanowią kluczową przestrzeń dyskusji i wymiany poglądów, będąc w pewnym sensie mikrokosmosem społeczeństwa obywatelskiego. Można wręcz powiedzieć, że niespożywanie katu wyklucza społecznie. Według Światowej Organizacji Zdrowia w Jemenie 90 proc. dorosłych mężczyzn, 50 proc. młodych kobiet oraz 15–20 proc. dzieci żuje liście katu przez trzy do czterech godzin dziennie.

Częste zażywanie (substancje czynne wchłaniane są przez dziąsła) może prowadzić do reakcji psychotycznych, a także drażliwości i bezsenności w fazie ustępowania działania środka. Prawdopodobnie dlatego spośród sześciu krajów, w których kat jest powszechnie używany – Etiopii, Somalii, Jemenu, Ugandy, Kenii i Dżibuti – trzy pierwsze zmagają się z konfliktami zbrojnymi.

8 Kat niszczy nie tylko zęby i dziąsła, lecz także rolnictwo. W coraz cieplejszym Jemenie każdego roku pustynnienie prowadzi do utraty 3–5 proc. gruntów ornych. Dotkliwa susza w 2022 r. sprawiła, że ponad połowa ludności Jemenu znalazła się w sytuacji krytycznego zagrożenia brakiem bezpieczeństwa żywnościowego. A uprawa katu pochłania ponad 40 proc. odnawialnych zasobów wodnych Jemenu. Tu koło się zamyka: w miarę nasilania się suszy coraz więcej rolników decyduje się na uprawę katu, co przyspiesza katastrofę ekologiczną. Jednocześnie wskutek przestawienia na kat jemeńscy rolnicy rezygnują z uprawiania roślin spożywczych, co pogłębia kryzys głodu w Jemenie. Przy czym kat trochę tu pomaga, bo pozbawia apetytu. I tak w kółko.

Znajomy Jemeńczyk z policzkami wypełnionymi przeżutym katem pokazywał kiedyś targ w Al-Hudajdzie, portowym mieście nad Morzem Czerwonym, na północ od Mokki. Kat był tam poporcjowany w niebieskich plastikowych torebkach. Delikatne, aromatyczne liście, karmazynowe na brzegach i zielone wokół nerwów. Do ich smaku trzeba się przyzwyczaić. Za pierwszym razem są po prostu gorzkie i cierpkie. A efekt osiąga się dopiero po kilku dniach regularnego żucia. Przewodnik po kacie i Al-Hudajdzie zapytany, po co mu to, odpowiedział krótko: „Bo gdy żuję, to wszystko mogę mieć w d...". Wokół rozpościerało się coś, co kiedyś było prawdopodobnie miejską plażą, ale w chwili żucia przypominało już wysypisko plastikowych śmieci płynnie przechodzące w morze.

9 – *Mamy do czynienia z blokadą dwóch kluczowych szlaków wodnych, aktywnymi działaniami zbrojnymi, eskalacją ataków ze strony Iranu oraz brakiem jakichkolwiek oznak rozmów dyplomatycznych* – mówi Rami Churi. – *Zajęcie brzegu Bab al-Mandab przez Huti to jakby dopełnienie tej katastrofy*. Huti dotychczas deklarowali, że nie zamierzają nakładać formalnych opłat tranzytowych na statki przepływające przez cieśninę. Do zapewnień tych należy jednak podchodzić z ostrożnością. Wiele wskazuje na to, że od rozpoczęcia w 2023 r. ataków na statki na Morzu Czerwonym Huti wymuszają nieformalne opłaty od niektórych agencji żeglugowych w zamian za bezpieczne przepłynięcie.

Huti zapewniają również, że atakują na Morzu Czerwonym wyłącznie jednostki powiązane z Arabią Saudyjską. Jednakże statek przewożący saudyjską ropę może być własnością firm z różnych krajów lub być przez nie obsługiwany, finansowany, ubezpieczony bądź czarterowany. Nie wiadomo, jak szeroka jest definicja, dlatego wielu armatorów i wiele towarzystw żeglugowych nie zaryzykuje.

Przepustowość Bramy Łez to jedno. Drugi problem polega na tym, że od kontrolowanej przez Huti wyspy Perim usadowionej w samym środku cieśniny jest zaledwie 20 km do Dżibuti po afrykańskiej stronie. Co oznacza, że Huti, dysponujący coraz bardziej zaawansowanymi dronami, pociskami rakietowymi, zajęli teren w bezpośrednim sąsiedztwie kraju, gdzie są bazy wojskowe USA, Chin, Francji, Włoch i Japonii. – *Niech się boją, my mamy czas* – mówi przez wideopołączenie znajomy Jemeńczyk. Ledwo go można zrozumieć, bo policzki ma jak zwykle wypchane katem.

AGATA WÓJCIK, ŁUKASZ WÓJCIK

© ROBERT VAN BEETS/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl ef163c68fb

Msza warta Paryża



W ten weekend papież odwiedzi Francję, najstarszą córkę Kościoła. Niby od niego odeszła, ale na spotkania i msze z Leonem wejściówek zabrakło.

JAROSŁAW KUISZ

„Pojedynek zapowiada się na wyrównany! – zawołał wesoło dziennikarz publicznego radia francuskiego. – Kto porwie tłumy? Kto bardziej rozpali swoją publiczność?!". 25 września wieczorem Paryżanie będą świadkami intrygującego zbiegu okoliczności. Zaledwie kilka kilometrów od siebie jednocześnie odbędą się w stolicy Francji dwa wielkie masowe wydarzenia. Z jednej strony w nowoczesnej hali Paris La Défense Arena wystąpi powracająca po kilku latach na scenę supergwiazda Céline Dion. Kanadyjska diwa popu traktowana jest nad Sekwaną „jak swoja". Jej europejskie tournée już się rozpoczęło z nieprawdopodobnym rozmachem. Bilety dawno wyprzedano. Według relacji z pierwszych koncertów Dion doprowadza wzruszoną publiczność do łez. Z drugiej zaś strony w piątkowy wieczór papież Leon XIV spotka się z wiernymi na stadionie piłkarskim Stade de France. Podobno kart wstępu także nie ma od dawna. To część trzydniowego tournée, rzecz jasna, o zupełnie innym charakterze.

W Paryżu przewidziano nie tylko czuwanie wiernych na stadionie, lecz również wizytę w odnowionej po pożarze katedrze Notre Dame, przemarsz ulicami miasta, wizytę w Pałacu Elizejskim i w siedzibie UNESCO. Na Place de la Concorde i na Champs-Élysées ma się odbyć wielka plenerowa msza. Wstępnie zakładano, że potrzeba miejsc dla pół miliona wiernych. Jak się jednak okazało, chętnych jest grubo więcej. Organizatorzy zachodzili więc w głowę, jak poradzić sobie z tym bezprecedensowym wyzwaniem.

Stolica Francji słynie z korków. Podczas papieskiej wizyty zablokowane zostanie ścisłe centrum, częściowo także metro. Z Paryża Leon uda się do Lourdes, gdzie planowane są nie tylko kolejne ceremonie religijne, ale m.in. prywatne spotkanie z ofiarami przemocy seksualnej w Kościele.

Ostatnim dużym ogniwem w łańcuchu podróży będzie wizyta w Metz, gdzie w katedrze planowane jest przemówienie do polityków o „korzeniach Europy dla pokoju i jedności". Mają się w nim znaleźć myśli jednego z „ojców założycieli Unii Europejskiej", francuskiego chadeka Roberta Schumana. Prezydent Francji Emmanuel Macron już zaapelował do europejskich głów państw o przybycie do Metz. Warto też przypomnieć, że kilka lat temu rozpoczęto proces beatyfikacji Schumana.

Remis z dogrywką

Każde z wydarzeń będzie więc miało komplet uczestników. Ale słuchając komentarzy, także osób z łona Kościoła katolickiego, większym zaskoczeniem (o, dziwo) jest większy entuzjazm dla papieża niż dla piosenkarki. „To dość

© SIMONE RISOLUTI/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl ef163c68fb



Paryż czeka na Leona XIV. Według komentatorów zanosi się na największą mszę w historii Francji.

oszałamiające... Obecnie każdego dnia na mszę [z udziałem papieża – przyp. red.] zapisuje się 8 tys. osób. Wyzwanie jest ogromne, bo brakuje miejsca. Champs-Élysées, Concorde, Étoile i zapewne jeszcze trochę dalej, biorąc pod uwagę to poruszenie" – powiedział dziennikarzom radia RTL Hervé Wattecamps z diecezji paryskiej. I dodał, że zanosi się na największą mszę w historii Francji.

Teren spotkania z Leonem będzie liczył ok. 3 km kw. A to wymaga wyjątkowych środków bezpieczeństwa. W kraju, w którym wielokrotnie dochodziło do zamachów terrorystycznych w miejscach publicznych, nie są to obawy zupełnie bezpodstawne. Napięć międzywyznaniowych nie brakuje. Ogłoszono zatem mobilizację aż 15 tys. funkcjonariuszy służb porządkowych.

Dość zaskakujące wydaje się zatem, że entuzjazm do wielkiego wydarzenia nijak się ma do jego finansowej strony. Budżet wizyty się nie domykał. Kościół do końca i nerwowo apelował o darowizny, ponieważ jeszcze na początku września na paryską część wizyty zebrano zaledwie ćwierć potrzebnej kwoty.

We Francji katolickie świątynie – może poza tymi, które są jednocześnie atrakcjami turystycznymi – zazwyczaj świecą pustkami. W mszach uczestniczy garstka wiernych, co kontrastuje z przepastnymi wnętrzami. To może być do pewnego stopnia mylące wrażenie. Otóż z danych opublikowanych w 2023 r. przez odpowiednik polskiego GUS wynika, że aż 29 proc. badanych deklaruje się jako rzymscy katolicy. Za nimi są muzułmanie (10 proc.), dalej – inni chrześcijanie (9 proc.). Na pierwszym miejscu są osoby „bez religii" – 51 proc. Wizyta Leona ma poniekąd zachęcić do powrotu do miejsc kultu. Zasypać przepaść pomiędzy deklarowaniem przynależności do Kościoła a częstotliwością i intensywnością praktyk religijnych. Z owych 29 proc. katolików zaledwie 8 proc. regularnie uczęszcza do kościołów. Innym wyzwaniem jest słabsza – niż w przypadku innych wyznań, szczególnie islamu – transmisja religii z pokolenia na pokolenie.

Na tym tle szuka się jaśniejszych punktów. Kościół francuski nie bez dumy podaje skokowy wzrost liczby chrztów dorosłych i nastolatków. W ciągu kilku ostatnich lat to już kilkadziesiąt tysięcy osób. Tylko w tym roku ochrzczonych zostanie ponad 13 tys. dorosłych oraz ponad 8 tys. dzieci w wieku 11–17 lat (wzrost o 28 proc. wśród dorosłych i o 10 proc. wśród nastolatków). Co ciekawe, nie oznacza to jednak automatycznie powrotu na łono Kościoła. Jak szczerze powiedział ostatnio Jean-Marc Aveline, arcybiskup Marsylii, młodzi chcą Jezusa, teraz powinni odkryć także Kościół.

Katoodrodzenie?

O tym, że nie ma żadnego automatyzmu w powrocie do Kościoła – choćby towarzyszył temu chrzest – przekonują intelektualiści. Niedawno o własnym przypadku opowiadał jeden z najlepszych żyjących francuskich prozaików, Emmanuel Carrère. Na początku swojej głośnej książki „Królestwa" zwierza się, jak z duchowej pustki „skoczył" w żarliwy katolicyzm. Ostatecznie skończyło się jednak porażką – Carrère miał poczucie, że co do wiary oszukuje i sam siebie, i otoczenie. Okazało się, że co innego wrażenie duchowej pustki oraz potrzeba rozwiązywania duchowych problemów, a co innego powrót do hierarchicznego Kościoła, jego dogmatów i procedur.

Z tej intelektualnej perspektywy grunt kulturowy nad Sekwaną nie jest oczywisty. Mieszają się tutaj różne tradycje myślenia o katolicyzmie. Ktoś może sięgnąć po pisma Pascala czy Bernanosa, jednak nurt filozofii, która domaga się racjonalizmu nawet w sprawach religii, znajduje kontynuatorów. Przykładowo filozof André Comte-Sponville, który porzucił katolicyzm, jednocześnie przyznaje, że pozostaje w nim potrzeba duchowych ćwiczeń myślowych. Jego książki, w których wraz z klasykami filozofii – od Montaigne'a czy Spinozy – proponował „ćwiczenia nad duchowością ateistyczną", okazywały się bestsellerami. Rzecz raczej nie do powtórzenia na żadnym innym rynku. Mniej znany w Polsce eseista Albert Memmi proponował czytelnikom modlitwę bez wiary w Boga.

W Polsce bywa to nierozumiane, tym bardziej że nie pamięta się o drugiej stronie medalu, tj. o klasycznych tekstach z literatury francuskiej, z których z kolei wynika, że katoliccy księża czasem okazywali się ateistami. W kanonie znajduje się postać Jeana Mesliera (1664–1729), który był proboszczem na prowincji. Po śmierci znaleziono jego zapiski mówiące o tym, że ten katolicki ksiądz publicznie odprawiał msze dla wiernych, ale prywatnie uważał się za ateistę.

Być może dlatego – aby pokazać, że ma świadomość istnienia konkurujących tradycji myślenia religijnego – papież Leon celowo wybrał jedną z nich. Podczas wizyty w Paryżu odwiedzi miejsce związane z karmelitami, z których wywodził się Wawrzyniec od Zmartwychwstania, mistyk, podobnie jak Pascal żyjący w XVII w. Wawrzyniec od Zmartwychwstania zalecał poszukiwanie wiary w banalnych doświadczeniach życia codziennego.

Macron i wybory

Wizyta papieża odbywa się w czasie rozkręcającej się kampanii przed wiosennymi wyborami prezydenckimi. Namiętności polityczne na czas „po Macronie" są wielkie, zatem duchowni podobno zrobili, co się dało, aby Leon nie musiał odwiedzać Francji w 2027 r. Tym bardziej że żadnego z czołowych kandydatów nie można odkreślić jako kandydata ewidentnie rzymsko-katolickiego. W sondażach opinii prowadzą kandydaci skrajni. ▶

eprasa.pl ef163c68fb

▶ Z prawej strony oczywiście Marine Le Pen. Po usunięciu na boczny tor swojego delfina Jordana Bardelli kandydatka Zjednoczenia Narodowego cieszy się dziś poparciem na poziomie 34–36 proc. (pierwsza tura). Le Pen, chociaż wychowana w tradycji katolickiej, dwukrotnie rozwiedziona, nie jest znana z wielkiej gorliwości religijnej. Przeciwnie, opór wobec imigrantów i mniejszości muzułmańskiej paradoksalnie uczynił z niej obrończynię laickiej Francji. Być może Le Pen wykona jakiś gest podczas wizyty Leona, jednak występowanie w roli głęboko wierzącej katoliczki byłoby mało wiarygodne i raczej nie przyniosłoby jej



© PIERRE CROM/GETTY IMAGES

Baner wita papieża w katedrze Notre Dame

politycznych korzyści. Zresztą konserwatywni wyborcy katoliccy i tak pewnie na nią zagłosują.

Na drugim miejscu, z poparciem 15–17 proc., jest obecnie Jean-Luc Mélenchon. Ten skrajnie lewicowy ateista nie może, rzecz jasna, występować wiarygodnie w roli rzecznika Kościoła katolickiego. Tym bardziej że stara się – inaczej niż Le Pen – pozyskać głosy mniejszości muzułmańskiej. Mélenchon konsekwentnie proponuje Francji całkowitą odwrotność wizji Le Pen – jego zdaniem Francuzów ma zjednoczyć nie religia, lecz walka klas i opór przeciw wielkiemu kapitałowi.

Siłą rzeczy wizyta papieża w kontekście starcia Le Pen–Mélenchon na pierwszy rzut oka niczego nie zmienia. Być może zatem jakieś ciepłe słowa o wizycie Leona wypowiedzą kandydaci o odcieniu centroprawicowym – jak ostatnio Bruno Retailleau, kandydat partii Republikanie. Mowa jednak o sondażowym planktonie. Wyżej na podium znajduje się m.in. były premier Édouard Philippe, jednak i on dał się poznać jako zwolennik laickości.

Na tym tle najbardziej zaskakujący wydaje się obecny prezydent. Macron od początku swoich rządów wykazuje przedziwną słabość do kolejnych papieży. Prezydent Francji nawet postulował naprawienie więzi ze Stolicą Apostolską, trzykrotnie udawał się na audiencje do Watykanu. Rok temu Macron uczestniczył nawet w pogrzebie Franciszka. Wizytę Leona traktuje zaś jako jedno ze zwieńczeń własnych rządów, co nie jest tak do końca nieuzasadnione.

Geopolityka i papież

Owszem, Macron w sprawach bioetycznych znajduje się na antypodach Watykanu. Stanowiska Paryża w sprawie aborcji czy eutanazji pozostają nieprzejednanie laickie. A jednak ostatnio w przedziwny sposób polityka zagraniczna Francji spotkała się z linią wyznaczaną przez Leona. Papież zachwycił Francuzów, gdy dał odpór prezydentowi Donaldowi Trumpowi. Publiczna wymiana zdań między Watykanem i Waszyngtonem była bezprecedensowa. Leon XIV, chociaż Amerykanin z Chicago (a może właśnie dlatego), dobitnie zaznaczył swoją odrębność. Wezwania do pokoju, piętnowanie hipokryzji, dyplomatyczne, ale zdecydowane przytyki pod adresem obecnej administracji USA, zyskały papieżowi zwolenników także wśród osób niewierzących.

Papież wobec agresywnego stylu Trumpa pokazał charakter, którego – jak się wydaje – brakuje liderom państw UE. Zdecydowana wymiana zdań w mediach społecznościowych w sprawie ataku USA i Izraela na Iran niewątpliwie przejdzie do historii tego pontyfikatu. Podobnie jak tragifarsowy moment, gdy neofita, wiceprezydent J.D. Vance próbował dać do zrozumienia, że teologiczne zawiłości „wojny sprawiedliwej" rozumie lepiej od Watykanu.

Leon ma też duży talent retoryczny. Potrafi stanowczo nie zgadzać się z rozmówcą, jednak nikt przy tym nie czuje się obrażony (może poza politykami z Waszyngtonu). Tak było, gdy przed wizytą we Francji pielgrzymował do Hiszpanii i w Kortezach wyraźnie, chociaż taktownie, powiedział parlamentarzystom, że z lewicową obyczajowo agendą rządu Pedro Sáncheza Kościołowi katolickiemu nie jest po drodze. Z drugiej strony jako papież kontynuator polityki Franciszka znajdował się jednak raczej po stronie Sáncheza w sprawie ludzkiego traktowania imigrantów, choćby nawet nielegalnych.

Drugim wielkim sukcesem intelektualnym Leona XIV wśród wierzących, ale i niewierzących Francuzów była niedawna encyklika *Magnifica humanitas*. Dokument podpisany w rocznicę Rerum Novarum Leona XIII nosi wszystko mówiący podtytuł: „O trosce o osobę ludzką w dobie sztucznej inteligencji". Papież sprzeciwia się antropomorfizacji AI i ostrzega przed zagrożeniami nowych technologii w sposób, który doskonale współbrzmi z obawami wielu ludzi, wszystko jedno – wierzących czy nie. Dokument oczywiście opiera się na katolickiej koncepcji godności osoby ludzkiej oraz nauce społecznej, jednakże obecnie równie dobrze wpisuje się w próbę obrony granic wolności jednostki spod znaku francuskiego liberała Raymonda Arona. W dobie antyludzkich algorytmów problemem staje się człowiek i jego wolny wybór.

Ciekawie opowiadał o tym wspomniany Jean-Marc Aveline, arcybiskup Marsylii – do pewnego momentu brzmiał jak liberał. Ale tylko do pewnego. Bo chociaż diagnozy globalnych problemów mogą być podobne, to proponowane rozwiązania są już radykalnie odmienne, co widać choćby w sprawach bioetycznych.

Mimo wszystko drogi laickiej Francji i Watykanu raczej się spotykają, niż rozchodzą. Czasem z konieczności, niekiedy przypadkiem – czego przykładem właśnie anegdotyczny koncert Céline Dion oraz msza papieża tego samego dnia i zaledwie kilka kilometrów w linii prostej od siebie. Dobre i to, biorąc pod uwagę, że niektóre radykalizmy, polaryzacje i technologie w równym stopniu zagrażają liberalnej demokracji, co Kościołowi powszechnemu.

Nie należy też zapominać, zwłaszcza przy okazji francuskiej wizyty Leona XI, że ostatecznie Stary Kontynent zamieszkuje dziś zaledwie 20 proc. wszystkich katolików świata. I na pewne radykalizmy Watykan po prostu nie może sobie pozwolić. A to buduje most do dialogu raczej z politykami takimi jak Macron niż Trump.

JAROSŁAW KUISZ

eprasa.pl ef163c68fb

Biuro-kracja

Narodowe Antykorupcyjne Biuro Ukrainy (NABU) to dziś już nie tylko jedna z instytucji państwa, ale też potężna siła polityczna, która regularnie wywołuje kryzysy na szczytach władzy. Czy może ją przejąć?





Bohaterowie operacji „Kartagina": „Kanclerz", czyli Serhij Kropywa, i „Muza" – Elizawieta Iwachnienko

© MARIANNA KOTYK/UKRINFORM/GETTY IMAGES, VOLODYMYR TARASOV/UKRINFORM/FORUM

PAWEŁ RESZKA, ALBINA TRUBIENKOWA

Ona: – Wiesz, przeczuwałam, że dostanę od ciebie zegarek.

On: – Tak?

Ona: – Ale myślałam, że Rolexa.

On: – Rolexa? Rolex jest o połowę tańszy.

To fragment podsłuchu, część materiału dowodowego operacji „Kartagina" prowadzonej przez Narodowe Biuro Antykorupcyjne Ukrainy, NABU. „On" występuje pod pseudonimem „Kanclerz". W rzeczywistości jest wiceszefem departamentu współpracy międzynarodowej w Prokuraturze Generalnej, nazywa się Serhij Kropywa. „Ona" to jego bliska znajoma, kryptonim „Muza" – naprawdę nazywa się Elizawieta Iwachnienko. Do niedawna, mimo młodego wieku (24 lata), była zastępczynią dziekana wydziału cyberbezpieczeństwa w Odeskiej Akademii Prawa.

A zegarek kosztował niemało. Kropywa wydawał na takie prezenty nawet 60 tys. dol., choć jego pensja w prokuraturze stanowiła równowartość 2,7 tys. dol. miesięcznie. Na podarunek dla przyjaciółki musiałby więc pracować prawie dwa lata. A przecież miał też normalne wydatki – rachunki, rodzina, edukacja dzieci, Mercedes. Na brak środków jednak nie narzekał. Pochodziły z łapówek od przestępców – właścicieli tzw. call centrów.

Ta sprawa jest znana

O biznesie związanym z call centrami wiedzą wszyscy. Schemat jest prosty: oszuści siedzą przy telefonach i komputerach. Dzwonią, wysyłają esemesy, wiadomości przez media społecznościowe. Podają się za pracowników banków, konsultantów inwestycyjnych albo policjantów. Wyłudzają od nieostrożnych dostęp do rachunków bankowych, namawiają na wpłacenie pieniędzy na jakieś konto, zakup kryptowalut. Środki oczywiście znikają.

Ofiarami są nie tylko Ukraińcy, ale też obywatele Unii Europejskiej. W statystykach – choćby z Polski – widać lawinowy wzrost liczby tego typu incydentów. W 2025 r. było ich ponad 260 tys., w 2022 – niecałe 40 tys., jak wynika z raportu CERT, zespołu działającego w ramach Naukowej i Akademickiej Sieci Komputerowej (NASK). Ponad 97 proc. tych incydentów to oszustwa komputerowe, np. próby wyłudzania poufnych danych, takich jak loginy i hasła do poczty elektronicznej czy serwisów bankowych. ▶

eprasa.pl ef163c68fb

▶ W części takich oszustw specjalizują się działające w Ukrainie przestępcze call centra.

– *Takie firmy są coraz bardzie profesjonalne. Szkolą swoich pracowników w zakresie sprzedaży i psychologii* – mówi Iwona Prószyńska z NASK.

Działalnością tych centrów zachodni partnerzy Ukrainy byli coraz bardziej zdenerwowani, naciskali, ale proceder kwitł. To znaczy prokurator generalny poprzez media wypowiadał wojnę internetowym oszustom. Od czasu do czasu jakaś grupa przestępcza wpadała. Organy ścigania zamieszczały film z „dynamicznego zatrzymania". Nie zmieniało to jednak ogólnie złej sytuacji, bo biznes ciągle się kręcił i przynosił gigantyczne dochody.

Dane ujawnione przez Jarosława Żeleźniaka, posła do Rady Najwyższej, szefa Komisji Śledczej ds. Nielegalnych Operacji Finansowych, wprawiają w osłupienie. W Ukrainie mogło działać w szczytowym momencie blisko 2 tys. centrów, w których zatrudnionych było 60 tys. osób. Miesięczne obroty to około miliarda dolarów.

Jak to możliwe? „Skorumpowane osoby w organach ścigania Ukrainy mogą zapewniać ochronę oszustom" – napisano w kwietniowym raporcie Global Initiative Against Transnational Organized Crime, międzynarodowej organizacji zajmującej się przestępczością zorganizowaną.

Jednak dopiero śledztwo NABU ujawniło, że ludzie ochraniający biznes pracują w Prokuraturze Generalnej. Detektywi przeprowadzili rewizje u prokuratora generalnego Rusłana Krawczenki, jego zastępczyni oraz Olega Kipera, który jeszcze niedawno kierował prokuraturą w Kijowie, a dziś jest szefem administracji obwodu odeskiego (odpowiednik wojewody). „Kanclerz" i „Muza" zostali zatrzymani.

Wszystko wam opowiemy

NABU ma taki zwyczaj, że gdy już dojdzie do zatrzymań, wypuszcza na światło dzienne mnóstwo materiałów operacyjnych. To polisa, która ma zagwarantować, że politycy nie będą w stanie zamieść sprawy pod dywan. Tak było i tym razem. Z podsłuchów, filmów, rachunków przedstawionych przez detektywów wyłonił się obraz przegniłego systemu.

Przez prokuratora Kropywę i jego ludzi przechodziły wszystkie sprawy związane z call centrami. Była lista firm, które się opłacają, więc są bezpieczne. I druga lista – tych, po których „można przejechać się KAMAZ-em", zorganizować policyjny nalot. Przy czym akcje organów ścigania miały być maksymalnie nagłaśniane – żeby społeczeństwo i partnerzy zachodni wiedzieli, że w Ukrainie walczy się z przestępczością.

Łapówki były przekazywane w biały dzień w reklamówkach. Haracz od jednego call center wynosił 20 tys. dol. miesięcznie. Opłacały się setki z nich, więc dochody były gigantyczne. Oczywiście nie wszystko szło do kieszeni „Kanclerza" – część pieniędzy trafiała do podwładnych, kolejna część: wyżej, do przełożonych. Pytanie tylko jak wysoko.

Kasy było coraz więcej. W podsłuchanych rozmowach pojawiają się coraz droższe zegarki, samochody, biżuteria. Współpracownicy „Kanclerza" zastanawiają się, co kupić mu na urodziny. Staje na tym, że odpowiedni będzie motocykl Harley-Davidson: „Kosztuje ok. 30 tys. dol., trzeba będzie się zrzucić". Sam „Kanclerz" dwoi się i troi, żeby zalegalizować lewe dochody. Jego krewni, krewni współpracowników stają się posiadaczami wielu nieruchomości w Ukrainie i za granicą. W USA powstaje firma, która ma inwestować w zakup apartamentów.

„Muza" bierze aktywny udział w legalizowaniu łapówek – ma własną firmę, bogaci się jej rodzina. „Kanclerz" prosi ją, by była ostrożna, nie chwaliła się majątkiem: „Instagram to zło!". Ale „Muza" mówi, że gdyby chciała go słuchać, musiałaby wykasować niemal wszystko: Porsche, zegarki, torebki, bransoletki i futro.

Takie szczegóły muszą działać na społeczeństwo – funkcjonuje już przecież piąty rok w warunkach wojennych: codziennych ofiar, alarmów, zniszczeń, wyłączeń prądu, coraz bardziej mizernych płac.

Z taśm operacji „Kartagina" wyłania się jednak nie tylko pojedynczy przestępczy proceder, ale też obraz zepsutego państwa. Prokuratorzy dostają od przełożonych „dodatkową pensję" w kopertach (nawet 5 tys. dol. miesięcznie). Pracę załatwia się wyłącznie przez znajomości. Prokurator może zadzwonić na policję i poprosić, by pomogła odzyskać dług.

To system

Wszystko to nie dziwi Wołodymyra Arjewa, kiedyś znanego dziennikarza, od lat opozycyjnego deputowanego Rady Najwyższej. Oleg Kiper – jeden z głównych figurantów afery „Kartagina" – jest mu dobrze znany. – *To sprawa osobista, bo chodzi o moją córkę. W 2022 r., podczas pełnego zaciemnienia Kijowa, spowodowała wypadek. Była trzeźwa, a badania nie wykazały obecności narkotyków. Mimo to pół roku później prokuratura wszczęła postępowanie, zarzucając jej prowadzenie samochodu pod wpływem środków odurzających. Sprawę prowadził właśnie prokurator Kiper. Po trzech latach wygraliśmy przed sądem. Prokuratura jednak apeluje, więc koszmar trwa* – mówi nam poseł.

Dlaczego to spotkało pana córkę? – *To zemsta, bo od lat ujawniam powiązania korupcyjne w otoczeniu prezydenta. Dochodzi element szantażu. Presja na opozycyjnych deputowanych, by głosowali tak, jak chce władza. Nie jestem jedynym posłem, na którego naciskano.*

Arjew przypomina, że rok temu władze zlikwidowały niezależność prokuratorów. Prokurator generalny nie jest wybierany w postępowaniu konkursowym, ale wyznaczany. Może ingerować w każde śledztwo i bez podania przyczyny przenieść prokuratora na inne stanowisko.

– *Prokuratorzy mają robić to, co im każe góra. Jeśli nie chcą, zostają oddelegowani do pracy np. do Chersonia, miasta, które leży na linii frontu. „Nie chcesz jechać? Możesz się zwolnić". Zwalniasz się, a przy wyjściu z prokuratury czeka na ciebie WKU. Od razu jedziesz na front* – mówi poseł. – *W sumie nie ma znaczenia, kto teraz zostanie następnym prokuratorem generalnym. System nadal będzie funkcjonował, ponieważ jest to system ruskiego miru, w którym organy siłowe, organy ścigania i służby specjalne służą nie prawu, lecz przywódcy państwa.*

Na nagraniach powraca postać, którą rozmówcy określają jako „szef". Kim jest, możemy się tylko domyślać. „Kanclerz" pojawił się w prokuraturze generalnej dopiero w lipcu zeszłego roku. Był częścią ekipy nowego szefa prokuratury Rusłana Krawczenki. A call centra działały i opłacały się od dawna – tylko wcześniej stawki były niższe.

NABU podkreśla, że operacja „Kartagina" nie byłaby możliwa, gdyby nie wsparcie społeczeństwa i zachodnich sojuszników Ukrainy. Jest w tym sporo racji, bo w lipcu zeszłego roku prezydent Wołodymyr Zełenski chciał zniszczyć NABU. Przeciw jej detektywom rzucono Służbę Bezpieczeństwa Ukrainy. Odbywały się rewizje w biurach, w mieszkaniach. Detektywom NABU zarzucano związki z Rosją, a nawet szpiegowanie na jej rzecz. Dowody były marne, chodziło o założenie

eprasa.pl ef163c68fb

knebla. Po protestach społecznych i dyplomatycznych w obronie NABU władza musiała się ze wszystkiego wycofać.

Wyglądało to na desperacką próbę bronienia „układu" przed efektami zbliżającego się do końca kolejnego śledztwa. NABU ujawniło wtedy aferę „Midas" – gigantyczny mechanizm korupcyjny działający w otoczeniu Zełenskiego. Stanowiskiem przypłacił Andrij Jermak, szef Kancelarii Prezydenta, de facto druga osoba w państwie. Sam prezydent poniósł gigantyczne straty wizerunkowe.

Ostatni sprawiedliwi?

NABU upublicznia więc następne śledztwa. Władza działa pod presją – jak określa to politolog Wołodymyr Fesenko – w rytmie „od skandalu do skandalu". I nie ma siły, by to powstrzymać. Czy role się odwróciły? – *Wygląda na to, że NABU zaczęło wygrywać* – mówi deputowany Arjew z nutą satysfakcji w głosie.

Dobrym przykładem jest niedawna operacja „Forrest Gump". NABU opublikowało nagrania rozmów dotyczących prób przejęcia kontroli nad znacjonalizowanym Sense Bankiem. Na taśmach pojawiają się osoby z otoczenia Zełenskiego, w tym Iryna Mudra, zastępczyni szefa biura prezydenta. Pada także nazwisko Danyło Hetmancewa, szefa parlamentarnej komisji finansów, wpływowego posła prezydenckiej frakcji Sługa Narodu.

Hetmancew: – *Sam zwróciłem się do NABU z propozycją złożenia wyjaśnień. Natomiast rozmowa, w której pojawia się moje nazwisko, zupełnie nie jest związana ze śledztwem. Wygląda to na zwyczajną próbę zdyskredytowania politycznego oponenta.* Hetmancew, jak wielu innych polityków obozu władzy, z rezerwą patrzy na działania służby antykorupcyjnej: – *Chciałbym, żeby konsekwencją ich operacji były wyroki sądowe, ale tych jest niewiele. Więcej jest za to medialnego show.*

Rzeczywiście, NABU potrafi zbudować wokół swoich śledztw gigantyczny rozgłos. Ujawnianie materiałów operacyjnych jeszcze przed zakończeniem postępowań prowokuje pytania, czy agencji chodzi o walkę z korupcją, czy także o zdobywanie wpływów. Zdaniem Hetmancewa z NABU związani są niektórzy posłowie opozycji, aktywiści i dziennikarze śledczy. Uważa on, że agencja coraz bardziej zaczyna przypominać formację polityczną.

Wołodymyr Fesenko przypomina, że NABU nie ma w Ukrainie szczególnie silnego społecznego mandatu. W lutym 2026 r. ufało mu 38 proc. badanych, a 42 proc. – nie ufało. Mało kto zna też szerzej szefa biura, Semena Krywonosa. – *NABU nie jest postrzegane jako samodzielny aktor, ale jednocześnie ma dziś bardzo duży wpływ na wewnętrzną politykę. Niektórzy postrzegają jako gracza politycznego nie samo NABU, lecz szersze środowisko antykorupcyjne* – mówi Fesenko.

Czy więc w ukraińskiej polityce mogłaby znaleźć miejsce nowa siła, która chciałaby reformować państwo i walczyć z korupcją? Oczywiście każda nowa ekipa – łącznie z ekipą Zełenskiego – dokładnie takie hasła wypisywała na pierwszych sztandarach. Potem wracała codzienność. Dziś ekipa Zełenskiego przeżywa potężny kryzys. – *Rozłam już się wydarzył* – przyznaje Hetmancew. Niedawno z drużyny Zełenskiego odszedł z hukiem Mychajło Fedorow. Młody, doskonale oceniany minister obrony po odejściu z rządu natychmiast wskoczył na szczyt rankingów prezydenckich. W jego retoryce walka z korupcją zajmuje kluczowe miejsce.

Fesenko podkreśla, że w ostatnich tygodniach ucierpiała też reputacja prokuratury, Służby Bezpieczeństwa Ukrainy (w Kijowie funkcjonariusze SBU strzelali do oficerów wywiadu wojskowego HUR). – *Wszystko to osłabia prezydenta* – mówi politolog. Ale osłabia też cały system, bo rząd, parlament i wymiar sprawiedliwości są w istocie pod prezydencką kontrolą. Fesenko podkreśla, że afery zachwiały hierarchią. „Szef" nie może już liczyć, że jego polecenie zostanie wykonane za każdą cenę. Podwładny zdaje sobie bowiem sprawę, że nikt nie jest w stanie ochronić go przed odpowiedzialnością karną.



NABU upublicznia mnóstwo materiałów operacyjnych. To polisa, która ma zagwarantować, że politycy nie zamiotą sprawy pod dywan.

To jest właśnie przykład prokuratora Krawczenki. Zaraz po wybuchu skandalu wyjechał „w delegację" do Paryża. Stamtąd usiłował kontratakować, stawiać zarzuty korupcyjne szefowi NABU. Otoczenie prezydenta jednak go nie wsparło. Został zdymisjonowany i najwyraźniej spisany na straty.

Uchylanie zasłony

W normalnych demokracjach kryzys zaufania do władzy zażegnuje się poprzez rozpisanie wyborów. A w czasie wojny? W Ukrainie wybory były dotychczas tematem tabu. Władza ich nie chciała, społeczeństwo też. Głośno domagał się ich tylko Kreml, mówiąc, że „kijowska junta" dawno straciła legitymację. Głosowania chciała też administracja Donalda Trumpa. Tabu przełamał dopiero Fedorow, który po odejściu z resortu obrony stwierdził, że tak dalej się nie da. Od tej pory temat powraca.

– *Wybory to złe rozwiązanie, ale pozostawienie wszystkiego po staremu byłoby jeszcze gorsze* – mówi deputowany Arjew. – *Innym wyjściem jest przywrócenie właściwej roli Radzie Najwyższej. Bo władze zmieniły ją w bezwolną maszynkę do głosowania.* Z kolei ludzie władzy, jak Danyło Hetmancew, utrzymują starą, obecną od początku inwazji, retorykę, że wojna nie jest dobrym momentem na uprawianie polityki: – *Trzeba powściągnąć ambicje i czekać na pokój.*

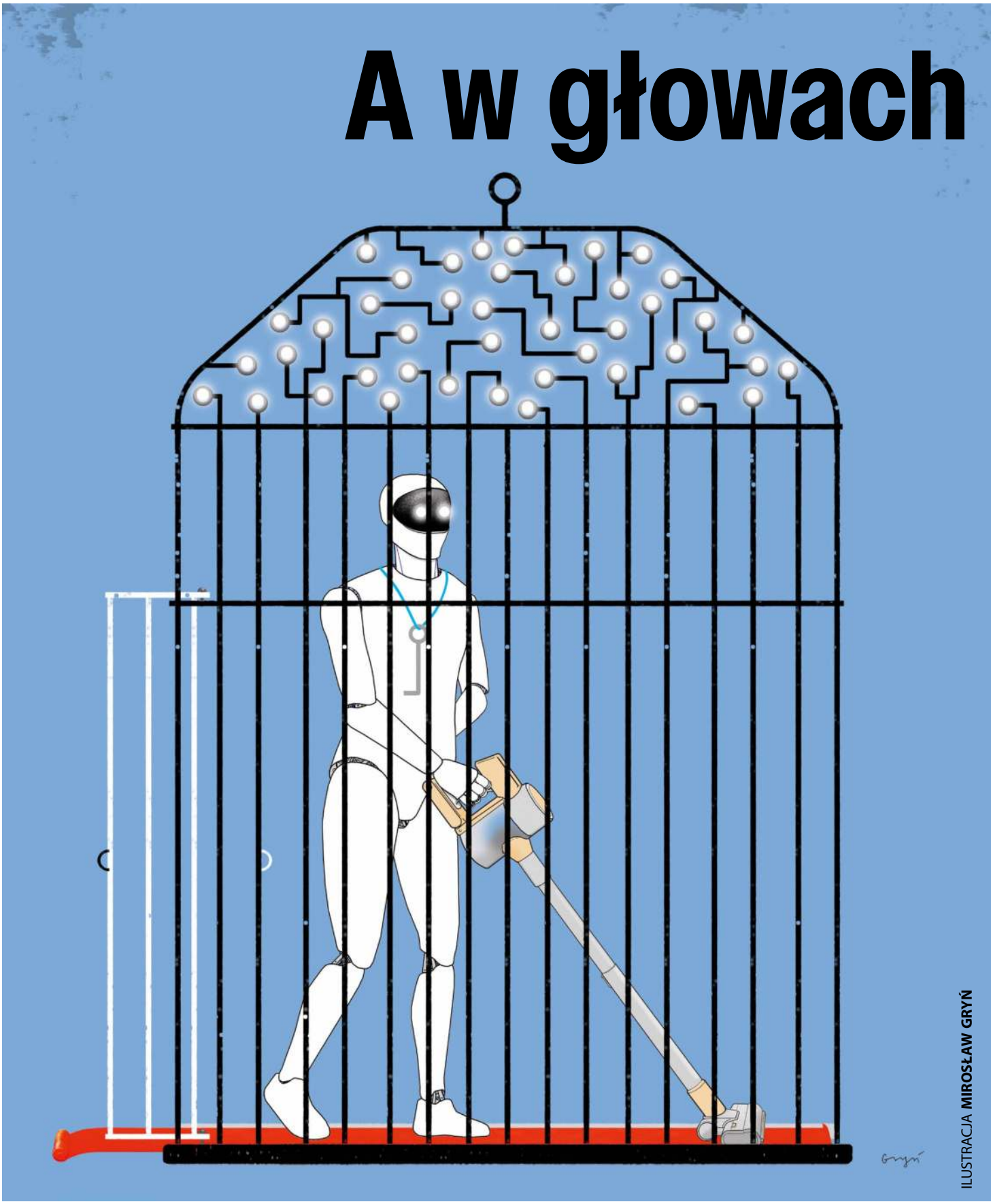
Tyle że ta argumentacja powoli przestaje działać na wyborców. Wojna dla ludzi władzy stała się zasłoną, za którą dzieją się niepokojące rzeczy. NABU co jakiś czas ją uchyla. Widać wtedy błyszczące zegarki, drogie samochody, dolarowe wypłaty w kopertach i inne symbole zepsucia.

PAWEŁ RESZKA, ALBINA TRUBIENKOWA

© NABU

eprasa.pl ef163c68fb

A w głowach



ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

eprasa.pl ef163c68fb

ciągle AI

O medialnym szumie wokół sztucznej inteligencji, frustracji badaczy i zapóźnieniu Europy mówi informatyk i matematyk prof. dr hab. Piotr Sankowski.

KATARZYNA CZARNECKA: **– Pan też uważa, że wszyscy zginiemy?**

PIOTR SANKOWSKI: – Ze starości – na pewno.

Chodzi mi o ponoć zgubne dla naszego gatunku działanie sztucznej inteligencji.

W takim razie odpowiedź brzmi: nie.

Wiele mediów od prawie dwóch tygodni mówi, że tak. Powołują się na słowa Jacoba Coxona, byłego pracownika Anthropic i OpenAI.

Bardzo przykre jest to, że rozpowszechniają takie przepowiednie osób niekompetentnych, które tak naprawdę zajmują się tą problematyką niedługo. Stwierdzenie, że AI nas wszystkich zabije, jest nieprawdziwe także z innego powodu: kontrolujemy ją my, ludzie. To, w jaki sposób jej użyjemy, zależy od nas. Możemy rzeczywiście wykorzystać ją do złych celów. Niemniej ostatnie doniesienia medialne nie znajdują potwierdzenia w rzeczywistości.

I nawet w słowach samego Coxona. On mówi: „Obecne modele nie są na tyle inteligentne, by przechytrzyć nas na poziomie, który doprowadziłby do naszego wyginięcia". Dodaje jednak, że ludzie z branży AI „czują się zmuszeni uczestniczyć w wyścigu w kierunku stworzenia potencjalnie śmiercionośnej technologii". I może być problem w przyszłości, jeśli giganci technologiczni nie będą mieli nad sobą międzynarodowej instytucji, która „pozwoliłaby kontrolować tempo rozwoju AI". Jego twierdzenie jest więc warunkowe.

A także nieprzemyślane i niespójne. Ogłasza bowiem np., że sztuczna inteligencja zacznie się kopiować między komputerami jak wirusy. Nie ma takich możliwości – modele językowe są po prostu za duże. On także więc ponosi winę za wzniecanie niepokoju.

Tymczasem kilka dni po nagłośnieniu wypowiedzi Coxona doszło do osobliwego czwórporozumienia: szefowie OpenAI, xAI i Google DeepMind – Sam Altman, Elon Musk i Demis Hassabis – poparli apel Dario Amodei z Anthropic o spowolnienie prac nad AI i wprowadzenie silniejszych zabezpieczeń.

Mówimy tutaj o amerykańskich korporacjach. Ci panowie mogą zadecydować, kogo chcą zwolnić, kogo zatrudnić, w jaki sposób i na co wydawać pieniądze itd. Gdyby rzeczywiście chcieli kontrolować swoje działania, to by to zrobili. Ich nawoływanie do nadzoru nad samymi sobą jest – mówiąc delikatnie – mało wiarygodne.

Ładnie się jednak sprzedaje.

I tylko o to chodzi. Im zależy wyłącznie na budowaniu zaufania wśród potencjalnych kupców akcji ich firm, bo przecież niedługo będą wchodziły na giełdę.

Tymczasem kontrola jest potrzebna. Donald Trump wyraził się na ten temat 14 września na Truth Social: „Jedynym mechanizmem kontrolnym czy »barierami zabezpieczającymi«, jakich potrzebuje sztuczna inteligencja, jest SILNY I MĄDRY (o wysokim IQ!) PREZYDENT, a Stany Zjednoczone mają go w nadmiarze!". Nie proszę pana o komentarz.

Dziękuję. Potencjalne zagrożenia oczywiście są i nie wolno ich ignorować.

Z najbardziej kasandrycznymi rozprawili się rok temu autorzy raportu „O ryzyku wyginięcia związanym ze sztuczną inteligencją" z think thanku RAND Corporation. Wskazują scenariusze, kiedy ta technologia może doprowadzić do użycia broni jądrowej, ułatwiać wytwarzanie i rozprzestrzenianie patogenów, celowo wypuścić do atmosfery ogromne ilości gazów cieplarnianych, przejąć kontrolę nad infrastrukturą krytyczną i działać samodzielnie.

Tyle że podeszli do tych zagrożeń metodologicznie i zdecydowaną większość uznali za mało prawdopodobne. Mówią też, że tym, którym ewentualnie AI mogłaby spowodować, można zapobiec. Niestety, ten raport nie spotkał się z zainteresowaniem mediów.

Pan go doskonale zna, podobnie jak głosy innych naukowców, którzy są pewnymi kwestiami zaniepokojeni. Jakie wnioski?

Brakuje nam badań nad zgodnością celów systemów sztucznej inteligencji z intencjami i wartościami ludzi, czyli nad tzw. AI alignmentem. To jeden z najważniejszych obszarów bezpieczeństwa. Powinno być ich więcej, prowadzonych zarówno przez firmy zaangażowane w rozwój AI, jak i przez instytucje państwowe czy międzynarodowe. Miejscem, gdzie rzeczywiście dyskutuje się na ten temat, jest Niezależny Międzynarodowy Panel Naukowy ds. Sztucznej Inteligencji przy ONZ, w którym reprezentuję Polskę. Rozmawiamy tam także o ryzyku większym niż to, że AI wymknie się spod kontroli i zrobi coś złego – o nieproporcjonalnym dostępie do tych modeli. To może ▶



© ANNA AMAROWICZ

Prof. dr hab. **Piotr Sankowski** – dyrektor Instytutu Badawczego IDEAS, badacz w Instytucie Informatyki Wydziału Matematyki, Informatyki i Mechaniki Uniwersytetu Warszawskiego. Jako pierwszy Polak otrzymał cztery granty Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych (ERC). Od tego roku zasiada w Kapitule Profesorskiej Nagród Naukowych POLITYKI (stypendium otrzymał w 2005 r.).

eprasa.pl ef163c68fb

▶ spowodować dalsze pogłębienie nierówności i dużo większe napięcia ekonomiczne na świecie niż te, z jakimi mamy do czynienia teraz.

Na czym konkretnie polega problem?

Na transferze środków z całego świata do wybranych korporacji. A także na tym, że jeżeli sztuczna inteligencja zacznie wykonywać realną pracę za niektórych ludzi, to oni będą zagrożeni egzystencjalnie. To groźniejsze dla całego świata niż te ryzyka, które się jeszcze nie zmaterializowały.

Co jeszcze realnego widzicie?

Można już dość skutecznie używać modeli AI do przeprowadzania ataków na systemy komputerowe. Część ma blokady, ale można je przekonać, żeby to zrobiły, i są w tym bardzo skuteczne. Europa potrzebuje narzędzi, które mogą nas przed tym bronić.

Nie mamy?

Nie. Dobitny przykład to włamanie agentów AI do systemów Hugging Face. Firma musiała sprawdzić, co się wydarzyło, ale nie mogła używać modeli amerykańskich, ponieważ odmawiały współpracy.

Bo model „włamywacz" został stworzony w OpenAI?

Tak. Żeby bronić się przed technologią amerykańską, Hugging Face musiała skorzystać z modeli chińskich. Posiadanie własnych systemów, które nas bronią w cyberprzestrzeni, jest ekstremalnie istotne i będzie zyskiwało na znaczeniu. A Europa jest właściwie w wyścigu o modele AI w ogonie. USA przodują, Chiny są jeszcze spóźnione o mniej więcej cztery miesiące, ale możliwe, że niedługo nadgonią, a my mamy około czterech lat opóźnienia. Jest tu też inny aspekt, który pociąga za sobą dalekosiężne skutki ekonomiczne – w którymś momencie modele sztucznej inteligencji będą używane do zarządzania firmami. Czyli im lepsze będą, tym więcej przedsiębiorstwo będzie zarabiało, łatwiej wejdzie na nowe rynki itd. Jeśli się nie ruszymy, nasze firmy będą traciły na znaczeniu.

Korzystanie z obcych technologii to także ryzyko wykorzystania danych przez firmy, które je stworzyły?

Tak. Na razie giganci twierdzą, że absolutnie nie dotykają danych użytkowników, jeśli oni sami ją zablokują w modelach, z których korzystają. Jednocześnie mówią, że te zanonimizowane jednak mogą być użyte.

8 września OpenAI pochwaliło się, że 10 tys. jego agentów w ciągu 88 godzin opracowało dowód powstawania osobliwości w skończonym czasie w wymuszonych równaniach Naviera–Stokesa, czyli jednym z siedmiu tzw. problemów milenijnych (patrz ramka). Wcześniej pracowali nad nim matematycy Tristan Buckmaster z New York University oraz Levent Alpöge z Anthropic – wyniki uzyskali 15 sierpnia. Korzystali przy tym m.in. z ChatGPT-6 Astra. Okazało się, że ich nietypowe podejście do problemu zastosowała także sztuczna inteligencja firmy Altmana. Wygląda więc na to, że korzystała z danych, które podczas pracy wprowadzili do LLM.

Jest takie podejrzenie.

Sam Buckmaster nie oskarża OpenAI i nie kwestionuje jej wyniku, który zresztą nie został jeszcze zweryfikowany. Chodzi mu o sposób komunikacji i przedstawienia historii tego odkrycia. Twierdzi, że na pytanie, kiedy jej model otrzymał pierwsze polecenia dotyczące rozwiązania równań, firma długo nie odpowiadała. W końcu jednak przyznała, że już po uzyskaniu informacji o pracach matematyków. A później zaproponowała, że albo ogłosi swój wynik jako pierwsza, albo Buckmaster napisze artykuł, w którym wskaże udział OpenAI, ale z pominięciem Alpöga, bo ten pracuje u konkurencji. Badacz odmówił i ostrzegł, że ujawni szczegóły całej sprawy. Usłyszał: „Dlaczego miałbyś zrujnować sobie karierę?". Nieeleganckie to wszystko. A raczej nieetyczne.

Na pewno. Sądzę jednak, że nie chodziło tu jedynie o wyprzedzanie badaczy – OpenAI zabrało się do problemów milenijnych, żeby pokazać moc swoich modeli. To oczywiście jest bardzo ciekawa demonstracja, ale ewidentnie coś tu poszło nie tak. Tyle że podobne konflikty w nauce są bardzo częste – jeden naukowiec słyszy, że inny pracuje nad czymś i prawie rozwiązał, więc on każe całemu swojemu zespołowi dokończyć ten problem albo przyspieszyć badania. I te wyścigi zawsze były brzydkie.

Panu się to zdarzyło?

Tak. Czasami kończyły się tym, że łączyliśmy siły i publikowaliśmy artykuły wspólnie, a czasami mało ciekawymi mailami i sporami trwającymi kilka lat.

Tu jednak człowiek staje naprzeciw wielkiej korporacji. Buckmaster zasięgnął porady prawnika, ale jakie ma szanse na wyjaśnienie sprawy i ewentualną wygraną w sądzie?

Byłoby to wyjątkowo trudne i bardzo czasochłonne.

Jak naukowcy mają się zatem zabezpieczać?

W informatyce robimy to tak: kiedy tylko skończymy pracę nad jakimś rozwiązaniem, wyniki – nawet niedoskonałe i oczywiście nierecenzowane – umieszczamy w otwartym repozytorium. Dzięki temu nikt nigdy nie zastanawia się nad autorstwem.

Matematycy tego nie zrobili. „Świadomie zrezygnowaliśmy z pospiesznego opublikowania" – pisze Buckmaster. I dalej: „Jestem głęboko przekonany, że pierwszą rzeczą, którą ktokolwiek przeczyta, powinno być rozumowanie matematyczne przedstawione w zrozumiały sposób".

Takie problemy mogą się powtarzać, dopóki nie wymyślimy, jak sobie z nimi radzić – dyskutujemy o tym. Uważam jednak, że wpływ sztucznej inteligencji na nauki ścisłe będzie bardzo pozytywny. Wiele problemów, z którymi matematycy,

Problemy milenijne

Siedem zagadnień matematycznych, których rozwiązanie jest wyzwaniem na XXI wiek. Listę ogłosił Clay Mathematics Institute 24 maja 2000 r. Znalazły się na niej:

P vs NP z 1971 r. (zależność między poprawnością a szybkością obliczeń)
Hipoteza Hodge'a z 1950 r.
Hipoteza Poincarégo z 1904 r. (potwierdzona przez Grigorija Perelmana w 2006 r.)
Hipoteza Riemanna z 1859 r.
Teoria Yanga-Millsa i przerwa masowa z 1954 r.
Równania Naviera-Stokesa z 1822 r.
Hipoteza Bircha i Swinnertona-Dyera z 1960 r.

W 1900 r. podobną listę, lecz z 23 problemami, ogłosił David Hilbert. Już na niej pojawiła się hipoteza Riemanna.

Za rozwiązanie każdego z problemów milenijnych instytut Claya oferuje milion dolarów nagrody. Open AI zadeklarowało, że o nią nie wystąpi.

eprasa.pl ef163c68fb

informatycy, fizycy czy chemicy nie byli sobie w stanie poradzić, zostanie w końcu rozwiązanych. Są oczywiście uczeni, którzy uważają, że jest to oszustwo i doping, podobnie jak ci, którzy w latach 70. XX w. protestowali przeciw używaniu kalkulatorów w szkołach. Nie tędy droga. I niektórzy matematycy już to sprawdzili: wprowadzili do LLM jakiś dawny 50-stronicowy dowód, a on na tej podstawie wygenerował dwie strony, dzięki którym oni coś zrozumieli i poczynili postępy w badaniach. Poza tym niedługo niedoświadczony matematyk będzie w stanie konkurować z doświadczonym, jeśli będzie miał dostęp do lepszego modelu sztucznej inteligencji.

To byłby poważny cios w hierarchię, jaka obowiązuje w waszym środowisku.

Tyle że ona rzadko kiedy prowadzi do czegoś pozytywnego. Odejścia naukowców ze świecznika sprawiają wręcz, że ich dziedziny badań stają się dużo bardziej innowacyjne.

Brutalne, ale potwierdzone badaniami. W czerwcu w „Science" ukazały się wyniki, z których wniosek jest taki: z wiekiem badacze stają się lepsi w łączeniu znanych faktów, rzadziej jednak mają pomysły rewolucyjne. AI zatem sprawi, że nauka będzie bardziej egalitarna?

Tak, jeśli wszyscy będą mieli dostęp do profesjonalnych modeli. Do pracy nad równaniami Naviera-Stokesa zaangażowano przecież wewnętrzne modele OpenAI.

Poza tym możliwość korzystania z LLM kosztuje.

800 czy 1000 zł miesięcznie w zależności od pakietu.

Giganci dyktują ceny, które dla niedofinansowanej polskiej nauki są zaporowe?

Dotychczas właściwie żadna nasza uczelnia nie zapewniła pracownikom dostępu – walka o niego jest zawsze przegrana. W Polsce raczej będziemy mieli większą nierówność w nauce niż większą egalitarność.

Także dlatego powinno się przyspieszyć z pracami nad konkurencyjnymi dla amerykańskich czy chińskich LLM?

Mówienie o tym, że zrobimy polskiego DeepSeeka lub jakiś model, który będzie konkurował z tym, co robią Chiny lub Stany, świadczy o niezrozumieniu skali ich działań. Powinno zatem powstać europejskie konsorcjum. Tyle że to będzie bardzo trudne i będzie wymagało ogromnych inwestycji. Amerykańskie firmy zaczęły dużo wcześniej, mają dużo większe finansowanie ze względu na to, że są tam big techy. Chiny zaś po prostu dotują swoje firmy informatyczne, dając im np. darmową ziemię pod budowę centrów danych, już nie mówiąc o tym, że zamykają po prostu swój rynek dla konkurencji. Unia Europejska jest poza tym w zbyt niekorzystnej sytuacji ekonomicznej, żeby rozpoczynać tę walkę.

Co musiałoby się stać, żeby się pojawiły jaskółki zmian?

Powinniśmy wspierać innowacje. Budować firmy zajmujące się sztuczną inteligencją, które będą w stanie konkurować z innymi rozwiązaniami. W momencie, w którym one – może jedna, może kilka – osiągną odpowiednią skalę, trzeba będzie je wspierać w tworzeniu alternatywy do modeli językowych. Przy czym dawanie pieniędzy za pomocą grantów niczego tu nie załatwi. Są pozytywne przykłady – choćby Airbus, który powstał przede wszystkim dzięki współpracy firm z Francji i Niemiec, aby skończyć z dominacją USA.

Mamy jeszcze trochę czasu, więc trzeba próbować?

Właśnie.

ROZMAWIAŁA KATARZYNA CZARNECKA

REKLAMA

Aplikacja POLITYKA

Czytaj, słuchaj, oglądaj



Teksty tygodnika, rzetelne analizy

Słuchaj w biegu: podkasty i artykuły

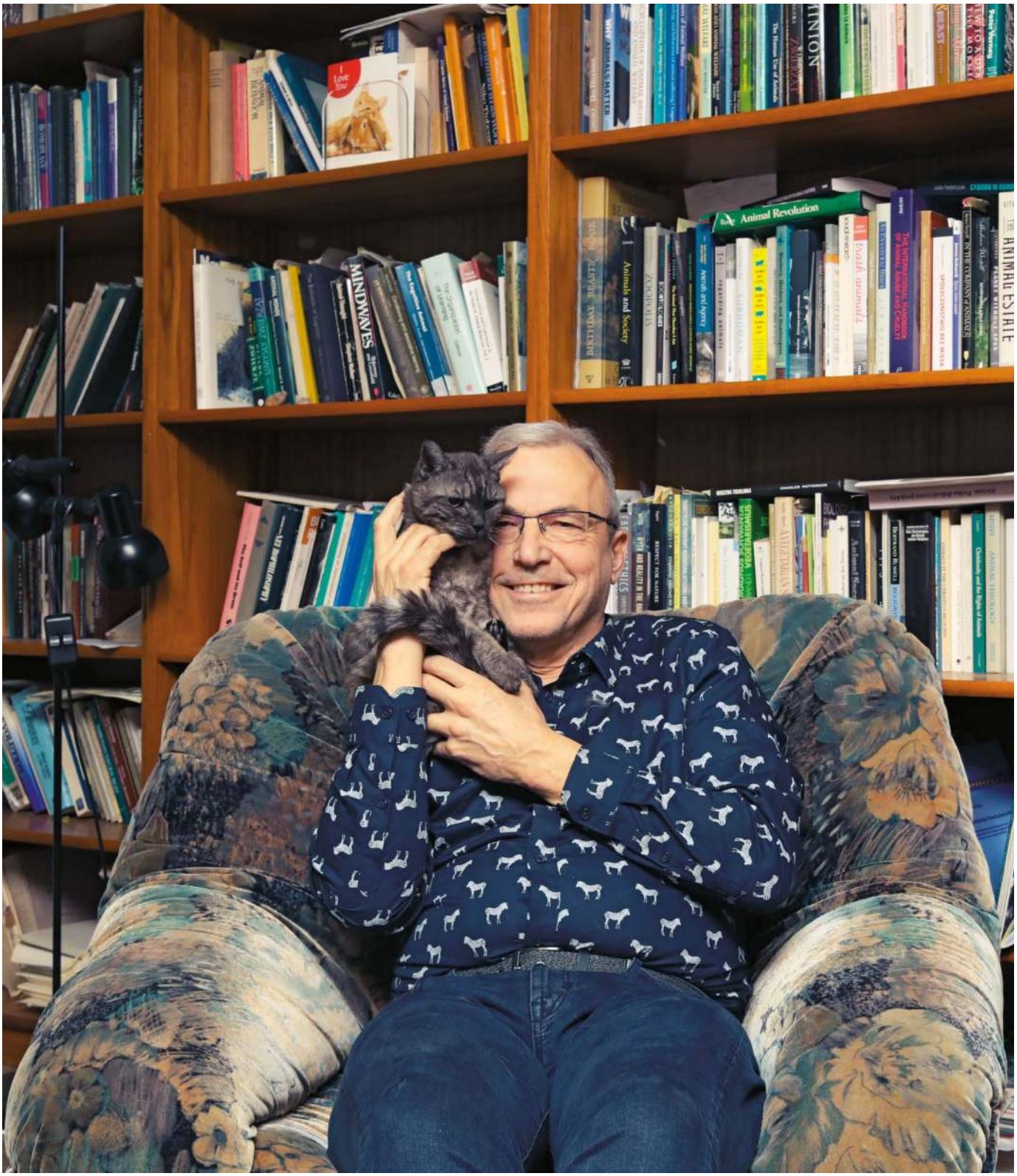
Codzienne nowe treści

POBIERZ W Google play

POBIERZ W App Store

eprasa.pl ef163c68fb

Brat największy



© LESZEK ZYCH

eprasa.pl ef163c68fb

Zwierzęta, gdyby mogły, postawiłyby mu pomnik. Zmarły 9 września prof. Andrzej Elżanowski (1950–2026) w obronie ich praw nie gryzł się w język – także na łamach POLITYKI.

ROBERT JURSZO

Fascynowały go pradawne ptaki, a jego osiągnięcia na polu paleontologii były ogromne. W 1974 r. jako pierwszy opisał gobipteryksa zamieszkującego pustynię Gobi ok. 75–71 mln lat temu. W 2001 r. wykazał, że mający być skamieniałym szkieletem archeopteryksa tzw. okaz z Solnhofen to w rzeczywistości pozostałości *Wellnhoferia grandis*, wymarłego ptaka innego rodzaju, choć z archeopteryksem spokrewnionego. Był autorem i współautorem ponad stu artykułów naukowych dotyczących prehistorii ptaków.

W Polsce to jednak nie paleontologia uczyniła prof. Andrzeja Elżanowskiego znanym. W pewnym momencie bardziej niż zwierzęta wymarłe zaczęły go zajmować te żywe. I to im się najbardziej poświęcił – jako bioetyk i działacz na rzecz ich praw. Stał się niemal instytucjonalnym zapleczem ruchu prozwierzęcego. Dostarczał argumentów przeciw ubojowi rytualnemu, hodowli przemysłowej, polowaniom, eksperymentom i innym praktykom sprowadzającym zwierzęta do poziomu rzeczy. „Przejmuję się losem pojedynczego dzika" – mówił.

Obojętność Kościoła

Prof. Elżanowski ubolewał nad tym, że – jak to ujął w rozmowie z OKO.press – „zwierzęta pozostają poza moralnością większości ludzi". Przypomniał wtedy, że z badań psychospołecznych wynika, iż myślenie moralne większości jest częściowo wyrachowane – nastawione na odwzajemnienie przysług, ale też liczące się z potencjalnym odwetem w przypadku wyrządzenia krzywdy. „Jednak żadne zwierzęta nie potrafią się na nas skutecznie odegrać".

W rozmowie z „Kulturą Liberalną" wyjaśniał: „moralność wyewoluowała nie po to, by szerzyć dobro we wszechświecie, lecz by zachować spójność grupy". A dla tego ostatniego ważne jest właśnie egzekwowanie wzajemności. „Zwierzęta się w tej wzajemności nie mieszczą, ponieważ nie są w stanie intencjonalnie się nam odwdzięczyć. Dlatego moralność konwencjonalna nie wymaga przyzwoitości dla zwierząt – trzeba wyjść poza nią, by docenić całe zło cierpienia zadawanego poza sferą ludzką".

Twierdził, że Kościół katolicki nie czyni Polaków lepszymi dla zwierząt, ponieważ – w najlepszym przypadku – wobec cierpienia „braci mniejszych" pozostaje obojętny. A często jest wobec nich zwyczajnie wrogi, np. gdy biskupi i księża publicznie manifestują poparcie dla polowań. Albo gdy utrwala pogardliwy stosunek do zwierząt na wsi. „Większość drastycznych przypadków indywidualnego dręczenia zwierząt – a nie zinstytucjonalizowanego, jak na przykład w rzeźniach – koncentruje się w polskim »pasie biblijnym«, czyli na południu i wschodzie" – stwierdził.

Pewnie dlatego podkreślał, że prawdziwa prozwierzęca etyka z konieczności jest etyką świecką. Wynika z pielęgnowania empatii pożenionej z refleksją moralną, a nie z posłuszeństwa religijnemu dogmatowi. Jego zdaniem owocem takiej wrażliwości musiał być weganizm – postawa polegająca nie tylko na niejedzeniu mięsa i innych produktów odzwierzęcych, ale też dążąca do całkowitej eliminacji eksploatacji zwierząt. „Weganizm staje się też imperatywem dla tych, którym ponadprzeciętny poziom empatii pozwala, nawet bez uniwersalizującej etyki, ocenić ogrom zła wyrządzanego podmiotom pozaludzkim, tylko dlatego że nie są ludźmi".

Myśliwi erotomani

Był ostrym krytykiem wykorzystywania zwierząt w nauce, również w badaniach medycznych. Na internetowych łamach gazeta.pl w kwietniu 2022 r. ostro wypowiadał się o eksperymentach medycznych Neuralink, firmy należącej do Elona Muska, podczas których wszczepiano czipy makakom. Małpy miały dzięki temu grać w komputerową grę Pong jedynie za pomocą myśli. Zmarło 15 spośród 24 osobników. „Jest to tysięczny przykład przeważającej w biomedycynie obojętności, amoralności i nonszalanckiej postawy wobec bezbronnych ofiar eksperymentów. Pod pozorem poszukiwania terapii dla ludzi przez ostatnie 50 lat eksperymentatorzy zamęczyli na próżno setki milionów zwierząt, ponieważ większość badań biomedycznych prowadzona była jawnie bez sensu lub wadliwie. Czy wręcz nonszalancko – bo przecież »myszy nas nie pozwą«, jak zażartował jeden z byłych dyrektorów amerykańskich Narodowych Instytutów Zdrowia".

Tak kategorycznie negatywna ocena wykorzystywania zwierząt w eksperymentach sprowokowała grupę naukowców do sprzeciwu. „Gładki przeskok myślowy Autora z amerykańskich do europejskich, a szczególnie polskich warunków i ładunek emocjonalny wypowiedzi wymagają naszej reakcji" – napisali w liście otwartym prof. Romuald Zabielski, ówczesny wiceprezes PAN, i pozostali sygnatariusze. Podkreślili m.in., że nie tylko sposób prowadzenia badań zmienił się w ostatnich trzech dekadach „na korzyść dla zwierząt", lecz także pojawiły się metody alternatywne polegające na tworzeniu tzw. organoidów umożliwiających odtwarzanie bardziej złożonych funkcji organizmów. Takie modele są jednak wciąż zbyt proste, żeby można było całkowicie wyeliminować badania na zwierzętach. „Jest to czynnik obiektywny, a nie brak dobrej woli naukowców, jak insynuuje prof. Elżanowski ".

Ten nie był zresztą całkowicie przeciwny eksperymentom medycznym z wykorzystaniem zwierząt. Choć w rozmowie z „Krytyką Polityczną" w 2014 r. podkreślał, że nie można akceptować obecnego stanu, to jednak powiedział, że akceptowalne byłyby dla niego badania „niskoinwazyjne, ale pod warunkiem co najmniej sprawowania równie ścisłego nadzoru jak w przypadku testów na ludziach". W przypadku eksperymentów o wyższym stopniu inwazyjności „górną granicą dopuszczalności powinno być umiarkowane cierpienie, które jest ▶

eprasa.pl ef163c68fb

▶ jeszcze mierzalne i daje się skompensować przez staranną opiekę i komfort życia". Podkreślał przy tym, że doświadczenia na zwierzętach w większości przypadków i tak są niepotrzebne, a przynajmniej niekonieczne, a do tego nie do końca miarodajne w odniesieniu do ludzi.

Bez żadnego „ale" prof. Elżanowski piętnował myśliwych. Dzielił ich na dwie grupy: prostaków i biofili. Pierwszych satysfakcjonuje po prostu zabijanie. Biofile są już bardziej wyrafinowani. To – jak mówił w wywiadzie dla POLITYKI – „romantyczni gwałciciele, którzy dla przyjemności z gwałtu na łonie natury muszą zachowywać pewne obrzędy i przestrzegać pewnych reguł". Co prawda biofilom zależy nie tylko na samym zabijaniu, ale też na zachowaniu przyrody, ale to w żaden sposób nie czyni ich moralnymi.

„Przyjemność z zabijania i znęcania się jest, podobnie jak seks, naszym dziedzictwem ewolucyjnym, które wymaga samokontroli. Takim dziedzictwem jest również biofilia, która kojarzy się pozytywnie jako motywacja do postaw prośrodowiskowych, ale okazuje się etycznie ambiwalentna, ponieważ ochrona czy wręcz kult gatunków i ekosystemów często prowadzi do bezwzględnego traktowania indywidualnych podmiotów, zwłaszcza tych należących do gatunków uznanych za niepożądane" – pisał w tekście opatrzonym nieco barokowym tytułem „Erotyczne pożądanie posiadania i kombinacja seksualnego podniecenia z przemocą. Co łączy myśliwego z gwałcicielem?" opublikowanym w „Gazecie Wyborczej" w 2019 r., który myśliwych doprowadził do białej gorączki.

Obrońca obcych gatunków

I tutaj docieramy do najbardziej kontrowersyjnego elementu jego poglądów – sceptycyzmu wobec współczesnej ochrony przyrody, a w szczególności krytyki inwazyjności gatunków. Tym tematom poświęcił obszerny, momentami mocno publicystyczny tekst „Prześladowanie zwierzęcych imigrantów" opublikowany w „Zoophilologica. Polish Journal of Animal Studies" w 2023 r.

„Przeważająca większość ekologów (...) bezrefleksyjnie wyznaje i stosuje nieokreśloną mieszankę ekocentryzmu z oczywistym (przynajmniej pragmatycznie) antropocentryzmem. Zwykle bez skrupułów decydują, które zwierzęta są pożądane i powinny żyć, a które okazują się niepożądane i powinny być wybite" – napisał. Dodał, że dla ekologów – też zwanych „biofilami" – liczy się tylko częstość występowania danego gatunku (ponieważ określa prawdopodobieństwo wymarcia) oraz jego pochodzenie geograficzne. „Na ochronę zasługują tylko jednostki z gatunków rzadkich i rodzimych. Życie i cierpienie jednostkowych podmiotów gatunków licznych oraz/lub obcych nie liczy się! Zwierzęta z gatunków obcych powinny być eksterminowane" – napisał z wyraźną zgrozą. A ponieważ „małpy, koty, kozy są tak samo traktowane jak rośliny czy grzyby", to za Tomem Reganem, jednym z czołowych teoretyków praw zwierząt, nazwał taką postawę „faszyzmem środowiskowym". Albo, za Stephenem Trudgillem, „ekologicznym faszyzmem" – ze względu na rzekome uznawanie „tego, co rodzime, za dobre, a tego, co obce, za złe".

„Tępienie zawleczonych przez ludzi organizmów staje się formą ekspiacji za wszechdewastującą inwazję własnego gatunku. Nieco upraszczając, sprowadza się to wyładowywania bezsilnego gniewu biofilów na wprowadzonych przez ludzi zwierzętach, które traktowane są jako kozły ofiarne" – pisał ostro.

Każdy, kto nieco orientuje się we współczesnej ochronie przyrody, ten łatwo rozpozna w takim portrecie ekologii karykaturę, i to szkicowaną grubą kreską uproszczeń. W polskiej faunie i florze mamy gatunki obce, których eksterminacji nikt się nie domaga, np. bażanty czy muflony. Stąd kreślona przez wielu zwolenników praw zwierząt wizja, w której ekologia jest pewną postacią ksenofobii, a niechęć do gatunków obcych jest rzekomo analogiczna do wrogości względem ludzkich imigrantów, jest nietrafiona. Ponadto w niektórych nurtach ochrony przyrody, np. w rewildingu, gatunki obce mogą mieć udział w renaturyzacji krajobrazu, jak azjatyckie bydło domowe wykorzystane do zgryzania trzcinowisk.

W rzeczywistości z ekologicznego punktu widzenia problematyczna jest nie sama obcość, lecz inwazyjność. Czyli sytuacja, w której jakiś gatunek spoza danego ekosystemu zostaje doń wprowadzony przez człowieka, a tam funkcjonuje w sposób niszczycielski. Weźmy myszy domowe na Wyspie Mariona na Oceanie Indyjskim, zawleczone tam przez żeglarzy. Zjadają pisklęta albatrosów – dosłownie żywcem. Ptaki nie potrafią się przed nimi bronić, a z szacunków wynika, że brak działania będzie oznaczać tam koniec albatrosów (i 18 innych spośród 28 gatunków, które tam gniazdują). Dlatego w 2023 r. zdecydowano się na wybicie wszystkich gryzoni.

W jednym prof. Elżanowski miał rację – perspektywa prawnozwierzęca i ekologiczna inaczej wartościują życie. Dla zwolenników praw zwierząt zawsze najważniejsza będzie jednostka, konkretne zdolne do odczuwania zwierzę, bo to ono jest podmiotem praw. Konserwacjoniści są zaś zainteresowani ochroną całych gatunków i zamieszkiwanych przez nie ekosystemów. I aby one przetrwały, czasami trzeba poświęcić jednostki (jak na Wyspie Mariona) – niezależnie od tego, czy są zwierzętami, roślinami czy grzybami. Konflikt między jedną a drugą perspektywą jest w zasadzie nierozwiązywalny, nawet jeśli okazjonalnie zdarzają się sojusze między środowiskami ekologów i zwolenników praw zwierząt (jak przy okazji protestów przeciw depopulacji dzików w 2019 r. w Polsce).

Biopolityka i etyka

Prof. Elżanowski w spory o inwazyjne gatunki obce wchodził również na polskim gruncie. Protestował, kiedy Instytut Ochrony Przyrody PAN zakwalifikował kota domowego jako inwazyjny gatunek obcy. W jednym z tekstów do „Gazety Wyborczej" napisał: „Taki konserwacjonizm nie jest nawet paranauką. Jest pomylonym doktrynerstwem, skondensowanym produktem monopolu etycznych analfabetów na »ochronę przyrody« i kształtowanie biopolityki wobec zwierząt".

„Jesteśmy gotowi do krytycznego odniesienia się do każdego z argumentów podniesionych przez Prof. Elżanowskiego, jednak wyłącznie w ramach dyskusji o charakterze merytorycznym" – oświadczył wtedy Instytut Ochrony Przyrody PAN w liście do redakcji.

Niezależnie jednak od tego, jak oceniać ten czy inne poglądy prof. Elżanowskiego, jedno pozostaje jasne i prawdziwe – swoim radykalizmem prowokował do myślenia. Korzystali na tym również ci, którzy z nim się nie zgadzali. Musieli mierzyć się z jego zarzutami i szlifować własne argumenty dotyczące wykorzystywania zwierząt w eksperymentach, ochrony przyrody czy gatunków inwazyjnych. I dlatego tak bardzo będzie go brakowało.

ROBERT JURSZO

eprasa.pl ef163c68fb

Na każdy temat z każdej strony

Poranek TOK FM

Tomasz Sekielski



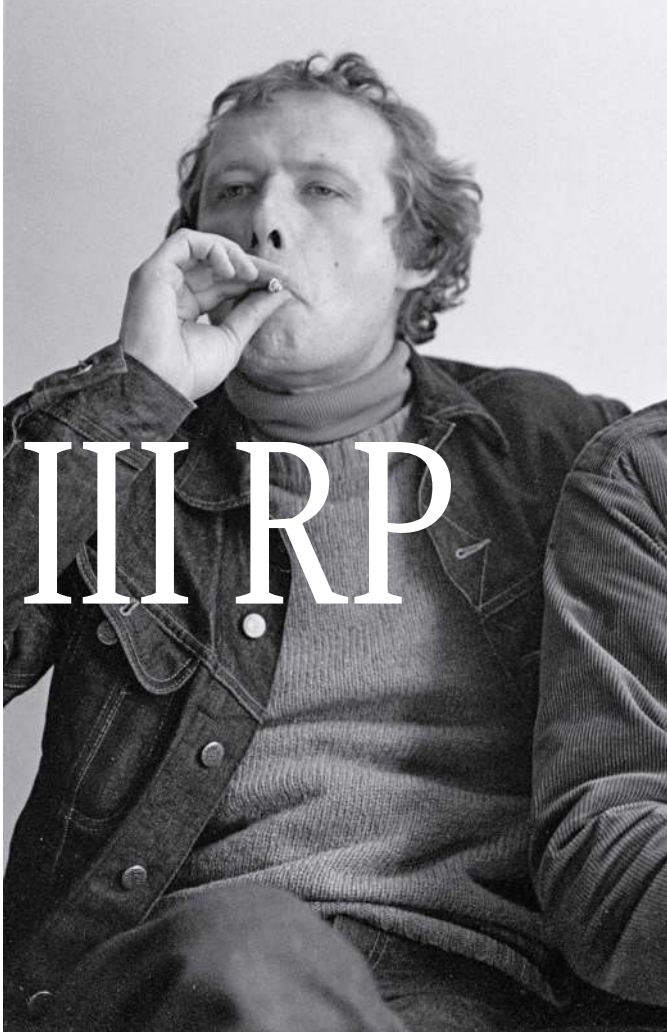
tokfm

Ściągnij app i słuchaj.

eprasa.pl ef163c68fb

KOR tworzył zalążki prawdziwego społeczeństwa obywatelskiego, ale czy jego idee przetrwają w XXI w.? O Komitecie Obrony Robotników w 50. rocznicę jego powstania opowiada prof. Andrzej Friszke.

KORzenie III RP



© TOMASZ MICHALAK/FOTONOVA

TOMASZ TARGAŃSKI: **– Jest rok 1976. Edward Gierek rządzi w Polsce od sześciu lat. W Związku Radzieckim trwa długa epoka Leonida Breżniewa. Blok wschodni wydaje się monolitem, a Stany Zjednoczone i ZSRR prowadzą względem siebie politykę odprężenia. Czy w całej Europie Wschodniej jest cokolwiek, co przypomina zorganizowaną opozycję?**

ANDRZEJ FRISZKE: – Nie. W ZSRR działały niewielkie grupy inteligencji upominające się o prawa człowieka i praworządność. Ludzie ci, jak Aleksander Sołżenicyn, byli poddawani brutalnej presji, aresztowaniom czy deportacjom. W Polsce istniały wąskie, rozproszone środowiska towarzysko-intelektualne nieakceptujące ustroju, mniej lub bardziej jawnie kontestujące system i funkcjonujące na jego marginesie.

Latem 1975 r. w Helsinkach rządy państw bloku wschodniego podpisały Akt końcowy Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, w którym zobowiązały się respektować prawa człowieka. Czy to wydarzenie miało wpływ na powstanie KOR?

Na pewno, ale niebezpośredni. Helsinki zauważono, lecz dominował sceptycyzm, że to kolejna deklaracja bez pokrycia – zwłaszcza że ratyfikowanych międzynarodowych paktów praw człowieka w Polsce nawet nie opublikowano. Porozumienie z Helsinek nabrało znaczenia później, gdy prezydent Jimmy Carter ogłosił program obrony praw człowieka. Dużo bardziej istotnym bodźcem dla środowiska okazała się zapowiedź zmian w Konstytucji PRL z jesieni 1975 r., w tym zapis o kierowniczej roli PZPR w państwie. Informacja o tym zamiarze podziałała mobilizująco. W grudniu 1975 r. pojawił się List 59 podpisany przez czołowych intelektualistów oraz wielu późniejszych twórców KOR. Jego autorzy wyłożyli w nim wolę dążenia do społeczeństwa obywatelskiego, wolności sumienia, słowa i informacji, praworządności oraz wolności badań naukowych. List stanowił zatem przejście do zakwestionowania reguł monopartyjnego ustroju. Był też aktem odwagi – ujawnieniem się pod imieniem i nazwiskiem osób nieakceptujących natury ówczesnego reżimu.

Nie byłoby KOR bez robotniczych protestów w Ursusie i Radomiu z czerwca 1976 r. Jakie było ich podłoże?

Czysto ekonomiczne. Już w roku 1975 kierownictwo partii wiedziało, że koncepcja modernizacji przemysłu i podnoszenia poziomu życia obywateli za zagraniczne pożyczki poniosła porażkę. Kontynuowanie wielkich inwestycji wymuszało zaciąganie dalszych długów, co doprowadziło do pierwszej fazy kryzysu gospodarczego. W konsekwencji rząd ogłosił drastyczną podwyżkę cen żywności – nawet o 50 proc. Wywołało to szok społeczny potęgowany faktem, że Edward Gierek w 1971 r. złożył deklarację, iż podwyżek nie będzie. Strajki z 25 czerwca w Radomiu i Ursusie stłumiono brutalnie, ale bez strzelania do tłumu. Kolejna fala bezprawia nastąpiła po nich. Robotników bito na milicyjnych komendach podczas tzw. ścieżek zdrowia, skazywano masowo przed kolegiami do spraw wykroczeń oraz ferowano surowe wyroki sądowe bez dowodów indywidualnej winy.

Właśnie wtedy w lipcu i sierpniu 1976 r. na korytarzach warszawskich sądów, gdzie toczyły się procesy robotników z Radomia i Ursusa, spotykali się ludzie, którzy byli zaczynem KOR. Jak do tego doszło?

Wszystko zaczęło się od odruchu solidarności z pokrzywdzonymi. Pod salami sądowymi, bo do środka ich nie wpuszczano, pojawili się ludzie z warszawskiego kręgu opozycji. Nawiązywali oni bezpośredni kontakt z rodzinami uwięzionych, organizowali pomoc prawną i zbiórkę pieniędzy na rzecz pozbawionych środków do życia. Niezwykły był fakt, że stopniowo akcja ta skupiała ludzi z kilku środowisk i pokoleń.

Jak bardzo odmiennych?

KOR połączył dawnych uczestników Klubu Krzywego Koła z Janem Józefem Lipskim, środowisko „komandosów" z Jackiem Kuroniem na czele oraz harcerzy z warszawskiej Czarnej Jedynki przy liceum Rejtana, gdzie prym wiedli Antoni Macierewicz i Piotr Naimski. Była też młodzież z Sekcji Kultury warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej z Henrykiem Wujcem.

eprasa.pl ef163c68fb





Od lewej: **Adam Michnik i Jacek Kuroń, wrzesień 1980 r. Głodówka członków KOR w warszawskim kościele św. Krzyża,** z przodu od lewej: **Antoni Macierewicz, Adam Michnik, ksiądz Stanisław Małkowski, Jacek Kuroń, Kazimierz Wóycicki,** z tyłu siedzą: **Konrad Bieliński, Mariusz Wilk, Kazimierz Janusz, październik 1979 r.**



Prof. **Andrzej Friszke** – historyk z Instytutu Studiów Politycznych PAN. Autor wielu książek dotyczących opozycji politycznej w PRL, w tym m.in. „Czas KOR-u. Jacek Kuroń a geneza Solidarności".

Młodzi działali jako anonimowi wysłannicy docierający z zebranymi zasiłkami do rodzin w Ursusie i Radomiu. Kluczową rolę w powstaniu Komitetu odegrało starsze pokolenie. Byli to często ludzie, którzy polityczne doświadczenie zbierali jeszcze w II Rzeczpospolitej. Wyróżniali się działacze dawnej PPS, represjonowani w okresie stalinowskim – Ludwik Cohn i Antoni Pajdak, obrończyni akowców i innych sądzonych za czyny polityczne – Aniela Steinsbergowa, prof. Edward Lipiński, a też prof. Adam Szczypiorski. Wśród założycieli KOR byli ks. Jan Zieja – wojenny kapelan Szarych Szeregów, Józef Rybicki – dawny dowódca Kedywu AK w Warszawie, oraz postacie ze świata kultury: Jerzy Andrzejewski czy Halina Mikołajska. Zaangażowanie tych osób dało młodym parasol ochronny, legitymizację i doradztwo ludzi doświadczonych.

Skąd członkowie KOR czerpali swoje wzorce prawne i organizacyjne? Jedną z podstawowych zasad działalności komitetu była przecież jawność. Ale w jaki sposób działać jawnie bez narażania się na zarzut tworzenia nielegalnej organizacji?

Tutaj wykazali się starsi członkowie Komitetu, przedwojenni prawnicy, którzy mogli odwołać się do zapisów prawnych z czasów II Rzeczpospolitej, które zezwalały na funkcjonowanie powoływanych ad hoc komitetów w sytuacji wyższej konieczności, np. podczas powodzi. Te przepisy nigdy nie zostały w PRL uchylone. Gdyby zatem władze postawiły członkom zarzut udziału w nielegalnej organizacji, można się było w ten sposób bronić. Poza tym ludzie KOR świadomie unikali wszystkiego, co kojarzyłoby się z formalną organizacją. Komitet nie miał więc zorganizowanej struktury, prezesa ani rzecznika.

Paradoks polegał na tym, że Komitet starał się nie wyglądać na komitet, ale jednocześnie ludzie, którzy go tworzyli, mieli świadomość, że etap rozproszonych grup dysydenckich się skończył i pora stworzyć organizację.

I tak się stało. KOR szybko stał się sprawną strukturą posiadającą członków i współpracowników. Bez tego centrum, jakim był Komitet, zmobilizowana energia uległaby rozproszeniu. Ważnym puntem w tej historii było lato 1977 r., kiedy władze zdecydowały się wypuścić z więzień ostatnich uczestników protestów w Ursusie i Radomiu oraz uwięzionych wcześniej członków i współpracowników KOR. Komuniści liczyli, że kiedy nie będzie już kogo bronić przed represjami, Komitet się rozwiąże. Zamiast tego we wrześniu 1977 r. KOR przemianował się na Komitet Samoobrony Społecznej KOR, stawiając za cel walkę z represjami z powodów politycznych, z łamaniem praworządności, obronę „wszelkich inicjatyw społecznych zmierzających do realizacji praw człowieka i obywatela". Wokół Komitetu rozwinął się niezależny ruch wydawniczy publikacji poza cenzurą, powielanych i rozpowszechnianych z rąk do rąk. Mam na myśli przede wszystkim Biuletyn Informacyjny KSS KOR, pisma takie jak „Głos", „Zapis", „Puls", „Krytyka", „Robotnik" czy wydawnictwo NOWA Mirosława Chojeckiego. To przedłużenie działalności KOR, wyjście poza granice organizacji powołanej ad hoc w celu doraźnej pomocy, było krokiem na drodze do stworzenia politycznej opozycji. KOR stworzył matrycę aktywności opozycyjnej – jawność działania pod nazwiskiem, walka bez przemocy, przez organizowanie nacisku współdziałających obywateli, rozpowszechnianie poglądów i postulatów w niecenzurowanych wydawnictwach trafiających do różnych środowisk.

Mimo że KSS KOR nie wysuwał celów politycznych?

W warunkach monopartyjnej dyktatury każda działalność publiczna była polityczna. KOR nie stawiał sobie za cel walki o władzę, obalania systemu, ale dążył do powstania grup obywateli działających dla obrony swych praw, realizowania wolności słowa, w sumie na rzecz samorządności. Misją członków ruchu było przywracanie obywatelom fundamentalnej podmiotowości, walka z cenzurą, budowanie podstaw demokratycznego społeczeństwa, zgodnie z ideami zawartymi we wspomnianym Liście 59. A głównym orędownikiem tworzenia niezależnych od władzy ośrodków aktywności społecznej i samoobrony jako drogi do przemian w Polsce był Jacek Kuroń. Pisał o tym wprost w drukowanych poza cenzurą tekstach, zwłaszcza w „Myślach o programie działania". Podobnie Adam Michnik w licznych tekstach. ▶

eprasa.pl ef163c68fb

▶ Co odróżniało KOR od komitetów helsińskich powstających w innych krajach bloku wschodniego?

Była nim właśnie ambicja tworzenia jakby paralelnego społeczeństwa obywatelskiego. Podczas gdy dysydenci w Związku Radzieckim i innych krajach bloku wschodniego zatrzymywali się na poziomie oporu moralnego, dokumentowania i nagłaśniania represji, ludzie KOR poszli o krok dalej. Różnice na poziomie horyzontu myślowego widać było podczas słynnego spotkania Jacka Kuronia, Adama Michnika i Jana Lityńskiego z przedstawicielami czechosłowackiej Karty 77 w Karkonoszach latem 1978 r. Inna sprawa, że ekipa Gierka była dużo bardziej liberalna i niechętna represjom niż czechosłowacki reżim Gustáva Husáka. Przypomnijmy, że gdy Czesi spróbowali utworzyć komitet obrony niesłusznie prześladowanych, trochę na wzór KOR, władze odpowiedziały natychmiastowymi aresztowaniami, wysyłając Václava Havla na kilka lat do więzienia.

Najważniejszym osiągnięciem i wyróżnikiem KOR na tle bloku wschodniego było to, że zdołał dotrzeć do środowisk robotniczych. Ludzie KOR włożyli naprawdę dużo pracy w to, aby przebić się do zakładów pracy, tworzyć tam grupy, które były zalążkiem niezależnych związków zawodowych. Na łamach pisma „Robotnik" ukazywały się teksty o tym, dlaczego potrzebna jest niezależna od partii reprezentacja pracowników, jak prowadzić bezprzemocowy strajk, aby nie sprowokować władz do represji. Wykonano ogromną pracę u podstaw w celu przygotowywania ludzi do walki o swoje prawa. Wszystko to oczywiście działo się na niewielką skalę – należy wymienić przede wszystkim Bogdana Borusewicza w Gdańsku czy komitet Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża – ale ziarno zostało zasiane i dało efekt w sierpniu 1980 r.

Dlaczego ekipa Gierka po prostu nie aresztowała ludzi KOR, tak jak zrobił to Husák w Czechosłowacji?

Początkowo władze miały taki zamiar. W październiku 1976 r. SB planowała rewizje i aresztowania, lecz Gierek się z tego pomysłu wycofał. Kwestia procesu wróciła w maju 1977 r. po śmierci Stanisława Pyjasa, kiedy aresztowano Kuronia, Michnika i Lipskiego oraz ośmiu innych czołowych działaczy KOR. Ale partia była wewnętrznie podzielona. Bano się reakcji Zachodu, utraty zachodnich kredytów oraz zniszczenia relacji z Kościołem przed wizytą Gierka u papieża Pawła VI pod koniec 1977 r. W grę wchodziły też osobiste ambicje Gierka, któremu zależało, aby na scenie międzynarodowej prezentować się jako odpowiedzialny partner reprezentujący państwo prawa, a nie brutalny reżim. Ostatecznie władze uznały, że zamiast twardych represji lepiej będzie przeciwnika zmęczyć ciągłym administracyjnym i policyjnym nękaniem. Komuniści w gruncie rzeczy zlekceważyli KOR, uznając, że to nieznacząca grupa, która nie może wpłynąć na bieg spraw w Polsce.

Czy bez KOR nie byłoby Solidarności?

Wybuch społecznego niezadowolenia latem 1980 r. nastąpiłby i tak z powodu zapaści gospodarczej. Jednak bez paroletniego oddziaływania KOR protest mógłby spalić się w gwałtownych, chaotycznych zamieszkach. Dzięki Komitetowi robotnicy mieli gotową strategię: strajk okupacyjny w zakładzie, wybór komitetu strajkowego, konkretne żądania i negocjacje. Hasło utworzenia wolnych związków zawodowych niezależnych od partii, w których ludzie sami wybierają przedstawicieli, też wywodziło się z KOR. Stworzono więc reguły postępowania dla późniejszej masowej opozycji. Komitet odegrał też rolę ideowego zaplecza, które wypracowało wizję tworzenia społeczeństwa obywatelskiego poza ramami systemu monopartyjnego.

Jak wygląda dziedzictwo KOR z perspektywy 50 lat?

Jego dziejowym sukcesem było powstanie III Rzeczpospolitej, która realizowała korowskie idee wolnego, demokratycznego państwa prawa. Fakt, że osiągnięto to bez przemocy, bez rewolucji, bez prześladowań przeciwników politycznych, również był realizacją jego haseł. Powiedziałbym, że jak na organizację, która na początku skupiała kilku ideowców bez pieniędzy, planu i przygotowania, jest to osiągnięcie bez precedensu.

Pomówmy o życiu po życiu KOR. W jakich sferach po 1989 r. jego postulaty przetrwały, a które poniosły porażkę?

Ludzie KOR zaangażowali się w tworzenie zrębów szeroko pojętego społeczeństwa obywatelskiego. Współtworzyli wolną prasę z „Gazetą Wyborczą" na czele, powoływali fundacje praw człowieka i inicjatywy wspierające aktywność obywatelską, jak Fundacja Batorego. Dzisiejsze społeczeństwo dysponuje zatem wieloma instytucjami, które KOR postulował: Rzecznikiem Praw Obywatelskich, wolną prasą, stowarzyszeniami, niezależnym sądownictwem. Korowskie ideały przetrwały w ruchach prospołecznych i da się je tam wyśledzić, np. w obronie praw mieszkańców przed bezprawiem i wyrzucaniem z mieszkań, w bezinteresownej pomocy uchodźcom z Ukrainy czy w akcjach ruchów ekologicznych.

Instytucjonalnie KOR odniósł sukces, ale aktywność społeczna wciąż jest w Polsce niska, a protesty często organizują się wokół doraźnych interesów grupowych, np. górników czy rolników. Czy to nie jest porażka idei KOR?

Niewątpliwie. Jacek Kuroń do końca życia mówił o potrzebie ruchów społecznych nakierowanych nie na obronę wąskich interesów, ale zmierzających do budowania samorządności i wywierania nacisku na klasę polityczną. Jego marzeniem była Rzeczpospolita ruchów obywatelskich, w razie potrzeby korygujących rozwiązania systemowe czy decyzje władz. Niestety ta koncepcja w starciu z logiką polityki, mass mediami i wolnym rynkiem stała na straconej pozycji.

Hasła KOR były uniwersalne jak Deklaracja praw człowieka i obywatela z czasów rewolucji francuskiej. Dziś nie ma dyktatury jednej partii, ale są inne zagrożenia. Demokracja liberalna jest w kryzysie, mamy wzrost populizmu i kryzys dezinformacji. Czy widzi pan szansę na „KOR XXI w.", który mógłby stawić im czoło?

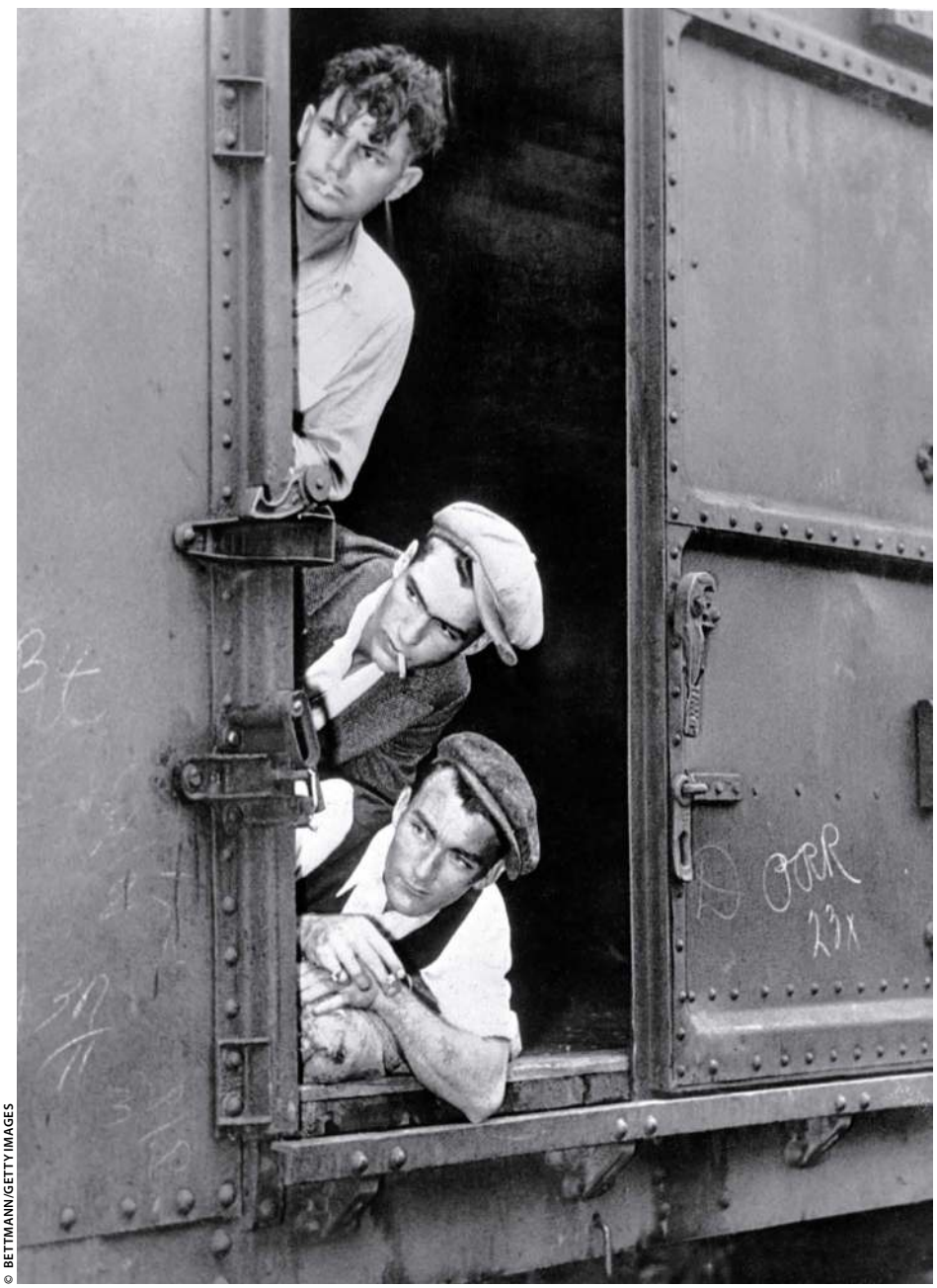
Współczesne zagrożenia mają nowy charakter i trudno z nimi walczyć starymi koncepcjami. Media społecznościowe manipulują dyskursem i wygenerowały kulturę hejtu, podczas gdy KOR kierował się wysoką kulturą polityczną oraz dbaniem o język sporu – unikał brutalnych oskarżeń nawet wobec władz komunistycznych. Dzisiejsza walka polityczna nastawiona jest na moralne zniszczenie przeciwnika, co przeczy idei Komitetu, który dążył do przeciągania oponentów na stronę praw człowieka i zakładał konieczność współistnienia. Ponadto KOR był ruchem elitarnym, gdzie inteligenci proponowali pewien kierunek, a społeczeństwo stopniowo szło za nimi. Dziś mamy do czynienia z masowym atakiem na elity i autorytety, a pogłębioną refleksję zastępuje się prostymi hasłami. Zmienił się cały ekosystem. Czy oznacza to, że piękne i uniwersalne hasła KOR również się zdezaktualizowały? Boję się stawiać to pytanie, bo ono prowadzi do kolejnych: jaką przyszłość buduje nam gwałtowność sporu, brak refleksji, przyzwolenie na manipulacje i kłamstwa, lekceważenie autorytetów na rzecz wyobrażonej „woli ludu".

ROZMAWIAŁ TOMASZ TARGAŃSKI

eprasa.pl ef163c68fb

Hobo na kolejowym szlaku

Setki tysięcy włóczęgów przemierzało Amerykę towarowymi pociągami. Wśród nich słynny polski pięściarz. Tworzyli osiedla dżungle, mieli własną subkulturę i kodeks.



© BETTMANN/GETTY IMAGES

Trzech „rycerzy wagonów towarowych", którzy przybyli do Cincinnati w Ohio na zlot włóczęgów (National Hobo Convention) w sierpniu 1934 r. Od góry: **Montana Kid, L.&N. Slim oraz Kentucky Kid, jak podpisał ich autor tego kultowego zdjęcia Otto Bettmann.**

PIOTR KORCZYŃSKI

„Wsiąść do pociągu byle jakiego, nie dbać o bagaż, nie dbać o bilet. Ściskając w ręku kamyk zielony..." – śpiewa Maryla Rodowicz. Był czas, że na gapę jeździły tysiące ludzi. W ręku ściskali nie kamyk na szczęście, tylko coś, co nadawało się do obrony albo ataku.

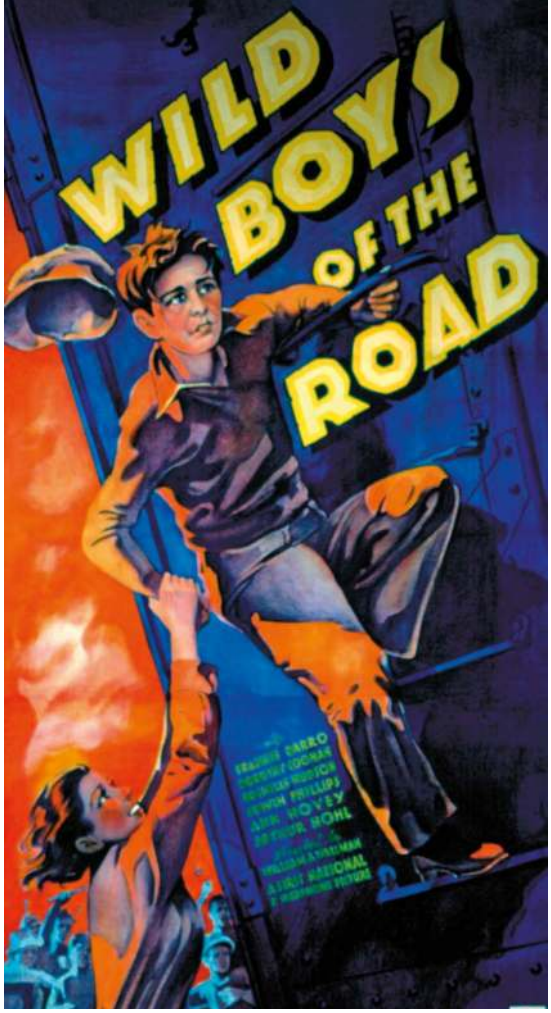
Wyobraźmy sobie taką scenę: lata wielkiego kryzysu w Stanach Zjednoczonych, rok 1932, bocznica kolejowa w jakimś mieście. Trzymajmy się repertuaru Maryli Rodowicz – niech to będzie Syracuse z „Ballady wagonowej" napisanej przez Agnieszkę Osiecką. Na bocznicę w kłębach pary wtacza się pordzewiała lokomotywa pamiętająca czasy prosperity po pierwszej wojnie światowej, a za nią ciągną się wagony towarowe: kryte, przeznaczone do przewozu bydła i koni oraz odsłonięte platformy z materiałami budowlanymi i żelastwem. Z wagonów zaczynają wyskakiwać ludzie: dwóch, pięciu, dziesięciu..., trzydziestu... Robotnicy kolejowi oczekujący tego składu, by go rozładować, od razu poznają, kim są pasażerowie, którym niestraszna podróż w siermiężnych warunkach – to hobo.

Armia włóczęgów

Hobo znaczy włóczęga, ale hobo przemierzający Stany Zjednoczone w pociągach towarowych nie byli zwyczajnymi włóczęgami – niebieskimi ptakami wędrującymi bez celu lub gnanymi przez zew przygody. Choć i tacy się między nimi zdarzali. Prawdziwy hobo ryzykował skok do towarowego pociągu, by dojechać do miejscowości, w której miał szansę znaleźć pracę lub przynajmniej porządnie się najeść w jadłodajni prowadzonej przez organizację charytatywną lub jeden z kościołów. Hobo pojawili się wraz z podbojem amerykańskich prerii przez „żelaznego konia", czyli od końca lat 60. XIX w., kiedy pierwsza linia transkontynentalna połączyła Wschodnie Wybrzeże z Kalifornią i wybrzeżem Pacyfiku.

W latach wielkiego kryzysu 1929–33 wyrośli na prawdziwą armię. ▶

eprasa.pl ef163c68fb



Plakat propagandowego filmu o hobo z 1933 r.

▶ Historycy różnie szacują ich liczbę, niektórzy mówią nawet o dwóch milionach ludzi, których w dobie wielkiego kryzysu bezrobocie i głód wygnały na szlak w poszukiwaniu lepszych perspektyw w innych częściach USA. Każdego roku w wyniku wypadków czy działań stróżów prawa ponosiło śmierć na szlaku kilka tysięcy hobo (tylko w 1933 r. – ostatnim roku wielkiego kryzysu – miało ich zginąć ponad 6 tys.). Od razu zastępowali ich nowi, liczący na odmianę losu.

Środkiem transportu były dla nich pociągi towarowe kursujące po całym kraju. Podróż nimi była niebezpieczna i nielegalna. Ryzykowali przeważnie młodzi mężczyźni, nierzadko jeszcze dzieci u progu dorosłości. Często robili to za wiedzą i zgodą rodziców, którzy nie mieli środków, by zapewnić im start w życiu. Niestety przeważnie podróż hobo nie kończyła się spełnieniem marzeń, lecz lądowaniem pośród rzeszy podobnych im bezrobotnych i żebraków, których szeryfowie przepędzali z miasta albo pod byle pretekstem wsadzali do aresztów. W pobliżu szlaków kolejowych powstawały wielkie obozowiska nazywane dżunglami. Szerzyły się w nich pijaństwo, narkomania, prostytucja, dochodziło do rozbojów i zabójstw. Plaga nastoletnich hobo w latach 30. ubiegłego wieku stała się tak paląca, że do walki z nią rząd zaprzągł nawet Hollywood. Wytwórni Warner Bros zlecono realizację filmu interwencyjnego, który miał ostrzegać młodzież przed konsekwencjami wejścia na szlak.

Trampowie w starciu z bykami

Mowa o „Wild Boys of the Road" w reżyserii Williama A. Wellmana w 1933 r. Film opowiada perypetie trójki hobo – dwóch chłopaków i dziewczyny przebranej za chłopaka, którzy podróżują na gapę towarówką na wschód Stanów Zjednoczonych w nadziei na lepsze życie w tamtejszych metropoliach. Wellman nie szczędzi widzom dramatycznych obrazów z tej włóczęgi: m.in. jeden z bohaterów wpada pod pociąg i traci nogę. Film kończy się jednak happy endem – młodociani trampowie po aresztowaniu stają przed sądem, a ten ich uniewinnia. To zakończenie współgra z deklaracjami prezydenta Franklina Delano Roosevelta o ulżeniu doli znękanego kryzysem społeczeństwa. Premiera w 1933 r. zbiegła się z wprowadzeniem przez Roosevelta reform społeczno-gospodarczych, które przeszły do historii jako Nowy Ład.

Rzeczywistość była bardziej skomplikowana – armia hobo po ogłoszeniu Nowego Ładu nie zmniejszyła się radykalnie i nie od razu zniknęły dżungle wzdłuż kolejowych linii. Na hobo czyhało jeszcze zagrożenie, często śmiertelne. Byli nim strażnicy kolejowi zwani bykami, rekrutowani przez szefów firm przewozowych do ochrony składów kolejowych i do walki z jeżdżącymi w nich na gapę włóczęgami. Nie przebierali oni w środkach, a śmiertelne pobicia nie należały do rzadkości.

O takim starciu opowiada inny hollywoodzki film „Władca północy" Roberta Aldricha z 1973 r. Jego kanwą jest pojedynek hobo zwanego Numerem Jeden z bykiem Shackiem. Ten ostatni został przedstawiony jako psychopata. Podobnych mu było w rzeczywistości wielu. Altruiści ryzykowali utratę pracy, wilczy bilet i to, że sami zostaną hobo.

O strażniku, który okazał człowieczeństwo, opowiedział Clarence Lee – Afroamerykanin z Luizjany. Za młodu doświadczył losu czarnoskórego hobo, a to oznaczało jeszcze większe kłopoty niż w przypadku białych włóczęgów. Lee opuścił Luizjanę w 1929 r. jako 16-latek, ponieważ w domu brakowało jedzenia. W reportażu historycznym „Riding the Rails" Errola Lincolna Uysa wspominał, że gdy jako gapowicz dojeżdżał do miasteczka, w którym zamierzał zrobić dłuższy przystanek, wyperswadował mu to właśnie strażnik – ostrzegł go, że policja poszukuje czarnoskórego mężczyzny oskarżonego o gwałt na białej kobiecie i lepiej będzie, jeśli wysiądzie wcześniej.

Uratował chłopaka przed linczem lub koszmarem podobnym do głośnego wydarzenia z Scottsboro w Alabamie, kiedy to w marcu 1931 r. po bójce między czarnoskórymi a białymi nastoletnimi hobo o miejsce w pociągu ci pierwsi zostali oskarżeni o gwałt na podróżujących tym samym składem dwóch gapowiczkach – Ruby Bates i Victorii Price. Mimo że szybko okazało się, iż sprawa jest wątpliwa, ośmiu chłopców: Olen Montgomery, Clarence Norris, Haywood Patterson, Ozie Powell, Willie Roberson, Eugene Williams, Charlie Weems i Andy Wright (dziewiąty, brat Andy'ego Wrighta, jako 12-latek uniknął tego wyroku), zostało skazanych na karę śmierci. Tę drakońską karę wprawdzie uchylił Sąd Najwyższy, ale to nie oznaczało końca koszmaru dla pięciu z nich. Norris, Patterson, Powell, Weems i Wright otrzymali kary wieloletniego więzienia. Na werdykt sądu nie wpłynęło to, że tuż przed jego ogłoszeniem Ruby Bates przyznała się do fałszywych zeznań. Ostatecznie sprawa zakończyła się dopiero w 2013 r.! – całkowitym, choć już pośmiertnym, oczyszczeniem z zarzutów.

Ten głośny w Stanach Zjednoczonych dramat sądowy pokazuje z jednej strony, do czego prowadzi rasizm, a z drugiej – nie pozwala na idealizowanie ani romantyzowanie hobo. Antagonizmy między białą i czarną biedotą istniały także na szlaku, a segregacja rasowa czyniła – zwłaszcza na Południu – podróżowanie na gapę pociągami towarowymi dla Afroamerykanów jeszcze bardziej niebezpieczne niż dla białych hobo. To samo dotyczyło

eprasa.pl ef163c68fb

kobiet. Nieprzypadkowo bohaterka wspomnianego „Wild Boys of the Road" podróżowała w męskim przebraniu... Jak podkreślała jedna z weteranek szlaku, Peggy DeHart z Wyoming, dziewczęta stały jeszcze niżej w hierarchii hobo od Afroamerykanów, bo samotnych kobiet niemal nikt w USA nie chciał zatrudniać. W odróżnieniu od mężczyzn nie obejmowały ich sztandarowe socjalne programy Nowego Ładu, takie jak CCC (Korpus Ochrony Cywilnej dla prac interwencyjnych) czy WPA (Administracja Postępu Prac organizująca roboty publiczne dla bezrobotnych).



Stanley Ketchel, pięściarz hobo polskiego pochodzenia

Kod hobo

Strażnicy kolejowi, szeryfowie w małych miasteczkach, degeneraci i bandyci pośród samych hobo i dziesiątki innych niebezpieczeństw na szlaku i w dżunglach – jak się przed tym uchronić? Jak rozeznać, kto wróg, a z kim można spokojnie podróżować lub dostać od niego coś do jedzenia? Do tego służył *hobo code* – system symboli i znaków, który powstał na szlaku już na przełomie XIX i XX w. Hobo, ale też wędrowni robotnicy czy zwykli włóczędzy, rysowali kredą lub węglem na płotach i ścianach znaki, które doświadczonemu wędrowcowi pomagały podjąć decyzję, że może w danym miejscu się zatrzymać albo wręcz przeciwnie – powinien jak najszybciej uciekać. Wystarczyło, że hobo zobaczył narysowaną na ścianie głowę kota i już wiedział, że w tym domu mieszkają życzliwi ludzie, krzyż oznaczał, że w tym miejscu rozdawane jest darmowe jedzenie (najczęściej przez organizacje kościelne), kapelusz z laską – tu znajdziesz dorywczą pracę, a dwa skrzyżowane piszczele lub złamana strzała ostrzegały przed wyjątkowo niebezpiecznym miejscem.

Znaczenie kodu hobo znamy dzięki Frankowi Millerowi zwanemu Pennsylvania Red. 17-letni Miller wyruszył na szlak w 1932 r. po śmierci ojca i przejęciu jego gospodarstwa przez wierzycieli. Był niemal analfabetą i kompletnym żółtodziobem, jednak szybko nauczył się znaków kodu hobo, co niejednokrotnie uratowało mu życie. Przez cztery lata włóczęgi pociągami towarowymi wszystkie zauważone w drodze znaki przerysowywał skrzętnie do zeszytu i tak utrwalił je dla potomności. W 1950 r. Miller został funkcjonariuszem ochrony kolei, a więc następcą osławionych „byków", przed którymi musiał niejednokrotnie uciekać (raz został postrzelony). Podkreślał, że podczas służby nigdy nie aresztował żadnego hobo. Przeciwnie – dzielił się z nimi jedzeniem i mówił do nich na pożegnanie: „Oznaczcie mój płot symbolem kota. Jestem życzliwym człowiekiem".

Polski pięściarz

Ze wspomnień Franka Millera wynika, że hobo zdarzali się i po drugiej wojnie światowej, gdy nierówności społeczne, bieda czy też zwyczajna chęć zaznania przygody nie zniknęły całkiem, a kolej towarowa w czasie powojennej prosperity miała się świetnie. Pośród rzeszy hobo znaleźli się ludzie, którym udało się nie tylko wyrwać z biedy, ale i zdobyć sławę. Losu hobo doświadczył chociażby Jack London, który podczas wielkiej peregrynacji przez Stany Zjednoczone i Kanadę za włóczęgostwo trafił do aresztu i jak napisał: „To doświadczenie zmieniło moje spojrzenie na świat i uczyniło mnie socjalistą". Innym „kolegą po fachu" Londona, który doświadczył losu hobo, był Louis L'Amour, pisarz znany przede wszystkim z westernów, z których wiele było zapisem jego własnych doświadczeń ze szlaku.

W młodości hobo były takie osobistości amerykańskie, jak Haroldson Lafayette Hunt Jr, potentat branży naftowej, założyciel dynastii Huntów (o którym legendy głoszą, że pierwsze pola naftowe wygrał w pokera jako włóczęga właśnie) czy William O. Duglas, prawnik, obrońca przyrody, a od 1939 r. sędzia Sądu Najwyższego.

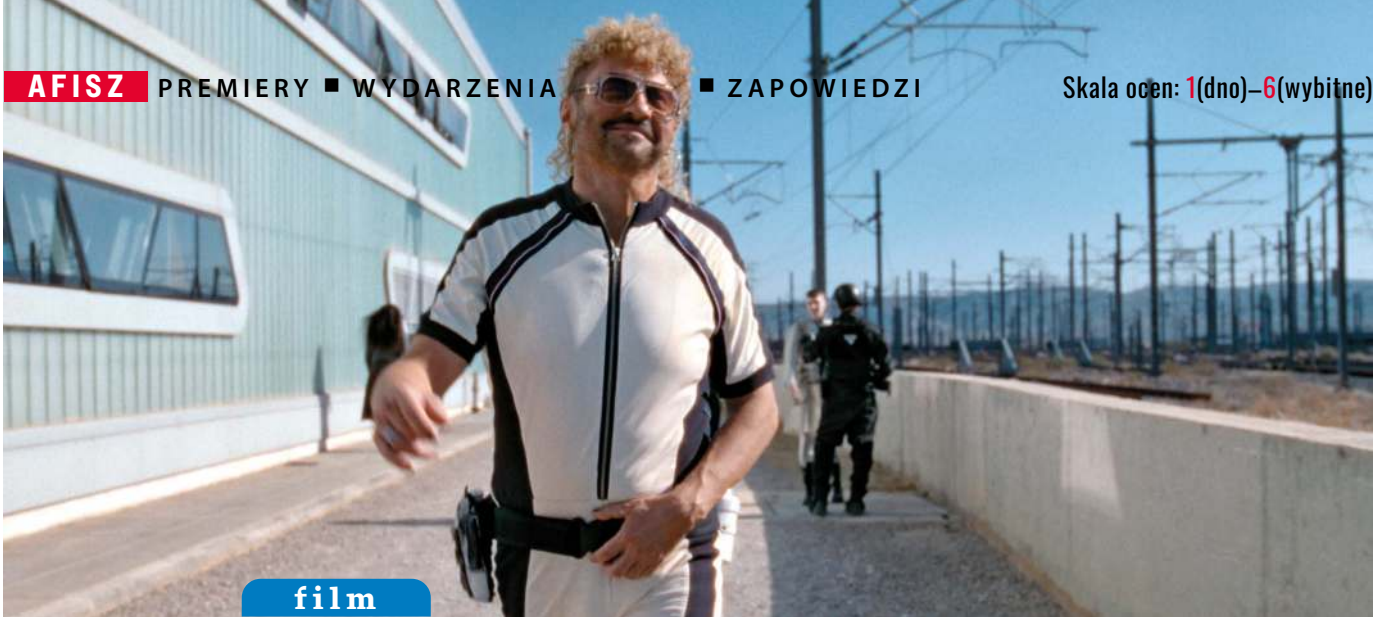
Jeden z najsłynniejszych hobo był z pochodzenia Polakiem. Mistrz świata wagi średniej w boksie Stanley Ketchel zwany na początku swej kariery Hobofighterem – Pięściarzem Włóczęgą. Przyszły champion urodził się 14 września 1886 r. w Grand Rapids w stanie Michigan jako Stanisław Kiecel. Jego rodzice, Julia i Jan Kiecelowie, przybyli do Ameryki ze wsi Sulmierzyce w guberni piotrkowskiej zaboru rosyjskiego. Ich syn Staś nie miał ukończonych 12 lat, kiedy ruszył na szlak hobo, przemierzając na gapę w pociągach towarowych całe Stany Zjednoczone i Kanadę. Niejeden raz uciekał, a jeśli był przyparty do muru, a raczej ściany wagonu – walczył na pięści. Karierę bokserską, już jako Stanley Ketchel, rozpoczął w górniczym miasteczku Butte w Górach Skalistych.

Zauważony przez menedżerów bokserskich Ketchel szybko wspiął się na wyżyny tego sportu. Przydomek Hobofighter zmieniono mu na bardziej marketingowy – Michigan Assassin (Zabójca z Michigan), choć prywatnie, co podkreślali wszyscy, którzy się z nim zetknęli, łącznie z rywalami z ringu, Ketchel był człowiekiem niezwykle sympatycznym, tolerancyjnym i wrogiem rasizmu, który dotykał i tej dyscypliny, gdzie Afroamerykanie święcili sukcesy. Do historii boksu przeszły m.in. pojedynki Ketchela, przede wszystkim z mistrzem świata wagi ciężkiej Johnem Arthurem Johnsonem Olbrzymem z Galveston. Niestety Ketchel dożył jedynie 24 lat – został zamordowany w napadzie rabunkowym w 1910 r. W wywiadach zawsze podkreślał, że doświadczenie hobo na szlaku dały mu to, co w walce jest ważniejsze od siły fizycznej – hart ducha.

PIOTR KORCZYŃSKI

© LMPC/GETTY IMAGES, BETTMANN/GETTY IMAGES

eprasa.pl ef163c68fb



film

Dziwny, dziwny czas 4/6

Hot Spot, reż. Agnieszka Smoczyńska, prod. Polska, Grecja, Szwecja, 101 min, w kinach od 25 września

Postapokaliptyczna czarna komedia? Polityczny thriller rozgrywający się „nigdzie w przyszłości"? A może metafora świata ogłupionego przez sztuczną inteligencję? Nowy film Agnieszki Smoczyńskiej, po raz pierwszy od czasu „Córek dancingu" pracującej na scenariuszu Roberta Bolesty, jest tym wszystkim jednocześnie. Parodią science fiction, która nie unika poważnych tematów, a przy tym zwodzi widzów, skręca w nieoczekiwanych kierunkach, burzy ustalone gatunkowe reguły.
Czego tu nie ma: awangardowy detektyw Jan (**Andrzej Konopka** wygląda tu jak miks gwiazdy popu z lat 80. i Joego Exotica, niesławnego Króla Tygrysów), zatrudniony przez Głowę, potężny system AI rządzący światem; Uchodźcy, wśród których ukrywa się tajemnicza Cyber Wiedźma, być może zdolna obalić cyfrową dyktaturę; zniszczony katastrofą klimatyczną świat, gdzie woda jest wydawana tylko ludziom posłusznym rozkazom Głowy. Wszystko zaczyna się jak intrygujący futurystyczny kryminał – Jan prowadzi dochodzenie w sprawie brutalnego zabójstwa jednego z Uchodźców – lecz szybko porzuca logikę śledztwa na rzecz zbiorowej halucynacji, ciągu surrealistycznych obrazów, szalonych wydarzeń, popkulturowych cytatów, wizualnych prowokacji. Jest tu wiele znakomitych, choć nieprzyjemnych pomysłów (system AI umożliwia ludziom telepatyczną komunikację, lecz również transmituje im do głów relacje z egzekucji buntowników), inne trafiają w próżnię lub gubią się w fabularnym splątaniu, przekonująca wydaje się również wizja świata, w którym nowoczesność i entropia idą w parze. Na przedpremierowych pokazach „Hot Spot" część widzów wychodziła w trakcie seansu, inni reagowali entuzjastycznie (wyróżnienie na festiwalu kina fantastycznego w Montrealu). To film, który dzieli publiczność, nie poddaje się jednoznacznym ocenom, częściej irytuje, niż zachwyca, lecz zarazem stanowi dowód reżyserskiej brawury Smoczyńskiej.

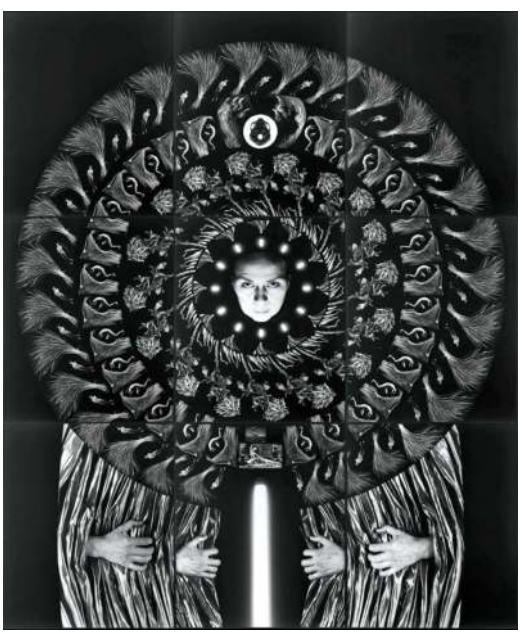
JAKUB DEMIAŃCZUK

galeria

Ambasadorka krytyki 4/6

Zofia Kulik. Praktyka ironii, Common Arts Foundation, Warszawa, do 26 lutego

Równo 30 lat temu Paszport POLITYKI odebrała bohaterka aktualnej wystawy. Uhonorowana zarówno za miniony, jak i – wówczas – nowo rozpoczęty etap jej twórczości. Ten przeszły to głównie performatywna aktywność w formacji KwieKulik, tworzonej z Przemysławem Kwiekiem. Bezkompromisowa wobec totalitarnego porządku i mechanizmów władzy, dopominająca się o wolność w wymiarze zarówno osobistym, jak i artystycznym. Ale kapituła Paszportów doceniła też jej nowe, indywidualne już, twórcze poszukiwania



Zofia Kulik, Light Rose II (Grass), 2000 r.

w zakresie fotomontażu. Trochę inne narzędzia, ale temat ten sam: refleksja nad historią, demistyfikacja mechanizmów władzy. Artystka najchętniej sięgała po takie formy wyrazu jak rytuał, powtórzenie, deformacja, bogactwo ornamentu, czyli te same, jakimi posługuje się propaganda wszelkich ustrojów i porządków politycznych. Warszawska wystawa jest taką miniretrospektywą uwzględniającą oba te okresy, rozciągniętą od lat 70. XX w. po początki kolejnego stulecia. Ten pierwszy etap reprezentowany jest choćby cyklami „Odmiany czerwieni" czy „Nagość na znaczkach". Ten drugi – m.in. ikonicznymi, monumentalnymi pracami „Ambasadorowie przeszłości" czy „Wspaniałość siebie". Poza wszelkimi różnicami można w nich dostrzec i pewne elementy wspólne, jak groteska, absurd, satyra czy tytułowa ironia. Zazwyczaj służące zabawie, pod jej ręką stały się narzędziami krytycznej refleksji nad zniewalającym porządkiem tego świata.

PIOTR SARZYŃSKI

© MATERIAŁY PRASOWE (3), ARCHIWUM PRYWATNE, ADRIAN LACH, SONIA BOBER, BE&W

eprasa.pl ef163c68fb

serial

Kto wspiera Reachera 4/6

Neagley, twórcy serii: Nick Santora i Nicholas Wootton, 8 odc., Prime Video



Uniwersum „Reachera", wzorem innej serii Prime Video także opartej na popularnym powieściowym cyklu „Boscha", rozrasta się i pączkuje. Właśnie skończył się czwarty sezon „Reachera", już zapowiedziano kolejny, a oczekiwanie fanom ma umilić spin-off, podobnie jak oryginał wypełniony akcją, z jasnym podziałem na dobrych i złych oraz z wymierzaniem sprawiedliwości w trybie doraźnym, bez oglądania się na procedury czy sądy. Można by się pokusić o pytanie, co mówi o dzisiejszych czasach ta nowa popularność seriali z prostymi receptami i samozwańczymi szeryfami. Ale można też obniżyć poprzeczkę oczekiwań i wtedy nie tylko kolejne sezony „Reachera", ale też „Neagley" okażą się przyzwoitą rozrywką, w dodatku z happy endem. Główną bohaterką jest Frances Neagley (w świetnym wykonaniu **Marii Sten**), w powieściach Lee Childa postać epizodyczna, w ich serialowych adaptacjach ważniejsza, dawna podwładna Reachera w wojsku, później przyjaciółka przybywająca na ratunek, gdy był w potrzebie, z zawodu prywatna detektywka w Chicago. We własnej serii, której scenariusz dość sprawnie i bez większych ambicji miksuje wątki typowe dla takich produkcji, motywowana podejrzaną śmiercią przyjaciela z dzieciństwa rozpoczyna śledztwo. Obejmuje ono i sektę, i firmy farmaceutyczne, i historię samej Frances Neagley, która od lat żyje z hafefobią – lękiem przed dotykiem (z wyjątkiem okładania pięściami złoli). Przy okazji formuje się sympatyczna ekipa, a nawet na horyzoncie majaczy wątek romansowy.

ANETA KYZIOŁ

scena

Długa i powolna 3/6

Bardzo długa i powolna katastrofa tramwaju nr 26, tekst i reż. Julia Nowak, TR Warszawa



Julia Nowak, reżyserka (i autorka) „Bardzo długiej i powolnej katastrofy tramwaju nr 26", jest najnowszą laureatką Nagrody Debiut TR, przyznawanej od dekady przez TR Warszawa podczas Forum Młodej Reżyserii – organizowanego przez krakowską AST przeglądu prac studentów reżyserii różnych szkół teatralnych. Nowak, rocznik 2000, nagrodę otrzymała za „Wszyscy skończymy jak frajerzy, czyli hymn wczesnego kapitalizmu", adaptację opowiadań Serhija Żadana, w których ukraiński pisarz, a dziś żołnierz, wraca do początku wieku, opisuje ówczesny zachwyt bohaterów kapitalizmem, a potem ich porażki. „Bardzo długa..." to podobna opowieść – i w treści, i w formie, i w upodobaniu do długich tytułów. O kapitalizmie, jego złudnych obietnicach i mozolnej, wycieńczającej codzienności. Podróżujący tramwajem Dostawca jedzenia (Filip Zaręba), Projektariusz Mariusz (**Michał Jan Meller**), Hipochondryczka (**Aleksandra Popławska**), Laska bez telefonu (**Izabella Dudziak**) oraz Motorniczy (Mirosław Zbrojewicz) marzą o sensie, stabilizacji, uwolnieniu od kieratu, tempa i tymczasowości. Słuchający ich widz marzy z kolei o tym, żeby usłyszeć coś, co nie tylko jest prawdziwe i słuszne, ale też świeże (a choćby na tej samej scenie od dwóch lat grane jest „Za dużo wszystkiego" Michała Buszewicza na ten sam temat). Poczucie znużenia potęguje znikoma akcja. Z drugiej strony autorka uczciwie ostrzegała już w tytule – katastrofa tramwaju będzie długa i powolna. Kapitalizmu też. AK

nie przegap

Cząstka człekokształtna, Galeria Sztuki Wozownia, Toruń, do 8 listopada TR Warszawa

Kolejna w ostatnich czasach prywatna kolekcja sztuki, tym razem należąca do Molski Foundation, która konfrontuje się z publicznością. I ma dwie cenne zalety różniące ją od wielu podobnych przedsięwzięć. Po pierwsze, nie jest przypadkowym zbiorem prac, lecz zgrabnie uszytą narracją o „śladach człowieka". Po drugie, proponuje nieoczywisty, a przez to intrygujący zestaw dzieł, w którym obok największych gwiazd ostatniego półwiecza znaleźli się artyści młodzi, dopiero odkrywani przez świat sztuki. PSARZ



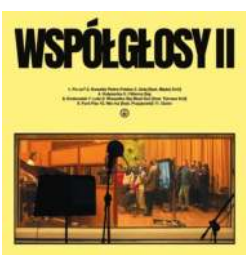


Martwe zło 2, reż. Sam Raimi, w kinach od 25 września

Pierwsza część „Martwego zła" ma status horroru kultowego. Jednak dopiero dwójka pokazała pełnię reżyserskich możliwości Sama Raimiego oraz aktorski talent **Bruce'a Campbella**, który ponownie zagrał Asha, pechowego everymana walczącego z hordą demonów przywołanych na ziemię przez Księgę Umarłych. Kapitalne połączenie (bardzo) krwawego horroru i komedii do dziś nie ma sobie równych: wzorcowe kino rozrywkowe z lat 80. dla widzów gotowych na specyficzne filmowe doznania. JD

Współgłosy II, Współgłosy

Pianista i kompozytor Marcel Baliński był w 2025 r. nominowany do Paszportów POLITYKI za działania tej formacji. Łączy ona trio jazzowe i chór stworzony przy Warsztatach Terapii Zajęciowej Osób z Niepełnosprawnościami Intelektualnymi „Frajda" w Łodzi. Oraz aktorów Magdalenę Koleśnik i Bartosza Bielenię. Na płycie numer 2 ten skład jeszcze się poszerzył (Błażej Król, Tomasz Kot itd.). Jednak nazwiska i pomysł schodzą na dalszy plan wobec świetnie napisanych, uniwersalnych, wykorzystujących improwizację utworów. BCH



eprasa.pl ef163c68fb



Wojenko, wojenko 5/6

Katarzyna Surmiak-Domańska, **Świat przed nami nie istniał. Jak wojna została w naszych domach**, Agora, Warszawa 2026, s. 488



Wczasach, w których źle podana kawa urasta do miana wydarzenia traumatycznego, ta prawdziwa trauma, mrożąca krew w żyłach, a czasem całe życie, nie ma lekko. Z natury milcząca, zamknięta, najczęściej lubi siedzieć w środku. I zjadać żywiciela kawałek po kawałku. Pisanie o traumie samo w sobie jest pewnie traumatyczne. Czytanie o niej również takie bywa. Chyba że do rozbrajania tego tematu bierze się ktoś o delikatnych rękach i ogromnej dziennikarskiej wrażliwości. Na pierwszy rzut oka książka mogłaby uchodzić za jedną z tych z kategorii: ciekawe, dobrze napisane – polecam. Tyle że nie ma co oszukiwać. Surmiak-Domańska pracuje na ranach. Czasem już nawet lekko zasklepionych, które otwiera, ogląda, chyba nawet próbuje oczyścić. Dotyka tematów niechcianych, trudnych, ale do dziś żywych. Choć od drugiej wojny światowej minęło 81 lat, ciągle nie dało się jej wypłukać z naszych głów. Dotyczy to również tych, którzy wojny nie doświadczyli, ale zostali nią zarażeni: opowieściami, rodzinnymi lękami, przez szkołę. To książka trudna, ale również kojąca, może dzięki jej bohaterom, którzy sami zarażali, a jednocześnie próbowali chronić najbliższych. Książka ta nabiera dodatkowej wartości w cieniu brunatnej chmury, jaka znowu zbiera się nad naszymi głowami. Wojenko, wojenko, żadna z ciebie pani, tylko szkaradny potwór. Ale czy chłopcy malowani kiedyś to zrozumieją?

JULIUSZ ĆWIELUCH



Do kogo ta mowa 4/6

Virginie Despentes, **Drogi dupku**, przeł. Beata Geppert, W.A.B., Warszawa 2026, s. 368

Inby internetowe rzadko ewoluują w długie wymiany maili między adwersarzami. Tu na początek pisarz Oscar Jayack obraził w social mediach znaną aktorkę Rebekę Latté (na stare lata „upasła się, ma wstrętną skórę, jest brudna i hałaśliwa"). „Drogi dupku – odpowiada celebrytka. – Jesteś jak gołąb, który w przelocie nasrał mi na ramię". Na tym etapie Rebecca nie wie jeszcze, z kim ma do czynienia. W toku już prywatnej rozmowy okazuje się, że znali się w dzieciństwie i dorastali w podobnych okolicznościach, czyli we francuskiej biedzie. Co nie oznacza, że stają się dla siebie uprzejmi. Piszą w przypływie obustronnej wylewności, zrzucają z siebie rozmaite ciężary, to czasem nie tyle rozmowa, ile luźno powiązane monologi. To często konfrontacyjna wymiana myśli, w którą wplątują się jeszcze blogowe wpisy Zoé, oskarżycielki Oscara (bohatera kolejnej fali MeToo), feministki z rzeszą followersów. Autorka głośnej trylogii „Vernon Subutex" w nowej powieści nie jest tak gniewna ani bezkompromisowa, ale nadal pisze w sposób prowokacyjny i zmusza do myślenia nieco innymi środkami. Ani nie pastwi się nad Oscarem, ani go nie rozgrzesza, ale wnika głęboko w różne perspektywy, studiując wątki mizoginii, starzenia się, „drobnomieszczaństwa" (ulubiony temat francuskich książek), upojenia i trzeźwości. „Rozwalając samego siebie, odpływając od rzeczywistości, człowiek mówi innym, że nimi gardzi. Ich żałosnymi wysiłkami, żeby się utrzymać w pionie. Lepiej zdechnąć, niż uprawiać jogę" – pisze Rebecca. Despentes opisuje ten styl życia, unikając czerni, bieli i łatwego potępienia.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA



muzyka

Tkliwa dynamika 4/6

Artur Rojek, **Chciałbym urodzić się żeby latałem**, Sony Music

Przywołanie słów ze słynnego wiersza Gałczyńskiego wydaje się tu całkiem na miejscu. Rzeczywiście, najnowszy album solowy Artura Rojka uwodzi tkliwością i w tekstach, i w muzyce. Począwszy od tytułu płyty, który jest dosłownym cytatem z wczesnodziecięcej wypowiedzi młodszego syna Artura, poprzez zawarte w piosenkach obrazy miłosnego szczęścia i emocjonalnych kryzysów („Mówiłem Ci to już", „W objęciach"), aż do wspomnień z dawnych młodzieńczych przeżyć (choćby fraza „Zatańczmy tak jak wtedy" z piosenki „Judo"). Podkreśla to mocno muzyka, najbardziej chyba popowa z całego dorobku Rojka, co wydaje się pewnym ryzykiem, i narzuca natrętne pytanie, czy tu i ówdzie nie została przekroczona ta granica tkliwości, za którą mamy już tylko rzewną nostalgię i zbyt łatwe wzruszenie. Nie pomagają w tym zaaranżowane przez Zbigniewa Preisnera smyczki, przywołujące w pewnych momentach (wykonywana wspólnie z Kortezem piosenka „Nauka tęsknoty") estetykę festiwalu w San Remo. Jestem przekonany, że głos Rojka lepiej brzmi na tle spokojnego podkładu gitarowego. Mimo to są na tej płycie utwory bardzo dobre tekstowo („Gruby, mały") i muzycznie (z lekka beatlesowskie „Yeti" – duet z Dawidem Podsiadłą). Całości słucha się nieźle, co nie dziwi, bo – jak można przypuszczać – chodziło przecież o przebojowość i chwytliwość melodii.



MIROSŁAW PĘCZAK

© MACIEJ ZIENKIEWICZ/AGENCJA WYBORCZA.PL, MATERIAŁY PRASOWE (4)

eprasa.pl ef163c68fb

KULTURA+

Jesień 2026



129 najciekawszych wydarzeń kulturalnych

- Tokarczuk i inni. Hity literackiej jesieni
- „Lalki" w teatrze
- „Wiedźmin" na scenie
- Cat Power: wielka walka
- Co ma Gershwin do Piazzolli

© ŁUKASZ GIZA

KALENDARIUM WYDARZEŃ: JESIEŃ 2026

WRZESIEŃ

do 26.09 | MUZYKA | **Warszawska Jesień** | Warszawa
do 27.09 | MUZYKA | **Szalone Dni Muzyki** | Warszawa
do 3.10 | INTERDYSCYPLINARNE | **Percepcje. Nowe Formy Sztuki** | różne lokalizacje | Lublin
do 3.10 | MUZYKA | **Festiwal Szymanowski – Polska – Świat** | Filharmonia Krakowska | Kraków
do 8.11 | SZTUKA | **Beata Ewa Białecka, Na mój obraz i podobieństwo** | Mazowieckie Centrum Sztuki Współczesnej „Elektrownia" | Radom
do 22.11 | SZTUKA | **Ryszard Woźniak, Lunapark Europa** | Mazowieckie Centrum Sztuki Współczesnej „Elektrownia" | Radom
do 30.12 | SZTUKA | **Stulecie. W rocznicę wielkiej wystawy śląskiej sztuki średniowiecznej** | Pawilon Czterech Kopuł, Muzeum Narodowe we Wrocławiu
24.09–6.01 | SZTUKA | **Lary i Penaty** | Zamek Królewski na Wawelu | Kraków
25.09–4.10 | FILM | **Międzynarodowy Festiwal Filmowy Młode Horyzonty** | 20 miast w Polsce
25.09–30.11 | SZTUKA | **Rafał Eret, Nieustające wakacje** | Galeria Wirydarz | Lublin
25.09–28.02 | SZTUKA | **Ciała ziemi. Nasze ciała** | Muzeum Narodowe | Gdańsk
25.09 | MUZYKA | **Masque of Might**, muz. Henry Purcell, reż. David Pountney | Warszawska Opera Kameralna | Warszawa
26–27.09 | MUZYKA | **Peter Hammill** | Studio, Palladium | Kraków, Warszawa


„Matki Chersonia"

PAŹDZIERNIK

1.10 | MUZYKA | **Gibran Alcocer** | Progresja | Warszawa
1–8.10 | MUZYKA | **IV Festiwal In tempore regnum – Muzyka czasu królów** | Polska Opera Królewska, różne miejsca | Warszawa
2.10 | TEATR | Herman Melville, **Moby Dick**, reż. Wojciech Kościelniak | Teatr Muzyczny im. Baduszkowej | Gdynia
2.10 | MUZYKA | **Ostatni koncert Lecha Janerki** | Narodowe Forum Muzyki | Wrocław
2.10 | MUZYKA | **Inauguracja sezonu** | Filharmonia Narodowa | Warszawa
2–4.10 | INTERDYSCYPLINARNE | **Wędrujący Festiwal** | Bielsko-Biała
2–11.10 | MUZYKA | **Unsound Festival** | Warszawa, Kraków
2.10–17.01 | SZTUKA | **Sekretne komnaty władzy ludowej** | Zamek Królewski | Warszawa
3.10 | TEATR | **Kościuszko**, tekst i reż. Konrad Imiela, muz. Grzegorz Rdzak | Teatr Muzyczny Capitol | Wrocław
3.10 | TEATR | Julie Myerson, **Nonfiction,** reż. Gosia Wdowik | Narodowy Stary Teatr im. Modrzejewskiej | Kraków
3, 10, 17, 24 i 31.10 | MUZYKA | **Festiwal Wieczory u Telemanna** | Zamek | Pszczyna
3.10 | TEATR | **Osiecka**, scen. i reż. Ewa Telega | Teatr Ateneum | Warszawa
6–7.10 I TANIEC I **This resting, patience**, chor. Ewa Dziarnowska I TR Warszawa I Warszawa
8.10 | MUZYKA | **Deep Purple** | Atlas Arena | Łódź
8–10.10 | MUZYKA | **Festiwal Kompozytorów Polskich** | Bielskie Centrum Kultury | Bielsko-Biała
8–11.10 | TANIEC | **Międzynarodowy Festiwal Sztuki Tańca i Performansu Ciało/Umysł** | Studio Teatrgaleria | Warszawa
8–25.10 | MUZYKA | **17. Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. Henryka Wieniawskiego** | Aula UAM | Poznań
8.10–21.02 | SZTUKA | **Obywatelka Cepelia** | Muzeum Narodowe | Kraków


Lech Janerka

9.10 | TEATR | **Osiecka. Dzikość serca**, scen. Sandra Szwarc, reż. Lena Frankiewicz | Teatr Rampa | Warszawa
9.10 | MUZYKA | **NOSPR/Marin Alsop/Rinat Shaham** | NOSPR | Katowice
9.10 | MUZYKA | **Inauguracja sezonu: Ork. NFM/Jacek Kaspszyk/Steven Isserlis** | NFM | Wrocław
9–12.10 | INTERDYSCYPLINARNE | **3 X Różewicz** | Miejski Dom Kultury | Radomsko
9–18.10 | FILM | **Międzynarodowy Warszawski Festiwal Filmowy** | Warszawa
9.10–14.03 | SZTUKA | **Suzanne Treister, Prorocze Śnienia** | ms1 | Łódź
10.10 | MUZYKA | **BBC Symphony Orchestra/ Sakari Oramo/Francesco Piemontesi** | NOSPR, Filharmonia Narodowa | Katowice, Warszawa
10.10 | MUZYKA | Bela Bartók, **Zamek Sinobrodego**, wykonanie koncertowe | Studio im. Witolda Lutosławskiego | Warszawa
10.10 | KOMIKS | **Górnośląska Impreza Komiksowa** | Gliwice
10.10 | TEATR | **Oresteja**, na motywach trylogii Ajschylosa, reż. Luk Perceval | Teatr Narodowy | Warszawa
14.10 | BALET | **Conrad** | Teatr Wielki | Poznań
14.10 | MUZYKA | **Cat Power** | Stodoła | Warszawa
15.10–18.10 | SZTUKA | **Wrocław Off Gallery Weekend** | różne lokalizacje | Wrocław
16.10 | MUZYKA | Maksym Kołomyjec, **Matki Chersonia**, reż. Barbara Wysocka | Teatr Wielki – Opera Narodowa
16.10 | MUZYKA | Charles Gounod, **Faust**, reż. Michał Znaniecki | Opera Krakowska | Kraków
16–24.10 | TEATR | **XXX Międzynarodowy Festiwal Teatrów dla Dzieci i Młodzieży „Korczak dzisiaj"** | różne lokalizacje | Warszawa
16.10–31.01 | SZTUKA | **Alina Szapocznikow/Nairy Baghramian** | Narodowa Galeria Sztuki „Zachęta" | Warszawa
16.10–28.02 | SZTUKA | **Rzeźba poza stabilnością** | Muzeum Sztuki Nowoczesnej | Warszawa
16.10 | MUZYKA | Ewa Fabiańska-Jelińska, **Weiser**, reż. Romuald Wicza-Pokojski | Opera Bałtycka | Gdańsk
16.10 | TEATR | Leopold Tyrmand, **Zły**, reż. Krzysztof Garbaczewski | Teatr Powszechny im. Hübnera | Warszawa
16.10 | TEATR | Łukasz Zaleski, **FOGG 2126**, reż. Anna Karolina Gorajska | Teatr Dramatyczny im. Holoubka | Warszawa
16.10 | MUZYKA | **Ork. NFM/Thierry Fischer/ Benjamin Beilman** | NFM | Wrocław
17.10 | TEATR | **Podwójne życie Weroniki** wg m.in. Krzysztofa Kieślowskiego i Krzysztofa Piesiewicza, reż. Ewelina Marciniak | Teatr Wybrzeże | Gdańsk
17.10 | BALET | **Lalka**, chor. Grzegorz Brożek, muz. Mieczysław Karłowicz i Zygmunt Noskowski | Opera Na Zamku | Szczecin
17–24.10 | INTERDYSCYPLINARNY | **Festiwal Nowe Oświecenie** | Ursynowskie Centrum Kultury „Alternatywy" | Warszawa
17–26.10 | TEATR | **Ogólnopolski Festiwal Sztuki Reżyserskiej Interpretacje** | Katowice
19–25.10 | LITERATURA | **Conrad Festival** | Kraków
20.10 | MUZYKA | **Europe** | Torwar | Warszawa
20–31.10 | FILM | **Splat!FilmFest International Fantastic Film Festival** | Warszawa
22–23.10 | MUZYKA | **The Sisters of Mercy** | A2 (Wrocław), Progresja (Warszawa)
22–25.10 | FILM | **17. Festiwal Krytyków Sztuki Filmowej Kamera Akcja** | Łódź

© MATERIAŁY PRASOWE (2), WITOLD SPISZ/REPORTER, ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

eprasa.pl ef163c68fb

KALENDARIUM WYDARZEŃ: JESIEŃ 2026

23.10 | TEATR | **Kraków Narodowej Sztuce, czyli tryumf miernoty**, tekst i reż. Agata Duda-Gracz | Teatr im. Słowackiego | Kraków
23.10 | MUZYKA | **Ork. NFM/Paul McCreesh/Radosław Pujanek** | NFM | Wrocław
23.10–14.02 | SZTUKA | **Anna Jagiellonka. Królowa między epokami** | Zamek Królewski na Wawelu | Kraków
23.10–7.02 | SZTUKA | **Znikną wszystkie obrazy** | Centrum Sztuki Współczesnej | Toruń
23–25.10 | MUZYKA | **Jazz Jamboree** | Stodoła | Warszawa
25.10 | MUZYKA | **Behemoth + Dimmu Borgir + Dark Funeral** | Spodek | Katowice
25.10 | MUZYKA | **Erykah Badu** | MCK | Katowice
26–31.10 | FILM | **Międzynarodowy Festiwal Filmowy Etiuda & Anima** | Kraków
27.10–21.02 | SZTUKA | **Cirillo dell'Antonio. Maestro i uczniowie** | Muzeum Narodowe | Wrocław
28–30.10 | SZTUKA | **Tommorow Begins Today. V Międzynarodowe Spotkania Performans** | Galeria Bielska | Bielsko-Biała
30.10 | MUZYKA | **Jubileusz Eugeniusza Knapika – Chór i orkiestra Filharmonii Śląskiej** | Filharmonia Śląska | Katowice
30.10 | MUZYKA | **NFM/Robertas Šervenikas/Lukas Geniušas** | NFM | Wrocław
30.10–19.12 | MUZYKA | **Peja & DJ Decks – 25 lat „Na legalu"** | Warszawa, Kraków, Wrocław, Poznań, Lublin, Toruń, Gdańsk, Łódź, Szczecin, Białystok, Rzeszów


Eugeniusz Knapik

LISTOPAD

1.11 | MUZYKA | **Sleaford Mods** | Stodoła | Warszawa
4–8.11 | MUZYKA | **Jazzowa Jesień im. Tomasza Stańko** | Bielskie Centrum Kultury | Bielsko-Biała
5.11 | MUZYKA | **Kombii akustycznie – The Best Of** | Teatr Roma | Warszawa
5–6.11 | MUZYKA | **Wiedźmin. Muzyka Kontynentu** | Ergo Arena, Tauron Arena | Gdańsk, Kraków
6.11–31.01 | SZTUKA | **Wystawa Pokonkursowa KAF Young Prize** | Krupa Art Gallery | Wrocław
6.11 | TEATR | **E:/migranci**, tekst i reż. Mikita Iłynczyk | Narodowy Stary Teatr im. Modrzejewskiej | Kraków
6.11 | TEATR | Michał Buszewicz, **Dom niespokojnej starości**, reż. Tomasz Man | Teatr Powszechny | Łódź
7.11 | TEATR | **Coś poszło nie tak**, reż. Aneta Groszyńska-Kącka | Teatr Komedia | Warszawa
7–14.11 | FILM | **ToruńCAMERIMAGE** | Toruń
8.11 | MUZYKA | **Dianne Reever/Branford Marsalis** | NOSPR | Katowice
10.11 | MUZYKA | **Jungle** | Atlas Arena | Łódź
10–15.11 | FILM | **British Film Festival** | Poznań
10–17.11 | FILM | **20. Festiwal Filmów Azjatyckich Pięć Smaków** | Warszawa
11.11 | MUZYKA | **Masecki i Chopin: Marcin Masecki/Lutosławski String Quartet** | NFM | Wrocław
12.11 | MUZYKA | **Bomsori Kim i Rafał Blechacz** | NFM | Wrocław
13–14.11 | MUZYKA | **Inside Seaside** (m.in. Jessie Ware, The Streets, Kneecap) | AmberExpo | Gdańsk
13–21.11 | MUZYKA | **Jazztopad** | NFM | Wrocław
13–28.11 | MUZYKA | **Festiwal Eufonie** | Warszawa i inne miasta
13.11–13.12 | MUZYKA | **Nosowska – XXX** | Warszawa, Wrocław, Kraków, Łódź
14.11 | TEATR | Sarah Kane, **Łaknąć**, reż. Katarzyna Minkowska | Teatr im. Jaracza | Łódź


Jessie Ware

15.11 | MUZYKA | **Kurt Elling & Yellowjackets – Celebrate Weather Report** | NOSPR | Katowice
18.11 | MUZYKA | **Arlo Parks** | Palladium | Warszawa
20.11 | MUZYKA | Paweł Mykietyn, **Czarodziejska góra**, reż. Andrzej Chyra | Nowy Teatr | Warszawa
20.11 | MUZYKA | Claudio Monteverdi, **Il ritorno d'Ulisse in patria**, reż. Robert Bondara | Polska Opera Królewska | Warszawa
20.11–12.12 | MUZYKA | **Festiwal Trzy-Czte-Ry** | Studio Koncertowe im. W. Lutosławskiego | Warszawa
20.11 | MUZYKA | **Wrocław Hip Hop Festival** | Hala Stulecia | Wrocław
20.11–14.03 | SZTUKA | **Bestiariusz – od hybryd po wymieranie** | Muzeum Narodowe I Warszawa
20.11–12.12 I MUZYKA I **Międzynarodowy Festiwal Nowa Europa** I Nowy Teatr I Warszawa
21.11–30.06 | SZTUKA | **„Zasoby"** oraz **„Czyja to ziemia?"** | Muzeum Etnograficzne | Warszawa
22.11 | MUZYKA | Richard Strauss, **Salome**, reż. Claus Guth | Opera Narodowa | Warszawa
23–29.11 | MUZYKA | **Macy Gray** | Gdańsk, Łódź, Poznań, Wrocław
26.11 | MUZYKA | **NOSPR/Joseph Young/Charles Richard-Hamelin** | NOSPR | Katowice
26.11–28.02 | SZTUKA | **Gotyk w Wielkopolsce 1936–2026** | Muzeum Narodowe | Poznań
27.11, 3.12 | MUZYKA | **Pitbull** | Łódź, Gdańsk
27.11 | TEATR I **Sukcesja**, na motywach dramatu „Życie jest snem" Calderóna de la Barki, reż. Anna Smolar | Studio Teatrgaleria | Warszawa
29.11 | MUZYKA | **Błękitna rapsodia. George Gershwin & Astor Piazzolla** | ICE Congress Centre | Kraków

GRUDZIEŃ

1.12 | MUZYKA | **Ralph Kaminski** | NOSPR | Katowice
1.12–3.05 | SZTUKA | **Między wiarą a rozumem** | Muzeum Narodowe | Kielce
2.12 | MUZYKA | **Możdżer/Danielsson/Fresco** | NOSPR | Katowice
3.12 | MUZYKA | **Chelsea Wolfe** | Progresja | Warszawa
3–20.12 | TEATR | **Międzynarodowy Festiwal Teatralny Boska Komedia** | Kraków
4.12 | MUZYKA | Giuseppe Verdi, **Rigoletto**, reż. Michał Znaniecki | Opera Wrocławska | Wrocław
4–13.12 | FILM | **Międzynarodowy Festiwal Filmowy WATCH DOCS. Prawa Człowieka w Filmie** | Warszawa
4.12–21.03 | SZTUKA | **Eleanor Antin, Retrospektywa** | MOCAK | Kraków
4.12 | TEATR | Julia Holewińska, **Nina. Wieczna królowa**, reż. Wojciech Faruga | Teatr Dramatyczny im. Holoubka | Warszawa
6.12 | MUZYKA | **Marcin Masecki & Boleros** | Stodoła | Warszawa
9–13.12 | MUZYKA | **Actus Humanus Nativitas** | Gdańsk
11.12 | MUZYKA | **Bryan Adams** | PreZero Arena | Gliwice
11.12 | TEATR | Maciej Łubieński, **Orgazmy i Upiory. Z dziejów libido w Polsce** | Teatr Rampa | Warszawa
13.12 | MUZYKA | **recital Grigorija Sokołowa** | Filharmonia Narodowa | Warszawa
17.12 | TEATR | Ray Bradbury, **451 stopni Fahrenheita**, reż. Jan Klata | Teatr Narodowy | Warszawa
18–19.12 | MUZYKA | **Zespoły FN/Paul Goodwin/Ian Bostridge** | Filharmonia Narodowa | Warszawa
30–31.12 | MUZYKA | **Koncerty sylwestrowe: Wrocławska Orkiestra Barokowa/Avi Avital/Núria Rial** | NFM | Wrocław

eprasa.pl ef163c68fb



Hity na trudne czasy

Jesienią do teatru wpadną Wokulski i Łęcka oraz bohaterowie innych wielkich powieści, na scenach zobaczymy także m.in. Kościuszkę, Osiecką, Czubaszek, Andrycz i... Britney Spears.

ANETA KYZIOŁ

Najważniejszymi, a przynajmniej najgłośniejszymi kulturalnymi wydarzeniami początku sezonu są oczywiście dwie ekranizacje „Lalki". Jednak teatr pola filmowcom nie oddaje i dorzuca własne, świeże i zaskakujące interpretacje. Teatr Rampa na warszawskim Targówku swoją musicalowo-kabaretową wersję dzieła Prusa – „Lalkę '89. Kapitalistyczną komedię romantyczną" w reż. Michała Walczaka – reklamuje jako „pełną magii i teorii spiskowych". I nie ma w tym przesady, bo w spektaklowej Warszawie epoki transformacji można spotkać m.in. polonistki, wampira oraz młodego Rafała Trzaskowskiego. Z kolei Mikita Iłynczyk, dramatopisarz i reżyser nominowany w 2025 r. do Paszportu POLITYKI, swoją „Lalkę" w stołecznym Teatrze Dramatycznym zrealizował w konwencji satyrycznego political fiction. Kontekstem dla jego odczytania powieści pisanej w Warszawie czasów zaboru rosyjskiego jest obecna rosyjska napaść na Ukrainę, która zakłóciła linearne postrzeganie czasu – przyszłość może się okazać wariacją na temat przeszłości. Jak ostrzegał Wyspiański w „Weselu": „To, co było, może przyjść". Oby tylko na scenie.

„Lalka" to niejedyna wielka powieść, która zagości na polskich scenach. Wojciech Kościelniak w Teatrze Muzycznym w Gdyni przygotowuje musicalową adaptację „Moby Dicka" Melville'a o pogoni za wielorybem i zabójczej obsesji zemsty (premiera 2 października). A Remigiusz Brzyk zaadaptuje na scenę poznańskiego Polskiego „Kolumbów. Rocznik 20" Bratnego, o pokoleniu akowców i powstańców warszawskich. Teatr Narodowy rozpocznie sezon premierą „Orestei" Ajschylosa (10 października). Reżysera Luka Percevala zainteresował zapisany w trylogii temat wojennej przemocy, która infekuje wszystkie aspekty życia i nie kończy się wraz z podpisaniem traktatów pokojowych, a także „cena, jaką trzeba zapłacić, by przestać odpowiadać przemocą na przemoc". W obsadzie m.in. Danuta Stenka i Mariusz Bonaszewski.

Ostatnią premierą roku (17 grudnia) na narodowej scenie także będzie adaptacja powieści – wyreżyserowane przez Jana Klatę dystopijne, napisane w 1953 r. „451 stopni Fahrenheita" Raya Bradbury'ego, z wizją świata, w którym

© ADRIAN LACH, KAROLINA JÓŹWIAK

REKLAMA



BEZLITOSNY I PRZENIKLIWY OBRAZ POLSKICH ELIT.
MEDIALNYCH, KULTURALNYCH I FINANSOWYCH.
W CAŁEJ ICH PYSZNEJ OHYDZIE.

Współczesna arystokracja i perwersyjne elity Warszawy.
Wyższe sfery – niższe instynkty. Niebotyczne fortuny, pretensjonalne snobizmy, maskujące patologie, przemoc i cynizm.

ONA – dziedziczka fortuny, nobilitowana książęcym tytułem męża, którym gardzi. Bezwzględnie zabiega o sławę i autentyczność.

ON – najmodniejszy pisarz młodego pokolenia, powalający urokiem i talentem. Zbuntowany ulubieniec salonów, który próbuje zachować autoszyderczy dystans.

Ich spotkanie zaczyna się jak miłosna ballada, a kończy jak apokalipsa.

PATRON MEDIALNY

eprasa.pl ef163c68fb



„Lalka" w reżyserii Mikity Iłynczyka na scenie Teatru Dramatycznego w Warszawie.
Na stronie obok: **Magdalena Kumorek** (z lewej) **i Agata Łabno przed stołecznym Teatrem Rampa – jako odtwórczynie tytułowej roli w spektaklu „Osiecka. Dzikość serca".**

zakazane jest czytanie książek, a z mediów elektronicznych sączy się ogłupiający i antagonizujący przekaz. Brzmi znajomo?

Po współczesną literaturę autorstwa pisarek sięgną z kolei reżyserzy spektakli w krakowskim Narodowym Starym Teatrze i w TR Warszawa. W pierwszym Gosia Wdowik zrealizuje „Nonfiction" Julie Myerson (premiera 3 października) – o relacjach matek i córek bez idealizacji, w obsadzie Dorota Pomykała, Małgorzata Zawadzka oraz lalki-rzeźby autorstwa Anety Grzeszykowskiej. W drugim zaś Wojtek Rodak przyjrzy się autofikcji francuskiej autorki Constance Debré „Love Me Tender" (premiera 20 listopada), gdzie padają pytania o tożsamość i macierzyństwo, a kontekstem jest queerowość głównej bohaterki.

Teatr sięgnie także po biografie. Autorki przedstawienia „Osiecka. Dzikość serca" (Teatr Rampa, premiera 9 października), Sandra Szwarc i Lena Frankiewicz, zabiorą Agnieszkę Osiecką (Magdalena Kumorek i Agata Łabno) w „autorską, nieoczywistą podróż przez Warszawę" i kolejne dekady, zapowiadają „musical drogi, w którym rzeczywistość nieustannie miesza się z wyobraźnią", a przeboje autorki „Okularników" zyskują nowe aranżacje (Mariusz Obijalski). W „Co na to Maria?" Agaty Biziuk (Teatr Komedia w Warszawie, premiera 24 października), inspirowanym „temperamentem, twórczością i żartami" Marii Czubaszek, też będzie muzyka na żywo (Franciszek Dziubek), a akcja będzie się toczyć podczas audycji radiowej prowadzonej przez tytułową bohaterkę w wykonaniu wspaniałej Izabeli Dąbrowskiej. Wraz z jej gośćmi „przekonamy się, że czasem najlepszą receptą na ludzkie problemy nie jest dobra rada, lecz trafna puenta" – jak zapowiada teatr.

Warszawski Dramatyczny z kolei w tragikomedii „Nina. Wieczna królowa" (tekst Julia Holewińska, reż. Wojciech Faruga, premiera 4 grudnia) przypomni postać Niny Andrycz, etatowej odtwórczyni ról królowych i żony premiera Józefa Cyrankiewicza. W głównej roli Anita Sokołowska. Biograficzny i zrealizowany z rozmachem będzie także „Kościuszko" (Teatr Capitol we Wrocławiu, premiera 3 października), musical autorstwa i w reż. Konrada Imieli z muzyką Grzegorza Rdzaka.

Ewelina Marciniak, której spektakle od lat częściej można oglądać za granicą, w gdańskim Wybrzeżu opowie o dalszych alternatywnych losach bohaterki filmowego „Podwójnego życia Weroniki" Kieślowskiego i Piesiewicza (premiera 17 października). A w Teatrze Telewizji (premiera 14 grudnia) wraz z Jarosławem Murawskim opowiedzą o Britney Spears, która rozlicza się z przeszłością, szykując się do powrotu na scenę. W głównej roli Joanna Kulig. Teatr Telewizji ma w tym roku w zanadrzu jeszcze inne zaskoczenia, jak reaktywacja Sceny Sensacji Kobra, a w jej ramach wyreżyserowane przez Krystynę Jandę „Wszystko czerwone" Joanny Chmielewskiej (premiera 2 listopada) czy powrót do antyku – „Wojna peloponeska" Tukidydesa, w reż. Wawrzyńca Kostrzewskiego i z gwiazdorską obsadą: Marcin Dorociński, Piotr Adamczyk i Michał Czernecki (premiera 30 listopada).

Wspomniany na początku Mikita Iłynczyk wróci do polskiej klasyki, tym razem teatralnej, i w Starym Teatrze w Krakowie – wystawi własnych „E:/migrantów" (premiera 6 listopada), przewrotny sequel sztuki Sławomira Mrożka z 1974 r. „Do nowej Polski przybywają wnukowie dawnych emigrantów: jeden z Chicago, drugi z Grodna. Obaj uważają się za Polaków i obaj muszą udowodnić, że mają prawo pozostać w kraju. Trafiają do mobilnej kapsuły asymilacyjnej" – zapowiada twórca. W nowym sezonie teatr szuka nieoczywistych perspektyw oraz bohaterek i bohaterów, ale nie zrywa kontaktu z rzeczywistością. ■

REKLAMA

PRO MUSICA

ZAPRASZA

trasa baletowa
JEZIORO ŁABĘDZIE
CLASSICAL ETOILE BALLET
październik 2026

chór, soliści i wizualizacje malowane piaskiem
KRÓL LEW Live in concert
CINEMA FESTIVAL SYMPHONICS
pod batutą STEPHENA ELLERY'EGO
listopad 2026

koncert
BŁĘKITNA RAPSODIA
George Gershwin & Astor Piazzolla
29/11/2026
ICE KRAKÓW CONGRESS CENTRE

soliści, chór, orkiestra
OPERA Z BLISKA
15/12/2026
FILHARMONIA PODKARPACKA im. A. Malawskiego

koncert noworoczny z Wiednia
STRAUSS LIVE
30/01/2027
ICE KRAKÓW CONGRESS CENTRE

koncerty jubileuszowe
GERSHWIN . RACHMANINOW . RAVEL
Polska Orkiestra *Sinfonia Iuventus*
24/02/2027
POLSKA FILHARMONIA BAŁTYCKA
25/02/2027
FILHARMONIA ŁÓDZKA

Więcej o wydarzeniach: promusica.pl

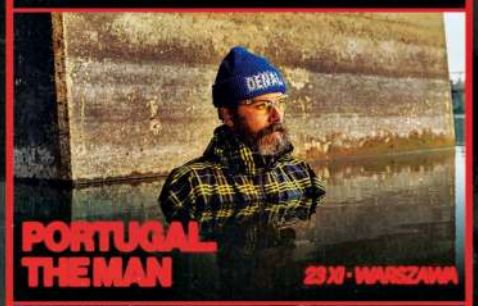
Bilety dostępne na: eBilet kup bilecik

eprasa.pl ef163c68fb

WINIARY BOOKINGS PRZEDSTAWIA











KUPUJ BILETY NA: WINIARYBOOKINGS.PL

ANTYRADIO PATRONEM WYBRANYCH KONCERTÓW JEST ANTYRADIO

REKLAMA



Wielka kumulacja

Nowe powieści literackich gwiazd, historia przenikająca współczesność, świat rzeczywisty, nadprzyrodzony i celebrycki. Czytelnicy dawno nie mieli takiej jesieni.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

Najważniejsza data sezonu to 14 października. Wtedy ukażą się aż trzy premiery literackich sław: nowa powieść Olgi Tokarczuk „Świata jest za dużo" (Wydawnictwo Literackie), Szczepana Twardocha „Waldkauz" (Marginesy) i Michała Witkowskiego „Substancja" (Znak Literanova). W listopadzie wyjdzie nowa powieść Joanny Bator, której tytuł rymuje się z tytułem Tokarczuk: „Więcej niż jeden świat" (Znak), a jeszcze we wrześniu dostaliśmy nową powieść Manueli Gretkowskiej „Milionerka" (Prószyński).

Mamy powrót narracji historycznych umiejscowionych na Dolnym i Górnym Śląsku. Tokarczuk opisuje Wrocław i Wałbrzych tuż po wojnie, wiosną 1946 r., kiedy wysiedlonych dawnych mieszkańców zniszczonej kamienicy zastępują przesiedleńcy ze Wschodu. Na gruzach Breslau zamieszkują więc ludzie z różnych stron świata, budują nowe życie, nie mając praktycznie niczego (nie licząc może drewnianych butów). W „Świata jest za dużo" Tokarczuk łączy losy bohaterów ze Lwowa, z Drohobycza, Breslau czy Buenos Aires, a także podąża wzdłuż Dniestru i Odry.

Ta opowieść, jak mówiła pisarka, jest najbardziej osobista w jej dorobku, bo dotyczy też historii jej rodziny, która przyjechała na Dolny Śląsk właśnie w tym czasie. Tokarczuk deklarowała również, że to jej ostatnia tak obszerna jej powieść, ale wielu twórców ogłasza swoje ostatnie książki, a potem pisze następne.

Szczepan Twardoch wraca z kolei na swój Górny Śląsk, akcja rozgrywa się w 1920 r. w miejscu, gdzie mieszają się języki: polski, niemiecki, śląski z angielskim i francuskim żołnierzy alianckich. Do Wilhelma Pisulli, dawniej pracującego w gliwickiej policji kryminalnej, a teraz w firmie Detektiv-Lux, przychodzi kobieta szukająca swojego dziecka. Tymczasem jego własny syn zaginął na wojnie, a żona z młodszym dzieckiem odeszła. Wszystko okazuje się inne, niż moglibyśmy się spodziewać. Nie jest to po prostu historyczna opowieść kryminalna, bo pojawia się tutaj również świat nadprzyrodzony, a tytułowy waldkauz to puszczyk.

Wałbrzych powraca również w nowej powieści Joanny Bator. „Więcej niż jeden świat" poprowadzi nas od Dolnego Śląska na północ Japonii i z powrotem – jest

© JACEK POREMBA, ŁUKASZ SOKÓŁ/IMAGINE PHOTOS, WOJCIECH OLSZANKA/EAST NEWS

eprasa.pl ef163c68fb





Od lewej: **Szczepan Twardoch powraca na Górny Śląsk, Michał Witkowski zabiera czytelników w podróż w czasie do Galicji, a Manuela Gretkowska chłoszcze dzisiejsze elity**

połączeniem różnych wątków, które pojawiały się w twórczości autorki, ale nigdy razem w jednej książce. Jedna z bohaterek, Eleonora Rybczyńska, zwana Rybą, słucha opowieści o japońskim rybaku i tak zaczyna się ta panoramiczna opowieść przekraczająca granice czasu i przestrzeni.

W podróż historyczną zabierze nas też Michał Witkowski w powieści „Substancja", która rozgrywa się w 1770 r. w pałacu Potockich w Krystynopolu, „galicyjskim Wersalu". W dusznej atmosferze magnackiej rezydencji toczą się intrygi, które nakręca Anna Potocka – żona najbogatszego magnata i jednocześnie największa dewotka w zamku. Na dworze trwa wieczny bal, szaleństwo, maski i przebieranki, wieczny karnawał, a w kuluarach Anna planuje kolejne posunięcia – za kogo wydać swojego tępego syna czy jak odzyskać skradziony bezcenny diament.

Barokowa i rozbuchana językowo opowieść o zemście, chciwości i namiętnościach ciekawie rymuje się ze współczesną powieścią Manueli Gretkowskiej, w której autorka bez taryfy ulgowej opisuje współczesny świat elit arystokratycznych, finansowych, celebrytów i „Januszów biznesu". Głupota, cynizm, okrucieństwo miesza się z bufonadą w tej bezwzględnej satyrze, w której Gretkowska nie oszczędza nikogo: ani kobiet, ani mężczyzn – wszyscy są zanurzeni w głupawce życia kulturalnego, w grze pozorów, która polega na skutecznym prezentowaniu siebie.

Gretkowska w „Milionerce" obnaża potworność tego świata, przystawia lustro współczesności i robi to z humorem, zresztą podobnie jak Witkowski. Czy to już wszystko, co nas czeka? Premiery ogłasza się teraz z bardzo krótkim wyprzedzeniem, niewykluczone więc, że tej jesieni spotkają nas jeszcze inne niespodzianki. ■

REKLAMA

10 lat
POLSKA OPERA KRÓLEWSKA

PREMIERY SEZONU 2026/2027

CLAUDIO MONTEVERDI
IL RITORNO D'ULISSE IN PATRIA
POWRÓT ULISSESA DO OJCZYZNY
Garstka / Bondara
20 listopada 2026

MIECZYSŁAW WAJNBERG
LADY MAGNESIA
LEONARD BERNSTEIN
TROUBLE IN TAHITI
Kluczyńska / Straszyńska
20 lutego 2027

ANTONIO VIVALDI
GRISELDA
Garstka / Raźniak
16 kwietnia 2027

WOLFGANG AMADEUS MOZART
DIE ENTFÜHRUNG AUS DEM SERAIL
UPROWADZENIE Z SERAJU
Kluczyńska / Rucińska
19 czerwca 2027

Teatr Królewski w Starej Oranżerii w Muzeum Łazienki Królewskie w Warszawie

The Fairy Queen, fot. K. Jóźwiak

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Polska Opera Królewska jest państwową instytucją kultury finansowaną przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.
MECENAS OPERY W DRODZE
MECENAS PROGRAMU POKazujemy OPERE
ORLEN
PARTNERZY
LOT
SKM
PATRON MEDIALNY
ams
PARTNER SPRZEDAŻY
biletomat
PLG
Bilety dostępne na biletomat.pl oraz w zakładce repertuar na stronie Polskiej Opery Królewskiej.

eprasa.pl ef163c68fb



Rękawice mocy

Cat Power w chwili załamania nagrała płytę stworzoną do wielkości. Po latach zagra ją w całości w Warszawie.

BARTEK CHACIŃSKI

Dwie złote rękawice bokserskie na łańcuszku nie trafiły na okładkę płyty „The Greatest" przypadkiem. Chan Marshall, 34-latka z Georgii, miała za sobą kilka mocnych uderzeń. Płyta „What Would the Community Think" przyniosła bardzo mocne wyznania (jak to o wykonanej kilka lat wcześniej aborcji), „Moon Pix" – świetne recenzje, „You Are Free" znakomicie się sprzedawała, a gośćmi na niej byli Dave Grohl (Foo Fighters) i Eddie Vedder (Pearl Jam). Alternatywny rock mocno zakorzeniony w bluesie, momentami też w soulu i folku, bardzo się podobał i zaowocował etykietką „królowej sadcore'u". Ów sadcore miał oznaczać muzykę niezbyt spieszną, balladową, oszczędną w środkach i bardzo ponurą.

Uwagę krytyków przyciągał wtedy także niedbały wizerunek artystki, jej szorstki sposób bycia. Pisząc o koncertach Cat Power – pod takim szyldem Marshall działała, odkąd muzyka oderwała ją od pracy w pizzerii w Atlancie – wspominali o braku popisów instrumentalnych i pasywno-agresywnej postawie na scenie. Formuła była zbyt punkowa jak na folk i zbyt folkowa jak na punk. Coraz częściej też się zdarzało, że po kilku akordach artystka zmieniała zdanie i grała inny utwór, prowokowała publiczność albo po prostu schodziła ze sceny. I jak to w takich sytuacjach bywało, mało kto się przejmował, ile z tej pozy Cat Power to prawda o samej Marshall. Trochę jak z Kurtem Cobainem, o którego samobójstwie napisała zresztą piosenkę: „I Don't Blame You" (Nie obwiniam cię). Kiedy ukazała się ta piosenka, w życiu Marshall trwał najbardziej dramatyczny okres.

Te rękawice można dziś odbierać bardziej jako symbol walki. Niekończąca się trasa koncertowa sprawiła, że życie osobiste Marshall nie istniało, jej ówczesny związek legł w gruzach, a ona sama rozpoczynała dzień od opróżniania hotelowego barku z alkoholem – jak opisała w „New York Timesie" Winter Miller – by resztę dnia spędzić z butelką whisky w ręce, a potem nafaszerować się Xanaxem przed koncertem.

Gdy album „The Greatest" był już gotowy, zamykała się na całe dnie, nie jadła. Miała myśli samobójcze i dziwne deliryczne omamy, słyszała głosy. W końcu wylądowała na tydzień w szpitalu psychiatrycznym. „Lekarz stwierdził u mnie epizod psychotyczny będący skutkiem ciężkiej, głębokiej depresji i przytłaczającego stresu. Przez pierwsze trzy dni właściwie tylko leżałam w łóżku, odmawiając rozmów, jedzenia czy nawet otwierania oczu" – mówiła w wywiadzie dla magazynu „Spin" późną jesienią 2006 r.

Sama płyta ukazała się już w styczniu tego samego roku, ale ze względu na stan autorki przesunięto trasę koncertową i całą akcję promocyjną. Mimo to okazała się kolejnym przełomem w jej karierze. Kiedy Chan dochodziła do siebie, recenzenci zwracali uwagę na wyjątkowy pomysł, emocjonalnie poruszające teksty i towarzyszącą im, momentami kontrastowo lekką muzykę.

Pomysł na takie zestawienie to połączenie różnych nurtów amerykańskiego Południa, które wychowało Marshall, pochodzącą z biednej białej rodziny, znającą doskonale życie *white trash*. Ukształtowały ją z jednej strony biały folk i country, z drugiej – soul, gospel i blues. I oba te żywioły splatają się na albumie „The Greatest". Autorka do pracy nad płytą ściągnęła doświadczonych muzyków ze sceny w Memphis – takich, którzy pracowali z Arethą Franklin czy Ale'em Greenem. Dodała sekcję dętą, idąc pograniczem wszystkich tych tradycji, co w wykonaniu dużego zespołu zrobiło wówczas furorę na scenie.

Dzisiejsza trasa koncertowa na 20-lecie albumu prezentuje całość jego programu w nieco bardziej kameralnej formule. „Kiedyś chciałam być największa/ Żaden wiatr ani wodospad nie mogły mnie zatrzymać" – zaśpiewa Marshall w tytułowym utworze w warszawskiej Stodole. A na bis wykona piosenki z opublikowanej w tym roku małej płyty z coverami. Ale czy będzie to „Try Me" Jamesa Browna czy „Nothing Compares 2U" napisane przez Prince'a i śpiewane przez Sinéad O'Connor – dopiero się przekonamy.

Ta nowa płyta ma te same rękawice bokserskie na okładce. Ich zagadkę Marshall rozszyfrowała już dawno w najprostszy sposób – są dowodem jej fascynacji postacią pięściarza Muhammada Alego – to on miał przydomek The Greatest. Tyle że kontekst się zmienił: oryginalny album powątpiewał w możliwość osiągnięcia wielkości, a z perspektywy czasu sam okazał się wielki.

Cat Power, Warszawa, Stodoła, 14 października

eprasa.pl ef163c68fb

Brzmi i wygląda



© TODD OWYOUNG/GETTY IMAGES, JOSE SENA GOULAO/EPA/PAP

Jakie możliwości daje dziś przemysł muzyczny? Przekonali się o tym członkowie grupy Jungle. Zaczynali w 2013 r., a już rok później – jeszcze przed płytowym debiutem – trafili na listę najbardziej obiecujących brytyjskich artystów, którą przygotowuje BBC. Założyciele Jungle nie pokazywali twarzy, podpisując się wówczas jako J i T, co oczywiście przyjęto jako jasną inspirację duetem Daft Punk – tym bardziej że i w brzmieniu Brytyjczyków dominowały echa starych nurtów funk i disco. A świat był świeżo po premierze bestsellerowego „Random Access Memories" Daft Punk.

Tymczasem u Jungle chodziło raczej o nieśmiałość niż o wizerunek. Choć talent do pisania chwytliwych melodii na tanecznym beacie mieli od początku, czego dowodem „Busy Earnin'" z wydanej w lipcu 2014 r. płyty „Jungle". „Po prostu nie chcemy pokazywać swoich twarzy na profilu na Facebooku – bo co to właściwie daje? Wolimy umieścić w teledysku kogoś, kto potrafi tańczyć, jest w tym znacznie lepszy i po prostu lepiej wygląda" – deklarowali muzycy.

Zresztą anonimowość – a początkowo dopatrywano się członków Jungle właśnie w postaciach tancerzy z pierwszych klipów – kazała im dość szybko porzucić koncerty. Występami na żywo i kolejnymi płytami zgromadzili wokół siebie szeroką widownię, ale przełom miał przynieść dopiero rok 2023 i wydany wtedy album „Volcano" z piosenką „Back On 74". W jej wideoklipie J Lloyd, Tom McFarland i nowa członkini grupy Lydia Kitto znów postawili na choreografię. Stworzył ją często pracujący dla artystów muzycznych Holender Shay Latukolan. I okazała się na tyle atrakcyjna, że na TikToku błyskawicznie pojawiły się poradniki, jak to wykonać, no i same amatorskie wykonania.

To z kolei podbiło zainteresowanie samą soulowo-funkową piosenką, która dziś z 600 mln odsłuchów na samym tylko Spotify jest największym hitem Jungle. Utwór zmultiplikował fanów formacji i to dzięki niemu tegoroczny koncert Brytyjczyków w Polsce odbędzie się w potężnej łódzkiej Atlas Arenie. Na scenie Jungle swoje utwory – dziś bardziej tradycyjnie aranżowane, mniej zależne od elektroniki – prezentują w siedmioosobowym składzie. A tańczy widownia. BCH

Jungle, Łódź, Atlas Arena, 10 listopada

REKLAMA





„Wiedźmin: Muzyka Kontynentu" – aranżacjom towarzyszą efekty wizualne

Gra orkiestra

Wiedźmin, androidy i łowcy przygód, czyli symfoniczne granie.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

Początki oprawy graficznej i muzycznej gier wideo są bardzo podobne. Obraz składał się z prostych, symbolicznych pikseli, dźwięk – z równie umownych elektronicznych tonów. Najpierw były efekty specjalne, potem krótkie „muzyczki" towarzyszące ekranom tytułowym, wreszcie – całe ścieżki dźwiękowe budujące atmosferę gry. Coraz lepsze układy dźwiękowe pozwalały kompozytorom tworzyć coraz bardziej złożone, polifoniczne utwory.

Mimo ograniczeń elektronicznego brzmienia potrafiły one nadać epicki wymiar przygodom rozgrywającym się w fantastycznych krainach. Gdy grafika wymagała jeszcze wysilania wyobraźni, muzyka aż wpraszała się do sal koncertowych. 20 sierpnia 1987 r. w tokijskiej Suntory Hall zabrzmiały orkiestrowe suity z dwóch pierwszych części „Dragon Quest", skomponowane przez Kōichiego Sugiyamę (w programie znalazł się również „Karnawał zwierząt" Saint-Saënsa). Symfoniczna aranżacja przypadkiem pokazała przyszłość ścieżek dźwiękowych z gier. W epoce multimediów gry mogły już pomieścić nagrania prawdziwych instrumentów, muzyków i całych orkiestr. Zanim do tego doszło, pełnego muzycznego doznania trzeba było szukać na scenie.

Japończycy rozwijali ten pomysł przez całe lata 90. Dominował repertuar z epickich gier fantasy („Dragon Quest", „Final Fantasy", „Legend of Zelda" czy „Wizardry"), ale można też było posłuchać „Mario Bros.". Zachód nadrobił zaległości w XXI w. W 2003 r. podczas Games Convention w Lipsku odbył się Symphonic Game Music Concert. Dwa lata później w Hollywood Bowl wystartowało Video Games Live: orkiestra, chór, wielkie ekrany, fragmenty rozgrywki i światła. W 2007 r. w Sztokholmie zadebiutowało „Distant Worlds", seria koncertów poświęcona „Final Fantasy".

Tak powstał znany do dziś format – filharmonia gra, a za nią płonie wielki ekran z grą. To jeden ze sposobów, by wrócić do emocji związanych z grą bez konieczności odpalania konsoli. 13 października 2026 r. w Krakowie będzie można usłyszeć „NieR: Orchestra Concert 12026 [YoRHa]". W przypadku „NieR" koncert nie służy jednak tylko przypomnieniu ulubionych utworów. Przygotowana specjalnie na potrzeby widowiska narracja rozwija opowieść ze świata gry. Jeszcze inną drogę pokazuje „Clair Obscur: Expedition 33". Ścieżka dźwiękowa Loriena Testarda dostała własne życie – trafiła na pierwsze miejsce listy Billboard Classical Albums, a w 2027 r. wyruszy w międzynarodową trasę koncertową „A Painted Symphony", z udziałem kompozytora, wokalistki Alice Duport-Percier i Orchestre Curieux (4 maja 2027 r. w Krakowie).

Polska dołączyła do tego koncertowego obiegu w 2009 r., gdy Video Games Live dotarło na warszawski Torwar. Dwa lata później krakowski Festiwal Muzyki Filmowej zaprosił „Distant Worlds", a podczas tego samego koncertu premierowo wykonano suitę z „Wiedźmina 2". W 2018 r. we wrocławskim Narodowym Forum Muzyki odbył się pierwszy Game Music Festival. Grano „Heroes of Might and Magic", „Grim Fandango", „Ori" i muzykę studia Blizzard.

Szczególną karierę koncertową zrobiła muzyka z „Wiedźmina 3". Przy pracy nad nią CD Projekt RED sięgnął po zespół Percival Schuttenbach, którego nagrania pasowały do szukanego folkowego brzmienia. Początkowo planowano wykorzystać istniejący repertuar zespołu, ostatecznie muzycy weszli również do studia i nagrali nowy materiał.

Ludowe korzenie muzyki okazały się równie ważne w budowaniu klimatu co odtworzone z detalami staropolskie wioseczki. W maju 2016 r. Festiwal Muzyki Filmowej w Krakowie zakończył „Video Game Show: Wiedźmin 3: Dziki Gon". W Tauron Arenie wystąpili Percival, AUKSO i chór Pro Musica Mundi pod dyrekcją Marka Mosia. Ponad dwóch godzin muzyki z gry i dodatków słuchało 12 tys. osób. Rok później Percival ruszył z „Wild Hunt Live" w trasę po Polsce.

Dziesięć lat po premierze gry ruszyła trasa „Wiedźmin: Muzyka Kontynentu". Czternaście osób, w tym członkowie Percival Schuttenbach, wykonuje aranżacje Marcina Przybyłowicza. Muzyce towarzyszą fragmenty rozgrywki i efekty wizualne. Po ponad 40 koncertach w Stanach Zjednoczonych i tournée po Azji jesienią 2026 r. trasa wraca do Europy, by odwiedzić ponad 25 miast, w tym Kraków i Trójmiasto. ■

eprasa.pl ef163c68fb

Muzyka miast


Roksana Kwaśnikowska

Dwa przeboje XX-wiecznej muzyki z Nowego Jorku i Buenos Aires zabrzmią na koncercie w Krakowie.

Na formę „Błękitnej rapsodii" o wiele większy wpływ miały światła i rytmy Nowego Jorku niż klasyczne formy. George Gershwin stworzył ją w 1924 r. dla zespołu Paula Whitemana, którego działalność bywa dziś postrzegana jako zawłaszczenie kulturowe. Jednak trzeba pamiętać, że choć była to epoka segregacji rasowej, Whiteman blisko współpracował z czarnoskórymi muzykami.

Gershwin także jako biały muzyk balansował na skraju, łapiąc puls czarnej muzyki, ale przepuszczając ją przez własne klasyczne wykształcenie i wrażliwość. „Rapsodia", choć odbiorcy natychmiast ją pokochali, wzbudziła sprzeczne reakcje krytyków; mówiono, że to nie jazz, ale też nie koncert fortepianowy. To prawda: nie jest to klasyczny koncert, lecz swobodna fantazja (ponoć partię solowego fortepianu kompozytor pianista na premierze częściowo improwizował, a zapisał ją później), symfoniczny blues, o którym Gershwin mówił później: „Słyszałem to jako swego rodzaju kalejdoskop Ameryki".

„Cztery pory roku w Buenos Aires" Astora Piazzolli mają zupełnie inną genezę. Kompozytor i bandoneonista, twórca nowego tanga, napisał je dla własnego kwintetu w latach 1965–70. I on miał za sobą klasyczne wykształcenie, m.in. u Nadii Boulanger, lecz bliższa mu była muzyka ulic i kawiarni rodzinnego miasta. W oryginale utwór nosi tytuł „Estaciones porteñas" – słowo *porteño* oznacza tu dżentelmena z Buenos Aires. W ostatnich dekadach popularna stała się aranżacja na skrzypce i orkiestrę smyczkową autorstwa Leonida Diesiatnikowa, rosyjskiego kompozytora (od czasu wojny poza Rosją), opracowana dla skrzypka Gidona Kremera i jego orkiestry Kremerata Baltica, z dyskretnymi aluzjami do słynnych „Pór roku" Vivaldiego.

Partię fortepianu w „Rapsodii" Gershwina wykona Tomasz Marut, absolwent wrocławskiej uczelni muzycznej, obecnie pedagog, ale wciąż koncertujący. Skrzypaczką w dziele Piazzolli będzie Roksana Kwaśnikowska, absolwentka uczelni warszawskiej i również jej pedagożka, laureatka międzynarodowych konkursów i prymariuszka Lutosławski Quartet. Ciekawy jest patron towarzyszącej im Orkiestry Kameralnej Kawalera de Saint-George, utworzonej w 2017 r. przez Jacka Marcinowa i Radosława Dronia: Joseph Bologne, Chevalier de Saint-George urodził się w 1745 r. na Gwadelupie jako syn czarnoskórej niewolnicy z Senegalu i jej pana. Był szermierzem, skrzypkiem i kompozytorem. Zespół wykonuje jego muzykę we Francji, ale tym razem jej nie zagra.

DOROTA SZWARCMAN

„Błękitna rapsodia" – George Gershwin & Astor Piazzolla, Kraków, ICE Kraków Congress Centre, 29 listopada

© MATERIAŁY PRASOWE (2)

REKLAMA

Henry Lewis, Jonathan Sayer, Henry Shields

Coś poszło nie tak

The Play That Goes Wrong

reżyseria Aneta Groszyńska-Kącka, tłumaczenie Elżbieta Woźniak,
scenografia Grzegorz Policiński, kostiumy Zuzanna Markiewicz,
ruch sceniczny Ewelina Adamska-Porczyk,
występują: Bartosz Porczyk, Arkadiusz Brykalski,
Mikołaj Woubishet, Eliza Borowska, Irena Sierakowska,
Szymon Roszak / Mikołaj Chroboczek, Mateusz Grydlik,
Bartosz Żukowski / Maciej Brzoska

premiera 7 listopada



Partner Strategiczny Teatru

Partner Teatru

instytucja kultury miasta stołecznego Warszawy

Bank Polski

Bielany

teatrkomedia.pl

Teatr Komedia

eprasa.pl ef163c68fb


Capella Regia Polona

Królewska jesień

DOROTA SZWARCMAN

Muzyka czasu królów i premiera przedostatniej opery Claudia Monteverdiego – to najważniejsze wydarzenia tej jesieni w Polskiej Operze Królewskiej.

Po raz czwarty już, od 24 września do 18 października, Polska Opera Królewska prezentuje na festiwalu In Tempore Regum twórczość – jak sama nazwa wskazuje – pamiętającą czasy monarchii w Polsce. Siedem wydarzeń, głównie koncertów, wyjdzie z głównego miejsca POK, czyli Teatru Królewskiego w Łazienkach, poza powtórzeniem – po kilku latach – baletu „Noverre en action", którego scenarzystką, reżyserką i choreografką zarazem jest znakomita specjalistka w dziedzinie tańca barokowego Romana Agnel. Jean-Georges Noverre był wybitnym baletmistrzem służącym na dworze w Stuttgarcie; kiedyś proponował swoje usługi Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu, jednak bezskutecznie.

Na inauguracji festiwalu w Bazylice św. Krzyża soliści i zespoły POK zaprezentują Mszę D-dur Johanna Gottloba Harrera, następcy Johanna Sebastiana Bacha w Kościele św. Tomasza w Lipsku, a wcześniej pracującego dla Augusta III Sasa. Dzieło powstało prawdopodobnie w Warszawie. Z kolei włoski twórca Teodoro Riccio, związany z dworem Stefana Batorego, będzie bohaterem drugiego festiwalowego koncertu w Kościele Nawiedzenia NMP w wykonaniu zespołu wokalnego Punctum Consort.

Johann Adolf Hasse, twórca niezwykle popularny w swoich czasach, kapelmistrz na dworze Sasów, oratorium „Sanctus Petrus et Sancta Maria Magdalena" stworzył jednak nie dla Warszawy ani Drezna, lecz dla Wenecji. Soliści POK i Capella Regia Polona wykonają je w sali Nowej Miodowej. Wycieczkę w stronę brytyjskiego dworu przez muzykę tamtejszych twórców zaproponuje w Pałacu na Wodzie w Łazienkach Krakowski Consort Fletów Prostych; w tym samym miejscu utwory Carla Philippa Emanuela Bacha, Josepha Haydna i Wolfganga Amadeusa Mozarta będzie grać klawesynista Marcin Świątkiewicz, laureat Paszportu POLITYKI. Ostatni koncert festiwalu na Zamku Królewskim to prawdziwa gratka: „Latona in Delo" Johanna Christopha Schmidta, divertimento w wersji koncertowej. Schmidt również związany był z dworem Augusta II, a inspiracją był związek króla z Urszulą Lubomirską. Prawdopodobnie będzie to pierwsze od czasów saskich wykonanie tego utworu w Warszawie. Innym ważnym wydarzeniem tej jesieni będzie listopadowa premiera „Il ritorno d'Ulisse in Patria" Claudia Monteverdiego. Po pierwszej jego operze („Orfeuszu") i ostatniej („Koronacji Poppei") przyszła pora na przedostatnią. Wspaniała muzyka z pogłębioną treścią mitu zostanie w Teatrze Królewskim wystawiona w reżyserii Roberta Bondary, znanego tancerza i choreografa, więc nic dziwnego, że nacisk ma być położony na ruch. Śpiewać będzie czołówka solistów związanych z Polską Operą Królewską z towarzyszeniem zespołu Capella Regia Polona. ■


Marcin Świątkiewicz

eprasa.pl ef163c68fb

Jak kochać Chopina


„Pani Pylińska i sekret Chopina" – spektakl objazdowy w reżyserii Roberta Glińskiego

Prozę popularnego francuskiego pisarza Erica-Emmanuela Schmitta można cenić lub nie, ale jedno jest pewne: autor jest wrażliwy na muzykę i wciąż powraca do tego tematu. Dlaczego – można zrozumieć, gdy przeczyta się książeczkę „Pani Pylińska i sekret Chopina", której treść ponoć wzięta jest z życia. Autor – tak jak powieściowy Eryk – chcąc nauczyć się grać Chopina, trafił do dziwnej nauczycielki muzyki, polskiej emigrantki, która uczyła go w nietypowy sposób.

Jak było naprawdę, nie wiadomo, ale w książeczce pani Pylińska każe kłaść mu się pod fortepian i wyczuwać wibracje, zerwać w parku kwiatek, nie strącając ani kropli rosy, a z czasem nawet... uprawiać miłość, by dowiedzieć się, co to czułość, pożądanie. Lekcje z panią Pylińską nie nauczyły Eryka dobrze grać, ale nauczyły kochać Chopina, a przede wszystkim kochać życie.

Polskie tłumaczenie Jana Nowaka z powodzeniem wystawiał krakowski Teatr Bagatela; muzykę Chopina dobierał sam Janusz Olejniczak. Własną wersję objazdową pokazuje od kilku lat Robert Gliński. W 2020 r. odbyła się jej pandemiczna premiera internetowa, a w 2022 r. została wystawiona już scenicznie, by uczcić 50-lecie pracy scenicznej Joanny Żółkowskiej, i jeździ po kraju. Najbliższy spektakl – 16 października w Sali Koncertowej Radia Wrocław. Tu jubilatka obsadzona została w roli ekscentrycznej nauczycielki. Towarzyszą jej osoby, które podobnie jak ona są dobrze znane szerokiej publiczności z popularnych seriali TVP: ona sama i jej córka Paulina Holtz – z „Klanu", a grający Erica Kacper Kuszewski – z „M jak miłość". Spektaklowi towarzyszy muzyka Chopina wykonywana na żywo przez pianistkę jazzową Lenę Ledoff. Urodzona w Petersburgu, ale od 35 lat mieszkająca w Polsce, ma klasyczne wykształcenie pianistyczne, a kompozytor z tytułu sztuki jest jej ulubionym. Poświęciła mu wiele recitali, a nawet wspomnienia ze swego interesującego życia zatytułowała „Biedny Chopin". Bo Chopin inspiruje. DS

© MATERIAŁY PRASOWE (2), LESZEK ZYCH

REKLAMA



eprasa.pl ofe



Kamera! Akcja!

Filmowa jesień: od nowej premiery Hirokazu Koreedy po trzecią „Diunę”.

JAKUB DEMIAŃCZUK



„Cudze rzeczy”

Festiwal w Gdyni symbolicznie otworzył filmową jesień. Przed kinomanami kilka miesięcy skrupulatnego przeglądania harmonogramów festiwalowych projekcji i trudnych repertuarowych wyborów. Jest w czym wybierać i na co czekać.

Przełom września i października upłynie pod znakiem kina dla dzieci i młodzieży. **Festiwal Młode Horyzonty** (25 września – 4 października) odbywa się w 20 miastach Polski, bo organizatorzy stawiają nie tylko na rozrywkę i edukację, lecz chcą także zapewnić dostęp do filmów jak największej liczbie widzów (część tytułów będzie też pokazywana online). W programie znalazły się m.in. ważne tytuły z Japonii: nowy film Hirokazu Koreedy „Look Back”, opowieść o przyjaźni dwóch nastolatek marzących o rysowaniu mangi, a także pokazywany w konkursie głównym tegorocznego Berlinale „Nowy świt” Yoshitoshiego Shinomiyi, animacja o młodym człowieku, który chciałby ocalić należącą niegdyś do jego ojca fabrykę fajerwerków. Prosto z Gdyni przyjedzie zaś na Młode Horyzonty „Ryjówka przeznaczenia” Marcina Wasilewskiego i Jacka Rokosza, utrzymana w konwencji przygodowego fantasy adaptacja popularnego komiksu.

Październik to przede wszystkim **Warszawski Międzynarodowy Festiwal Filmowy** (9–18 października), od 2025 r. pod nowym kierownictwem Joanny Szymańskiej-Szcześniak i Bartka Pulcyna odbudowujący swoją rangę i pozycję. W imponującym programie znalazły się zarówno największe hity europejskich festiwali („Fiorď” Cristiana Mungiu, „Tchórz” Lukasa Dhonta, „Papierowy tygrys” Jamesa Graya z Adamem Driverem i Scarlett Johansson na czele gwiazdorskiej obsady, „Minotaur” Andrieja Zwiagincewa), jak i polskie premiery, m.in. nowe filmy Grzegorza Dębowskiego („Cudze rzeczy”) oraz Macieja Sobieszczańskiego („Przez ścianę”). Odbędzie się specjalny pokaz monumentalnej dwuczęściowej biografii „De Gaulle”, a także koncert jazzowej formacji Omasta, która zagra do wizualizacji zmontowanej z dokumentów realizowanych przez Wytwórnię Filmów Oświatowych.

Pod koniec października warto dodatkowo rozważyć wyprawę do Łodzi na **Festiwal Kamera Akcja** (22–25 października), gdzie będzie można zobaczyć m.in. szwajcarskie „Wilki” Jonasa Ulricha, ze znakomitym Bartoszem Bielenią w roli wokalisty zespołu blackmetalowego, oraz do Warszawy na **Splat!FilmFest** (22–31 października), na którym oprócz pokazów nowości i klasyków kina grozy zaplanowano także specjalne wydarzenia z okazji setnej rocznicy urodzin Rogera Cormana, jednego z najważniejszych twórców w dziejach horroru.

Listopad to przede wszystkim największe w skali międzynarodowej święto operatorów filmowych, czyli festiwal **ToruńCAMERIMAGE** (7–14 listopada), który niezmiennie przyciąga do Polski największe gwiazdy światowego kina, a wśród pokazów, nie tylko konkursowych, znajdą

eprasa.pl ef163c68fb



Scarlett Johansson w „Papierowym tygrysie”



„Fiord”

© MATERIAŁY PRASOWE (3)

się najważniejsze filmy sezonu. Lecz późna jesień to dla kinomanów także szansa na filmowe podróże w różne rejony świata. Najpierw nasi wschodni sąsiedzi, czyli **Ukraina! Festiwal Filmowy** (2–9 listopada, Warszawa), gdzie można spodziewać się m.in. nowego filmu Natalki Vorozhbyt „Demony”, a potem kierunek Wielka Brytania, czyli **British Film Festival** (10–15 listopada, Poznań) – impreza wciąż młoda (to dopiero trzecia edycja), ale z wielkim potencjałem. Szczególnie że poza nowościami oferuje szeroki dostęp do klasycznych produkcji, często niedostępnych w streamingu i rzadko pokazywanych. W tym roku odbędzie się m.in. przegląd filmów z Alanem Rickmanem, zorganizowany dla uczczenia dziesiątej rocznicy śmierci wybitnego aktora (będzie można zobaczyć m.in. dramat „Z zamkniętymi oczami” oraz „Rozważną i romantyczną”).

A jeśli nie Anglia, to może Azja? Jubileuszowa 20. edycja **Festiwalu Pięć Smaków** (10–17 listopada, Warszawa) aż kipi od atrakcji. Od kina wietnamskiego (dwie dekady temu festiwal startował właśnie jako przegląd filmów z tego kraju), poprzez retrospektywę koreańskiego reżysera Na Hong-jina (nie wyłączając nowego filmu, pokazywanego w Cannes horroru SF „Witajcie w Hope”), po pierwszą w Polsce retrospektywę Tsui Harka, wybitnego hongkońskiego reżysera, scenarzysty i producenta kina akcji.

American Film Festival (17–22 listopada, Wrocław) coraz mocniej stawia na klasykę (w tym roku m.in. specjalne pokazy „Thelmy i Louise” Ridleya Scotta, „Ghost Dog – drogi samuraja” Jima Jarmuscha oraz „Drabiny Jakubowej” Adriana Lyne’a), lecz nie zapomina też o nowościach kina niezależnego. W programie znalazły się m.in. przebój tegorocznego Sundance „The Only Living Pickpocket in New York” Noaha Segana z Johnem Turturro w roli głównej, dokumentalny portret wybitnej tenisistki Billie Jean King „Give Me the Ball!” i najnowsze dzieło Josephine Decker „Chasing Summer”.

Listopad można zamknąć spotkaniem z kinem afrykańskim na festiwalu **Afrykamera** (23–29 listopada, Warszawa), potem na początku grudnia jeszcze ważne coroczne spotkanie z kinem dokumentalnym w ramach **Watch Docs** (4–13 grudnia Warszawa) i do końca roku będzie można odpocząć od festiwali. Choć nie od kina, bo w grudniu czekają nas premiery kilku potężnych filmowych hitów, z trzecią częścią „Diuny” na czele. Na niedobór filmowych atrakcji nie będzie można narzekać. ■

REKLAMA



eprasa.pl ef163c68fb





© ARCHIWUM PRYWATNE (2)

Beata Ewa Białecka, „Diana, bogini łowów" (2024 r.). Obok: **Ryszard Woźniak, „Cytat: Oczekuję od rządzących..." (2003 r.).**

Yin i yang

Dwie bardzo ciekawe wystawy indywidualne, nieźle się uzupełniające, będą jesienią elektryzowały publiczność w radomskiej Elektrowni.

PIOTR SARZYŃSKI

Bohaterką odsłony pierwszej jest Beata Ewa Białecka. Artystka znana i ceniona przez krytyków i kolekcjonerów, ale ciągle jeszcze mniej rozpoznawalna wśród miłośników sztuki. To okazja, by ów stan nieco zmienić. Jest uczennicą Jerzego Nowosielskiego i można zauważyć, że jej malarstwo ma kilka wspólnych cech ze sztuką dawnego pedagoga. Przede wszystkim pewien rodzaj skupienia i metafizycznej ciszy, liryzm, subtelne budowanie nastroju, niedopowiedzenie. Równocześnie malarstwo Białeckiej podąża własną drogą: obficie czerpie z symboliki mitologicznej i chrześcijańskiej, przepracowuje ją, osadza we współczesnych realiach, wchodzi z nim w dyskurs.

Tytuł „Na mój obraz i podobieństwo", odwołujący się do Księgi Rodzaju, sugeruje, że artystka odważnie wkracza w obszar pytań o naszą obecność w świecie, o człowieczeństwo i jego atrybuty. Bada relacje między sacrum a profanum, akceptacją a odrzuceniem, pięknem a brzydotą. Ze szczególną uwagą zwracaną na figurę kobiety i jej pozycji we współczesnej kulturze. Nie znajdziemy w jej malarstwie prostych odpowiedzi, ale raczej mozaikę lub może labirynt symboli, odwołań, nawiązań, którym musimy samodzielnie sprostać. A przy okazji delektować się doskonałym i bardzo osobistym warsztatem malarskim.

Ciekawym kontrapunktem dla uduchowionego malarstwa Białeckiej jest druga z wystaw – Ryszarda Woźniaka, współtwórcy i aktywnego uczestnika kipiącej od ekspresji Gruppy, jednej z najważniejszych polskich formacji artystycznych ostatniego półwiecza. W Elektrowni realizowany jest ciekawy zamysł, by w kolejnych odsłonach prezentować dorobek członków Gruppy z okresu ich samodzielnej już aktywności, kontynuowanej po rozpadzie formacji. W ten sposób zawitała już do Radomia sztuka Ryszarda Grzyba (2023 r.) oraz Pawła Kowalewskiego (2024 r.). Woźniaka poznajemy poprzez ponad sto prac powstałych w ostatnim ćwierćwieczu, można więc powiedzieć, że to reprezentacja duża i uważna.

Tytuł wystawy, „Lunapark Europa", to równocześnie nazwa cyklu prac, które nawiązują do działającego na warszawskich Stegnach w latach 1995–98 wesołego miasteczka. Woźniak uważnie obserwuje zmieniający się wokół niego (i wokół nas) świat, a jego prace to – jak opisuje je kurator wystawy – „metaforyczna opowieść dotycząca zachowań jednostek i grup społecznych wobec wyzwań i konsekwencji związanych z aspiracjami i obecnością Polski w Unii Europejskiej".

Beata Ewa Białecka, „Na mój obraz i podobieństwo", do 8 listopada, Ryszard Woźniak, „Lunapark Europa", do 22 listopada. Obie wystawy w Mazowieckim Centrum Sztuki Współczesnej „Elektrownia" w Radomiu.

eprasa.pl ef163c68fb

WYDAWNICTWO
WARSZTATY KULTURY

Nowości książkowe
wydawnictwa Warsztaty Kultury



Wołodymyr Danyłenko
Klatka dla wilgi

Pod koniec lat 1970. wiejska bibliotekarka Alina, przypadkiem trafia w prowincjonalnym Żytomierzu do mieszkania tłumacza Homera. Spotkanie z nim całkowicie odmienia życie głównej bohaterki.



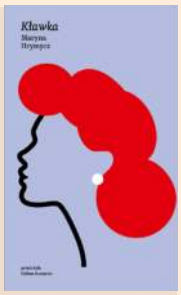
Hanna Jankuta
Konstytucja

Czym jest prawo? Co świat robi człowiekowi i co człowiek światu? Ten zbiór wierszy napisanych na marginesach ustawy zasadniczej Białorusi zachęca do zastanowienia się nad tym tematem.



Tania Malarczuk
Bestiariusz

Nawiązujący do swoich średniowiecznych pierwowzorów Bestiariusz to zbiór dziesięciu opowiadań. To historie ludzi, których łączy samotność.



Maryna Hrymycz
Kławka

Powieść zabiera czytelnika do Kijowa z roku 1947. Odbudowująca się po II wojnie światowej stolica Ukrainy jest bohaterem równie ważnym co tytułowa Kławka, sekretarka w Związku Pisarzy.



Alhierd Bacharewicz
Przeszukanie w muzeum

Zbiór opowiadań połączonych wspólnym tematem: masowymi protestami na Białorusi. Książka została napisana na podstawie doświadczeń autora, który był uczestnikiem tych wydarzeń.



Dzwinka Matijasz
Mam na imię Warwara

Pełna humoru i błyskotliwych dygresji opowieść o dorastaniu, przyjaźni, rodzinnych sekretach oraz odkrywaniu własnej osobowości.



Iwan Semesiuk
Serce Apaczy

Tom wierszy o miłości. A także o przyjaźni, o stracie i nadziei, zresztą też o śmierci.



Łukasz Marcińczak
Odyseusze z Maisons-Laffitte

Tomik esejów przedstawia sylwetki głównych twórców paryskiej „Kultury". Pokazuje ich przemyślenia na temat sensu życia i swoich dzieł.



Anna Dąbrowska
NASZ NASZEGO NASZEMU NASZYM

Książkę Anny Dąbrowskiej można czytać jako oskarżenie i jako rachunek sumienia, jako zimną analizę polityki strachu i jako poetycką spowiedź poranionej duszy.



Serhij Żadan
Walka bez reguł

To poezja Charkowa i świata – pełna obrazów miasta, stepu, morza i wojny, głosów ludzi, natury i historii.

Te oraz inne książki znajdziesz na
wydawnictwo.warsztatykultury.pl

LITERARY EASTERN EXPRESS
WSCHODNI EXPRESS
Dofinansowane przez Unię Europejską

eprasa.pl ef163c68fb



Wszystko dla Radka

Andrzej Duda najwyraźniej zapomniał, jaką rolę odegrał w intrydze, która wyniosła do władzy w Polskim Komitecie Olimpijskim aresztowanego niedawno Radosława Piesiewicza. Pora mu więc o tym przypomnieć.

MARCIN PIĄTEK

Wyścig o odcinanie się od Radosława Piesiewicza, byłego już prezesa Polskiego Komitetu Olimpijskiego, trwa w najlepsze. Piesiewicz przynajmniej do końca listopada posiedzi w areszcie, bo prokuratura ma uzasadnione obawy, że będzie wpływał na świadków w śledztwie, w którym postawiono mu zarzuty płatnej protekcji, zagrożone karą ośmiu lat więzienia. Mógłby też wpływać na innych świadków, bo po kilkunastu miesiącach stagnacji nabiera tempa inne postępowanie, w którym Piesiewicz podejrzewany jest o malwersacje finansowe, jakich miał się dopuścić jako główny rozgrywający w polskiej koszykówce. Z PKOl płyną informacje, że aresztowany prezes zostawił po sobie 3,5 mln zł długu, a olimpijska centrala była obiektem podejrzanych transakcji, do których Piesiewicz wciągnął nawet własną żonę.

Dziś skojarzenia z Piesiewiczem są niemile widziane, a do udziału w utorowaniu mu kariery lepiej się nie przyznawać. W kwietniu 2023 r., tuż przed wyborami na szefa PKOl, POLITYKA ujawniła, że dużą rolę w wyścigu o fotel prezesa odegrało spotkanie zorganizowane w Pałacu Prezydenckim z udziałem Andrzeja Dudy. W jego efekcie z kandydowania niespodziewanie zrezygnował dotychczasowy prezes PKOl Andrzej Kraśnicki, co otworzyło Piesiewiczowi drogę do wygranej. Niedawno przypomniał o tym czterokrotny mistrz olimpijski Robert Korzeniowski, szykujący się do zaplanowanych na wiosnę wyborów prezesa PKOl.

Na wypowiedź Korzeniowskiego gniewnie zareagował Andrzej Duda. Opublikował na portalu X wpis, w którym zaprzeczał, jakoby naciskał na prezesa Kraśnickiego, by ten ustąpił. Dodał też, że zawsze cenił Kraśnickiego i nie tylko nie namawiał go do rezygnacji, ale „był przekonany, że powinien kandydować". I że był zaskoczony decyzją Kraśnickiego o rezygnacji, o czym zresztą ówczesny prezes PKOl poinformował głowę państwa „w obecności świadków". – *A tymi świadkami byli Radosław Piesiewicz, Jacek Sasin oraz Tomasz Poręba* – opowiada A., osoba znająca przebieg spotkania. – *To, że Andrzej Kraśnicki odpuścił, akurat się zgadza. Ale to na tym spotkaniu, zorganizowanym pod patronatem Dudy w Pałacu Prezydenckim, został do tego zmuszony.*

Kraśnicki miał prawo wierzyć, że ma po swojej stronie prezydenta Dudę. Obaj panowie byli w dobrej komitywie. Duda chętnie obracał się w środowisku sportowym, bywał na imprezach i wydarzeniach, również tych organizowanych przez PKOl, chciał sprawiać wrażenie „pierwszego kibica". – *Andrzej Kraśnicki, niezależnie od poglądów, jakie miał, uważał, że prezydentowi kraju należy się szacunek. Poznał Dudę z prezydentem MKOl Thomasem Bachem i na pewno miał udział w przyznaniu Dudzie w 2022 r. Złotego Orderu Olimpijskiego. To najwyższe odznaczenie MKOl, a na Dudzie zrobiło wrażenie, że je dostał, no i wręczył mu je sam Thomas Bach* – opowiada A.

W marcu 2023 r. coraz głośniej mówiło się o tym, że Piesiewicz, grając atutową kartą 300 mln zł ze spółek Skarbu Państwa – które wcześniej dzięki Sasinowi płynęły do koszykówki, gdzie Piesiewicz mógł je rozdzielać i wydawać po uważaniu – pokona w wyborach Kraśnickiego, stojącego na czele PKOl od 13 lat. – *Andrzej był przekonany, że ma w środowisku*

© ADAM WARŻAWA/PAP, TOMASZ WIKTOR/PAP

eprasa.pl ef163c68fb

duże poparcie. Wiele osób, patrząc mu prosto w oczy, zapewniało, że na niego zagłosuje. A tymczasem po cichu zmienili front i już dzielili pieniądze, jakie obiecał im Piesiewicz – opowiada były pracownik PKOl.

Kraśnicki wyszedł ze spotkania u prezydenta zniesmaczony i wstrząśnięty. – *Usłyszał, że dla dobra sportu powinien ustąpić. Bo komitet dostanie pieniądze od państwowych spółek, ale pod warunkiem że na jego szefa zostanie wybrany Piesiewicz. Czyli, że jeśli Andrzej będzie się stawiał, kasy nie będzie. Zapewniono go również, że otrzyma stanowisko prezesa honorowego, będzie miał w siedzibie PKOl swoje biuro i będzie mógł się udzielać w olimpijskich organizacjach międzynarodowych. Aha, i jeszcze, że jego ludzi Piesiewicz nie ruszy* – opowiada A.

Jaka była w tym rola prezydenta Dudy? – *Nie wstawił się za Kraśnickim. Co więcej, dając intrygantom pole do działania, sprawiał wrażenie, że się do nich przyłączył. Bardzo wątpliwe, by nie wiedział, jaki jest cel tego spotkania. Albo po prostu wykonał scenariusz napisany na Nowogrodzkiej* – uważa A. I zwraca uwagę na fragment we wpisie Dudy, że był on „przekonany, iż Andrzej Kraśnicki powinien kandydować". – *Raczej nie emanował tym przekonaniem, bo prezes wyszedł ze spotkania z poczuciem, że został sam, a Duda gra już na Piesiewicza* – mówi A.

W Pałacu Prezydenckim karty zostały więc rozdane. Nazajutrz po spotkaniu, zgodnie z poczynionymi tam ustaleniami, 73-letni prezes Kraśnicki ogłosił, że nie wystartuje w wyborach, gdyż „nie chce dzielić środowiska sportowego w Polsce". – *Wyrecytował to z kwaśną miną. Potem głos zabrał Piesiewicz, dziękując Andrzejowi za długie rozmowy, podczas których wspólnie ustalali, jak PKOl powinien działać. W powietrzu było gęsto od hipokryzji* – opowiada B.

Ale najgorsze dla Kraśnickiego miało dopiero nadejść. Podczas posiedzenia zarządu niespodziewanie głos zabrał europoseł PiS Tomasz Poręba, będący wówczas we władzach Polskiego Związku Badmintona. Dzień wcześniej był w wąskim gronie uczestników spotkania w Pałacu Prezydenckim.

– *Złożył wniosek, by w uznaniu zasług prezesa za 13 lat pracy dla PKOl przyznać mu nagrodę specjalną w wysokości jednego procenta pozyskanych środków od sponsorów i partnerów PKOl przez cały ten czas. Ustalono, że połowa zostanie wypłacona do 20 kwietnia, a druga część do 20 sierpnia. Padły jakieś głosy sprzeciwu, ale dość nieśmiałe, uchwała przeszła. W końcu przez te 13 lat Andrzej nie wziął za pracę na rzecz PKOl ani złotówki* – opowiada B.

Ale wkrótce rozpętała się afera. Podliczono, że z tego procenta uzbiera się duża suma, nawet 4 mln zł. – *Heniek Olszewski, wtedy prezes Polskiego Związku Lekkiej Atletyki, napisał do PKOl, że taka premia dla Kraśnickiego to skandal i że wnosi o unieważnienie tej uchwały* – wspomina B. Jednocześnie Jacek Harłukowicz z Onetu opublikował artykuł, w którym pojawiło się sformułowanie, że nagroda dla Kraśnickiego to cena za jego ustąpienie. – *Czyli że dał się kupić. Taka narracja była powielana* – mówi A.



Nieżyjący już były prezes PKOl Andrzej Kraśnicki

Tuż po tej publikacji biuro prasowe PKOl poinformowało, że prezes Kraśnicki rezygnuje z nagrody, a podana w artykule Onetu jej wartość (4,7 mln zł) jest „wielokrotnie zawyżona". – *Andrzej stracił czujność, powinien był na tym zarządzie odmówić nagrody i uciąć temat. Jednak dał się w to wmanewrować, niosło się, że podczas spotkania w pałacu go przekupiono. Nie mógł tego przeboleć, bo położyło się to cieniem na jego reputacji. A Piesiewicz triumfował* – uważa A.

W wyborach, które odbyły się 22 kwietnia, Piesiewicz wygrał przytłaczającą większością głosów. Wyzwanie rzucił mu na ostatniej prostej Kewin Rozum, młody prezes Polskiego Związku Sumo. Ta kandydatura nie była jednak traktowana poważnie. – *Wkrótce panowie podzielili się władzą, do prezydium zarządu weszli różni prezesi wspierający Piesiewicza. A Heniek Olszewski, który krzyczał, że PKOl jest za biedny, by wypłacać nagrodę Kraśnickiemu, został jednym z tych, którzy wzięli pensję* – opowiada B.

Andrzej Kraśnicki został prezesem honorowym PKOl i udzielał się w organizacjach międzynarodowych. – *Czasami wyjeżdżał za granicę, ale Piesiewicz nie był kompletnie zainteresowany przebiegiem tych spotkań ani tym, co tam można dla polskiego sportu załatwić. Przykro było patrzeć, jak były prezes snuje się po korytarzach komitetu z delegacjami do rozliczenia* – mówi A.

Prezydent Duda w dalszym ciągu ochoczo brał udział w olimpijskich imprezach, był gościem polskiej delegacji na igrzyskach w Paryżu, gdzie Piesiewicz podjął go w wynajętym za 13 mln zł pałacyku, którego mianował się gospodarzem. Piesiewicz rozpowiadał też, że załatwi Dudzie posadę w Komitecie Wykonawczym MKOl. – *Ten temat pojawiał się już podczas prezesury Andrzeja Kraśnickiego. Duda chętnie by tam wskoczył po zakończeniu drugiej prezydenckiej kadencji. To fajna fucha – lata się po świecie, jest się podejmowanym po królewsku, dostaje się 900 dol. dziennej diety – ale to nie jest miejsce dla polityków, zwłaszcza takich, którzy nie mają żadnych zasług dla ruchu olimpijskiego* – uważa B.

Piesiewicz szybko też pozbył się z PKOl pracowników uważanych za „ludzi Kraśnickiego". A sam Kraśnicki na początku 2024 r. dowiedział się, że ma nowotwór, zmarł rok później, a dwa miesiące przed śmiercią odebrał jeszcze z rąk prezydenta Dudy Krzyż Wielki Orderu Odrodzenia Polski. – Na pogrzebie przemawiali prezydenci Bach, Duda i Piesiewicz rzekomo szczerze przejęty śmiercią człowieka, którego pomógł zniszczyć. Pojawiło się buczenie.

W siedzibie PKOl znajduje się galeria z portretami byłych prezesów. Poczucie, że podobizna Piesiewicza nie powinna się tam znaleźć, jest mocne. Nie tylko dlatego, że obok portretu Andrzeja Kraśnickiego wyglądałaby niestosownie. ■

eprasa.pl ef163c68fb



Brukajmy klasykę!

Zamiast „dlaczego klasycy?", powinniśmy pytać: „po co klasycy, do jasnej cholery?". Bo gdy tylko klasyk sklasycznieje, zamienia się w pomnik przyrody. Ot, dąb Bartek, proszę szanować i podziwiać, krążyć wokół w muzealnych kapciach. To jest w końcu nasze dziedzictwo, bez niego jesteśmy jak dzieci we mgle i w zasadzie nie ma już Polski.

Można też nie pytać o klasyków wcale, jak dzieje się zresztą zazwyczaj. Intrygujące są jednak te nieliczne wyrwy w czasie, gdy połowa naszego społeczeństwa zakłada na głowę fedorę literaturoznawcy. Spieramy się o interpretacje, bronimy czci, czasem utrudniamy dostęp, pilnując jedynie słusznego odczytania, a czasem decydujemy się na bluźniercze gesty, otwieramy uznane teksty na świat, pozwalamy im pooddychać.

Dzieje się tak zazwyczaj, gdy ktoś porwie się na klasykę, nie założywszy wcześniej białych rękawiczek. Ewentualnie wtedy, gdy opublikowane zostaną kolejne alarmujące dane dotyczące czytelnictwa. Wówczas okazuje się, że literatura jest jednak całkiem ważna i że, cholibka, coś z tym fantem trzeba zrobić, bo nie może tak być, że ja czytam, a sąsiad nie (potem zagłosuje inaczej, niżbym chciał, i mamy niepotrzebny problem).

W zasadzie w temacie klasyki – nie tylko tej literackiej, ale na czymś się trzeba skupić – wszystko robimy na opak.

> Klasyka – czy w ogóle kultura i sztuka – udręczona naszym nabożeństwem jest kompletnie bezużyteczna, to pusty znak.

Na ogół nie interesuje ona ani czytelników, ani zarządzających państwową kulturą. Liczyć można jedynie na twórców, bo przecież wystarczy napisać we wniosku o dotację coś o „współczesnym spojrzeniu na klasyczne dzieło" i „łączeniu tradycji z nowoczesnością", a zawsze jakiś grant wpadnie.

Jeśli działamy, to zrywami: w pakiecie, poza corocznym łajaniem nieczytających, mamy też sporadyczne próby uatrakcyjnienia czy, o zgrozo, umłodzieżowienia literatury. Bo to czytanie, to wiadomo, nic specjalnego, ale jeśli „nie czytasz, nie idę z tobą do łóżka", jak głosił tytuł jednej z kampanii społecznych (chyba również demograficznych). Oto postęp: na przełomie lat 80. i 90. obietnicę satysfakcji seksualnej przemycano w reklamach chemii z Niemiec czy soków z Baltony (wybitna kreacja Janusza Józefowicza), potem udane życie łóżkowe gwarantowało zmóżdżanie się nad „Ulissesem".

Zdarzyło mi się za młodu popełnić tekst pod tytułem „Literatura jest interesująca i jeśli myślisz inaczej, to odejdź w pokoju", w którym porównywałem to do – dobrze pamiętanego przeze mnie z dzieciństwa – młodzieżowego katolicyzmu. Naklejki ze świętymi, katolickie programy komputerowe i inne rekwizyty, wszystko to miało sprawić, że zainteresujemy się Jezusem tak jak He-Manem czy Motomyszami z Marsa. Słowem: rzecz, docelowo istotna sama z siebie, miała do nas dotrzeć poprzez gadżet, nagrodę, a nie realną treść (rozważania na temat i tak wpisanego w katolicyzm nagradzania i wymianę handlową pozwolę sobie tu pominąć). Czytajcie więc, bo...

...bo tak. To jeszcze jedna z taktyk. Czytajcie, przede wszystkim wielkich, bo wielka literatura jest wielka, wielcy pisarze takoż. Ma to zresztą zastosowanie w przypadku innych dziedzin kultury i sztuki. Przy wielkim dziele trzeba chodzić na paluszkach, w spódnicy do kostek i z zakrytymi ramionami, jak w jakiejś Bazylice św. Piotra. Trudno tu zresztą uciec od skojarzeń sakralnych. Przecież ilekroć ktoś zdecyduje się na nowe wykonanie jakiejś klasycznej piosenki, mówi się o „profanacji". Wobec zaniku metafizyki, w czasie wybitnie fizycznym, DZIEŁO jest nam potrzebne jako pewien gwarant, ma wisieć w złotej ramie, ewentualnie trwać jak komar zaklęty w bursztynie.

W tym rzecz. Klasyka – czy w ogóle kultura i sztuka – udręczona naszym nabożeństwem jest kompletnie bezużyteczna, to pusty znak. Przyda się oczywiście podczas „narodowego czytania xyz", zresztą dla niektórych z naszych pierwszych dam była to pierwsza okazja, aby otworzyć publicznie usta. Aby mieć jednak z klasyki jakikolwiek pożytek, musi ona być w ruchu. Trzeba o niej gadać, spoglądać na nią z ukosa, czasem brukać. Otwierać na nowe odczytania albo, jeśli okaże się, że nieco ją przecenialiśmy, porzucać, kierować uwagę gdzie indziej. Przykrawać DZIEŁO do współczesności i próbować zrozumieć, zamiast odhaczać liczmany o „jednostce kontra narodzie", „konflikcie wewnętrznym" czy jak to tam Centralna Komisja Egzaminacyjna sformułuje. Żyjemy jakieś milion lat po poststrukturalistach, wiemy, że ani autor(ka), ani nawet pan(i) polonist(k)a nie dysponują sensem dzieła.

Obserwujemy wzmożenie dyskusji o DZIELE i w całej swojej naiwności mam nadzieję, że wywrze to trwalszy efekt niż kampanie społeczne promujące czytelnictwo. Naprawdę miło, że chce nam się o to spierać, choć frakcja „bursztynowa" mogłaby jednak porąbać swój klęcznik do czytania, rozpalić na drwach ognisko, usiąść wokół i porozmawiać. To lepiej zrobi dziełu, którego chce bronić.

A, nie oglądałem jeszcze netflixowej „Lalki", mam w kolejce jeszcze parę książek, komiksów i seriali, klasycznych lub nie. Usiądę do nich, pomyślę, pogadam, będą żyły.

MATEUSZ WITKOWSKI

eprasa.pl ef163c68fb



Dobra pani

„Jechałam autobusem, jakiś chłopak rozmawiał przez telefon po ukraińsku. Złapałam się na tym, że chcę go poprosić, żeby na wszelki wypadek przestał, bo mogą go spotkać nieprzyjemności. Jeszcze trzy miesiące temu coś takiego w ogóle nie przyszłoby mi do głowy".

„Moja ukraińska przyjaciółka Swietłana mieszka w Polsce od 29 lat. Świetnie mówi po polsku i ma wielu przyjaciół. A teraz zaczęła się bać. Serce staje mi w gardle i nóż się otwiera w kieszeni".

„Ja robię tak, że rozglądam się wokół siebie, gotowy do reakcji. Patrzę, komu ewentualnie przeszkadzają Ukraińcy. Raz już dwóch takich usadziłem, a dokładniej – przekierowałem ich agresję na siebie. Wiadomo, z piątką 20-latków bym nie zadarł, ale wśród hejterów nie brak kobiet i staruszków takich jak ja".

„W piątek pod wieczór poszedłem odebrać paczkę. Przed paczkomatem stała para, przez telefon próbowali komuś coś tłumaczyć, reakcją po drugiej stronie był krzyk. W następstwie tej rozmowy zrezygnowali z odbioru przesyłki. Zapytałem, czy mogę jakoś pomóc. Mówili płynnie po polsku, ze wschodnim akcentem. Dziewczyna postanowiła mi zaufać. Właściciel wypowiedział im mieszkanie, dał tydzień na wyprowadzkę. Z czynszem nie zalegają, są spokojni i dbają o czystość. Usłyszeli, że skończyła się dobroć Polaków, skoro Bandera jest ich idolem. W Donbasie, skąd pochodzą, nigdy nie słyszeli o Wołyniu. Do paczkomatu zamówili pościel i garnki, teraz już nie będą potrzebne. Przyjechali dwa lata temu z Belgii, dokąd uciekli przed wojną. Chcieli być bliżej swojego kraju, nie wyjechali przecież na zawsze. Dzisiaj dostałem od nich esemesa, wracają do Belgii".

Swietłana mieszka w Polsce od 29 lat. Świetnie mówi po polsku i ma wielu przyjaciół. A teraz zaczęła się bać.

„Za najbliższych sąsiadów mam Ukraińców. Powiedziałam im, że niedługo będą się przeprowadzać. Boją się, że na moje miejsce przyjdzie ktoś, kto będzie ich prześladował. Myślę, że wspólnie poszukamy ukraińskiego najemcy, żeby nadal czuli się bezpiecznie".

„Mam w okolicy taką zaprzyjaźnioną Żabkę. Jej szefowa jest Ukrainką. Powiedziała mi, że hejterzy złośliwie dają jej sklepowi negatywne opinie w aplikacji i na Google Maps. Piszą, żeby u Ukrów nie kupować, życzą jej bankructwa".

„Byliśmy w tym roku z żoną i córką w Portugalii. W barze obsługiwała nas Ukrainka, Natalia. Prawie dziesięć lat mieszkała w Polsce, jednak niecały rok temu uciekła z dzieckiem nad Atlantyk. Bała się narastającej nienawiści, nie chciała narażać dziewczynki. Bardzo smutno było tego słuchać, ale trudno jej nie zrozumieć. Uciekła do kraju, w którym czuje się bezpieczna i gdzie nikt nie powie, że nie wolno jej odezwać się do córki po ukraińsku".

„To było jeszcze w kwietniu, wszystko dopiero się rozkręcało. Jechałam pociągiem do Olsztyna, w jednym przedziale z matką i małym chłopcem. Byli Ukraińcami. Gdy zajmowali swoje miejsca, matka przestrzegła synka, żeby w czasie podróży mówił po polsku. W pewnym momencie chłopiec spontanicznie zaczął śpiewać radosną piosenkę, coś o pięknej Ukrainie. Wtedy odezwała się współpasażerka. Powiedziała do małego i jego matki, że tu jest Polska, tu się mówi i śpiewa po polsku. Ponieważ panował hałas, a ja od jakiegoś czasu próbowałam drzemać i nie miałam pewności co do przebiegu tej wymiany, nie interweniowałam. Dzisiaj żałuję, regularnie to sobie wyrzucam".

„Kilka dni temu jechałam metrem, ani zapchanym, ani pustym. Przede mną stała pani z dzieckiem w wieku mniej więcej późnoprzedszkolnym. Była wyraźnie spięta. Uciszała dziecko i jakby nagradzała – gestami, uśmiechami – za niegadanie. Łatwo zgadnąć po jakiemu... Z drugiej strony, za mną, siedziała sobie grupka rodzinna, para dorosłych i czworo dzieci, z czego troje w wieku przedszkolnym. Radośnie pokrzykiwali po niemiecku, w ogóle się nie krępując. Tak sobie pomyślałam – wiem, jak to brzmi – o liczbie ofiar hitleryzmu, w tym polskich. Pomyślałam, że niechęć do Niemców paplających w Polsce głośno po niemiecku ostatecznie byłaby jakoś zrozumiała, tym bardziej że to świat zmusił ich do pokajania się za swoje zbrodnie, co zresztą przebiegło jakby w stylu *fake it till you make it* (udawaj, aż się nauczysz robić to naprawdę). Jednak to nie ich, tylko Ukraińców wpędziliśmy w ciężki lęk przed odezwaniem się we własnym języku".

„Jechałam z małym windą, z nami dwie Ukrainki. Dobrze, że tu jesteście – powiedziałam. – Nie bójcie się. Dziękowały, jedna mnie uściskała. Zobaczyłam, że płacze".

„W niedzielę żona poszła na bazar. W ogonku po pomidory starych odmian, których nie uświadczysz w żadnym markecie, wdała się w pogawędkę z Ukrainką. Kobieta była z synkiem, więc żona zwróciła się przyjaźnie też do małego: Cześć, jak masz na imię? Chłopiec zamarł. Wtedy matka powiedziała do niego: Nie bój się, to jest dobra pani".

„Mówiłem, że Polska pójdzie do piekła, i proszę, poszła, nie ruszając się z miejsca".

Takie były rozmowy polskie latem 2026 roku.

RENATA LIS

eprasa.pl ef163c68fb



Dlaczego rząd ich nie ostrzegł

Czytam, że minister Żurek odciął dopływ prądu w okupowanym przez posłankę Kurowską gabinecie prezesa AWS, uniemożliwiając jej przeprowadzenie głodówki w ramach interwencji poselskiej. Fakt, że posłance PiS nie zapewniono odpowiednich warunków do głodowania, to dowód, że w represjonowaniu opozycji rząd Tuska przekracza wszelkie granice.

Po rozpoczęciu głodówki Kurowska zaalarmowała, że rozładowuje się jej telefon, a nie ma prądu w gniazdkach. „Idę do łazienki, włączam prąd, a tam nie ma już prądu, światła tam nie ma. Biorę suszarkę, czy będzie mi suszyć, nie ma suszarki" – opisywała potworności, jakich doświadczyła. „I wtedy myślę sobie: co ja tam będę robić?".

Zgadzam się, że głodowanie bez działającej suszarki i komórki nie miało sensu, bo skąd byłoby wiadomo, że Kurowska głoduje i nie zamierza się poddać, skoro nie mogła o tym nikogo informować. Trudno od poważnego polityka wymagać, żeby w takich warunkach przebywał w jakimś gabinecie, o głodowaniu nie mówiąc. Licząc na to, że rząd Tuska nie odważy się wyłączyć prądu w całym kraju, Kurowska po opuszczeniu gabinetu zdecydowała się kontynuować głodówkę. „Teraz jadę w pewne miejsce, gdzie będę dalej głodować" – poinformowała w rozmowie z TV Republika, nie podając adresu, żeby nie ułatwiać roboty ministrowi Żurkowi.

Poza wyłączaniem prądu politycy opozycji zarzucają Tuskowi, że rząd nie ostrzega ich przed rozmaitymi zagrożeniami, np. żeby nie brać kasy i drogich zegarków od przekręciarzy powiązanych z gangsterami, co według polityków PiS jest obowiązkiem rządu, bo „nikt nie powinien być narażony na to, by brać pieniądze od złodziei". Zgadzam się, że skąd Zbigniew Ziobro, były minister sprawiedliwości, miał wiedzieć, że nie wolno brać pieniędzy od aferzysty Krala, skoro go o tym nie poinformowano. Gdyby był poinformowany, na pewno by nie wziął, bo jest uczciwy. A gdyby Tusk lub któryś z jego ministrów ostrzegł szefa PKOl, że jako wysoki urzędnik państwowy nie może przyjąć łapówki w postaci zegarka, to by się powstrzymał, bo głupi nie jest.

Jednego z „Rodaków Kamratów", o ksywce „Jaszczur", skazano na trzy miesiące więzienia za nawoływanie do nienawiści i znieważenie osób narodowości żydowskiej. Grzegorz Braun zaapelował do prezydenta o ułaskawienie „Jaszczura", bo skąd „Jaszczur" miał wiedzieć, że osób narodowości żydowskiej nie wolno lżyć. Czy Tusk albo Żurek go o tym uprzedzili? Nie zdziwiłbym się, gdyby samego Brauna premier także nie uprzedził, że nie może negować Holokaustu i używać gaśnicy wobec osób mających inne niż on poglądy na temat Żydów, co naraziło go na utratę immunitetu i poważne kłopoty...

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Czarnecka
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK P/mint

eprasa.pl ef163c68fb

Stolice kultury

Po co miastom tytuł stolicy kultury? Jak go wykorzystać? O tym rozmawialiśmy w studiu wideo POLITYKI z prezydentami: Bielska-Białej, Katowic, Kołobrzegu i Lublina. Pierwsze z miast jest w tym roku Polską Stolicą Kultury, kolejne dwa przejmą ten tytuł w następnych latach, a Lublin w 2029 r. będzie reprezentować Polskę w roli Europejskiej Stolicy Kultury (jako trzecie polskie miasto po Krakowie i Wrocławiu). Rywalizacja o tytuł ESK zamieniła się tym razem we współpracę całej czwórki miast finalistów konkursu. Zorganizują nawet wspólną imprezę – Wędrujący Festiwal, którego kolejne odsłony zobaczymy w ciągu czterech lat (pierwsza, bielska, już w październiku). W dyskusji udział wzięli: Jarosław Klimaszewski, prezydent Bielska-Białej, Marcin Krupa, prezydent Katowic (występujący tu także w imieniu Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii, zaangażowanej w działania PSK), Ilona Gręda-Wójtowicz, zastępca prezydenta Kołobrzegu ds. społecznych, a wreszcie Krzysztof Żuk, prezydent Lublina. Prowadził ją wicenaczelny POLITYKI Bartek Chaciński, a cały przebieg rozmowy można będzie w najbliższych dniach prześledzić na polityka.pl oraz na naszym profilu na YouTube.



© LESZEK ZYCH

Od lewej: **Bartek Chaciński, Jarosław Klimaszewski, Marcin Krupa, Jerzy Baczyński, Ilona Gręda-Wójtowicz i Krzysztof Żuk**

Zdarzyło się

Zaglądamy do archiwum POLITYKI

20 lat temu, a konkretnie w 39. numerze POLITYKI z 2006 r., w artykule „Pierwszy rok Czwartej" Mariusz Janicki i Wiesław Władyka opisywali pierwszy rok pierwszych rządów PiS. Dekadę później okazało się, że czasy może i się zmieniają, ale metody prezesa niekoniecznie. Co więcej – w nowych realiach są nawet bardziej skuteczne.


Kraj

Pierwszy rok Czwartej

„Politycy PiS są mistrzami kolejnych początków i sami ustalają, kiedy się zaczyna kolejny etap. Najpierw był to moment objęcia rządów przez Kazimierza Marcinkiewicza, potem dzień podpisania paktu stabilizacyjnego, następnie zawiązanie koalicji, wreszcie zmiana na stanowisku premiera. Za każdym razem Jarosław Kaczyński twierdził, że w istocie dopiero teraz są prawdziwe warunki, aby »zmieniać Polskę«. (...)

Zarzucanie PiS, że oprócz rozwiązania WSI, utworzenia CBA, opanowania mediów publicznych, obsadzenia swoim prezesem IPN, chwycenia mocną partyjną ręką urzędników, policji, wymiaru sprawiedliwości i służb specjalnych, trudno znaleźć inne realne efekty działań nowej władzy, jest niesprawiedliwe. To właśnie te punkty są na pierwszych miejscach w programie PiS, od ich realizacji partia ta wyraźnie i szczerze uzależniła powodzenie w innych dziedzinach. Co więcej, to te kwestie i obietnice z nimi związane były skierowane do samego jądra elektoratu PiS, do tych najtwardszych, »kadrowych« wyborców, którzy polubili to ugrupowanie właśnie za tezy o mocnym państwie, za ideowy radykalizm, za odrzucenie III RP oraz układu łże-elit. (...)

Wysoko wypada ocenić skuteczność PiS w sprawowaniu władzy. Partii tej udało się narzucić swój język, swoją wizję przeszłości, narratorami Polski stali się bracia Kaczyńscy. Siła PiS polega na tym, że się nie cofa, nie przeprasza, nie ubolewa. A nawet jak się cofnie, to zaprzecza, jakoby przedtem forsował inne stanowisko. Wszelkie deklaracje Jarosława Kaczyńskiego mają moc, rzec można, sytuacyjną, obowiązują w danym momencie, w tych warunkach, na dzień dzisiejszy.

Kaczyński zrozumiał, że zwycięża ten, kto idzie dalej, kiedy przeciwnicy się z zakłopotaniem zatrzymują, że tylko słabeusz ulega żądaniom, aby coś wyjaśnić czy wytłumaczyć się ze swoich dawnych słów czy obietnic. PiS przez ostatni rok stosował zasadę absolutnego pragmatyzmu, gdzie wszelkie wątpliwości, skrupuły, poczucie konfuzji traktowane są jako niepoważne, dziecinne, niegodne prawdziwego polityka. (...)

Zasadniczym jednak osiągnięciem PiS jest narzucenie nowego widzenia polityki otoczeniu. Zdumiewa to, jak szybko kolejne decyzje PiS normalniały, jak czymś oczywistym stała się koalicja z Lepperem i Giertychem, jak łatwo przyjęto porzucenie ulubieńca publiczności Kazimierza Marcinkiewicza. Udało się też PiS narzucić wizję ugrupowania potężnego, z powszechnym poparciem społecznym (w istocie głosował na tę partię co dziesiąty uprawniony do głosowania). Niedawno Andrzej Lepper z niejakim zdumieniem zauważył, że PiS ma w Sejmie tylko 155 posłów, a reszta 305, ale sukcesem PiS stało się właśnie to, że ta przeważająca reszta nie ma nic do gadania. Nawet posłowie PO stwierdzają: »To zależy od PiS«, »Wszystko w rękach PiS«.

(...) PiS zbudował skomplikowaną, misterną konstrukcję władzy. Ale takie konstrukcje odznaczają się dużą siłą niszczącą. Oraz, czego PiS już nieraz doświadczył, również samoniszczącą".

eprasa.pl ef163c68fb

Przeżyjmy to jeszcze raz

Turystyka nostalgii może być lekiem na podróżnicze lęki i pogoń za wrażeniami.



PODRÓŻE

Ostatnio zwiedzałam krakowską Nową Hutę. Bynajmniej nie w ramach zorganizowanej wycieczki, tylko w związku z pracą. Jednak kiedy spacerowałam centralnie planowanymi ulicami, przyglądałam się blokom francuskiemu i szwedzkiemu, a potem jadłam placki ziemniaczane w barze mlecznym (cena 7,51 zł), poczułam się, jakby babcia ubrała mnie we flanelową piżamę i włączyła „Wieczorynkę". Mimo że tu i ówdzie zza rogów wyglądały Żabki i kraftowe lodziarnie, to był świat mojego dzieciństwa, który niósł dziwne ukojenie.

Wycieczki śladami PRL-u cieszą się w Polsce niesłabnącą popularnością, zwłaszcza wśród zagranicznych turystów. W Warszawie wciąż można się natknąć na roześmiane grupy podróżujące rozklekotanymi Nysami albo **autobusami ogórkami** między Pałacem Kultury a Ursynowem Północnym, z przystankiem w Muzeum Życia w PRL, gdzie podziwia się m.in. półkotapczan oraz pralkę Franię. W Nowej Hucie zainteresowani przeszłością mogą z kolei przewieźć się Trabantem, zwiedzić biura administracyjne huty i wypić kawę z fusami w kawiarni Stylowa.

Turystyczna moda na PRL miała różne odsłony, chyba najbardziej irytująca była ta na bary z wódką i zakąskami, które w pewnym momencie zdominowały ofertę gastronomiczną rynków wielu polskich miast. Teraz – i to w o wiele lepszym stylu – wykorzystało ten trend PKP. Z okazji 25-lecia spółki turyści mogą przejechać się pociągiem Nieśpiesznym m.in. z Warszawy do Poznania czy Lęborka. Odnowiono lokomotywy z lat 60. i 70., w przedziałach zobaczyć można charakterystyczną pomarańczową tapicerkę, a w Warsie flaki i kiełbasa są „serwowane w atmosferze wagonu pamiętającego najlepsze tradycje kolejowej gościnności" – chwali się na swojej stronie PKP. I dalej w podobnym stylu informuje o tym, że podróż IC Nieśpiesznym „to bilet do czasów, gdy podróż była rytuałem, a nie tylko środkiem transportu". Ci, którzy nigdy nie jechali pociągiem w PRL, pewnie będą tym rytuałem zachwyceni. Natomiast ci, którzy to przeżyli, może wspomną spanie na zatłoczonym korytarzu podczas podróży zimą z Warszawy do Szczecina, niekoniecznie z tęsknotą, być może nawet z przerażeniem.

Turystyka nostalgii bazuje na naszej tęsknocie za dawnymi, prostszymi czasami. Problem w tym, że dawne czasy wcale nie były łatwiejsze. Po prostu na PRL przypadał moment dzieciństwa dzisiejszych 40-latków, więc nieodłącznie kojarzy im się z beztroską, autentycznością i brakiem zobowiązań. A także – z rytmem, który wtedy był znacznie wolniejszy.

A tymczasem podróże dzisiaj stały się dla wielu pogonią za nowymi doświadczeniami – trzeba odhaczać kolejne miejsca na liście tych do odwiedzenia, zdobywać szczyty w Himalajach, zjeść pad thaia w Bangkoku i wypić absynt w Pradze. I jeszcze przy okazji odpocząć. Tylko jak, kiedy wszystko to przyprawia o zawrót głowy, niekiedy już na etapie, kiedy przeglądamy rolki na Instagramie?

– *Od lat jeździmy w to samo miejsce nad morzem* – wyznała mi ostatnio koleżanka z pewną taką nieśmiałością, jakby czuła się winna, że w wakacje nie zajmuje się odkrywaniem nowych lądów. Spokojny urlop w dobrze znanym miejscu, czasem nawet w tym samym pensjonacie, plażowanie przy zejściu na plażę numer 21, ryby w ulubionej smażalni; powroty do kojących miejsc z dzieciństwa – to inna odsłona turystyki nostalgii, nawet bardziej osobista niż ta z Trabantami i zakąskami z Warsa. Zamiast nurkowania na Malediwach wybieramy spanie nad jeziorem pod namiotem (chociaż ten na szczęście nie musi być z PRL-u), od zdobywania Machu Picchu wolimy zbieranie malin na działce i smażenie konfitur. Zresztą działki ROD – kojarzone z PRL-em, choć ich historia sięga dużo dalej – także cieszą się ogromną popularnością wśród dzisiejszych 40-latków. I tak, z urządzania działki też można uczynić wyścig po lajki, są już odpowiednie profile na Instagramie, ale można też po prostu rozsadzać pomidory i obserwować owady. Można grać w piłkę i zapomnieć o tym, że telefon został w torbie.

Bo tak naprawdę nie tęsknimy przecież za niewygodnym półkotapczanem ani za tłustymi flaczkami, tylko za czasem, kiedy każde wakacje były serią drobnych zachwytów. I to jest ta forma turystyki, którą warto dziś praktykować. ■



Urszula Jabłońska
– reporterka, autorka książek: „Człowiek w przystępnej cenie. Reportaże z Tajlandii" oraz „Światy wzniesiemy nowe".

© BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS, ARCHIWUM PRYWATNE, TVN, MARCIN GADOMSKI/AKPA

eprasa.pl ef163c68fb

Kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego



MEA PULPA

Norbi za utwór „Kobiety są gorące" pobiera ok. 30 tys. zł rocznie z tytułu praw autorskich. Kara musi być proporcjonalna i adekwatna do szkodliwości społecznej czynu.

▼

Czesław 711 Michniewicz poprowadzi w Kanale Zero program „Taka jest piłka". Stosując terminologię fryzjerską, wyczuwam ogólną koloryzację oraz mocne kręcenie na mokro.

▼

Zbigniew Zamachowski zdradził, kto jego zdaniem powinien dubbingować osła w „Shreku 5". To Maciej Stuhr. Ryszard Czarnecki i Przemysław Czarnecki też udowodnili, że rola osła może być dziedziczna.

▼

Spór Joanny Jabłczyńskiej z „Nigdy w życiu!" wygenerował 23 tys. publikacji i 358 tys. interakcji w social mediach. W Orłach powinna pojawić nowa kategoria: Najpopularniejsza aktorka nieobsadzona.

▼

Obcisła kreacja Iwony Węgrowskiej nie wytrzymała napięcia i dwa razy pękła podczas występu wokalistki na Vogule Fest. Nie tylko jej repertuar nie mieści się w utartych kanonach.

▼

„Wydaje mi się, że nie mieliśmy lepszego prezydenta" – to aktor Piotr Mróz o Karolu Nawrockim. „Jest silny, konsekwentny i nieugięty". Wniosek jest oczywisty. Chłop w sposób nieugięty szuka pracy.

▼

MSWiA zawarło umowę z TVP na 5 mln zł za obecność w programie „Pytanie na śniadanie". Drogo. Kiedyś iluzjoniści występowali tam za darmo.

▼

„Budka Suflera ma wokalistę. Legenda zastąpi Jacka Kawalca" – czytam. Ta legenda to Krzysztof Wałecki z Oddziału Zamkniętego. Coraz łatwiej być legendą, coraz trudniej być znanym.

▼

Tylko w Onecie: „Gwiazda »Rolnika« ma nowe zęby". Znakomicie. Nie wypada, żeby gwiazda świeciła czarną dziurą.

▼

WP donosi, że Marcin Najman wyśmiewa Siergieja Ławrowa: „Człowieku, wy się 4 lata nawalacie o kawałek lasu i nie możecie ruszyć do przodu". Lubię ten portal. Dzięki niemu wiem, że nie tylko Ławrow jest w lesie.

▼

Marta Nawrocka u Bogdana Rymanowskiego: „Snusy dla męża są jak kawa". Dzielna obrona. Jak naszych na Monte Cassino.

Doda wykonała „Rotę" podczas koncertu Army Days w Amfiteatrze Kadzielnia w Kielcach. Doskonały wybór. Słowa: „Tak nam dopomóż Bóg" w jej sytuacji będą bardzo potrzebne.

▼

„Mając bardzo dobry kontrakt z TVN, zarabiałem niespełna 10 proc. tego, co zarabiamy na własnej twórczości". To Maciej Dowbor. Obejrzałem. 10 proc. jak najbardziej zasłużone.

▼

Na koncert z okazji Dni Siedlec Skolim spóźnił się dwie godziny. Spójrzmy na to inaczej. A może wszyscy inni przyszli za wcześnie?

▼

Wirtualnemedia.pl donoszą: „Kolejne odejście z Kozaczka. Z redakcją żegna się reporter show-biznesowy". Jakub Szewczyk. Jak Konwicki, Rimbaud czy Salinger. Wybrał milczenie.

▼

Maja Sablewska przyznała się, że dostała od psycholożki zakaz uprawiania seksu przez rok. Mężczyzna i kobieta mogą się przyjaźnić bez seksu. To się nazywa małżeństwo.

▼

Dziennikarze obliczyli, że różnica wieku pomiędzy Aleksandrą Kwaśniewską a Kubą Badachem to pięć lat. Kundera pisał: „Nie lubię dziennikarzy. To są przeważnie bezczelni, płytcy frazesowicze".

Michał Wiśniewski wyznał, że przez 20 lat pił 0,7 litra dziennie. Prowadzisz radosne życie pełne ślubów i rozwodów, aż nagle dowiadujesz się, że to alkoholizm.



eprasa.pl ef163c68fb

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty



W kleszczach wojen

Wracających z wakacji Polaków spotkało niemiłe zderzenie z rzeczywistością – wojna Rosji z Ukrainą jakby się do nas przybliżyła i przyspieszyła. Na naszej ziemi eksplodował wrogi pocisk, lotnictwo musi być w stałej gotowości. Sprawdzają się prognozy, że jesienne miesiące będą jeszcze bardziej niespokojne. **Co nas może czekać? Czy usłyszymy alarm w Warszawie? Pisze o tym obszernie na polityka.pl Marek Świerczyński.**

Czy obroni nas baza?



Donald Trump dał Polsce nadzieję, że NATO naprawdę przesunie się na Wschód – zapowiedział, że powstanie u nas baza wojskowa. Zaskoczył tą deklaracją nie tylko Władimira Putina, ale i rządzących. Idea bazy USA w Polsce zakończyła się przecież fiaskiem już za czasów PiS. **Na polityka.pl analizujemy sens tych obietnic. Udająca się do Waszyngtonu delegacja MON powinna zadać kilka pytań, które stawiamy w naszym tekście.**

Oscar dla „Ojczyzny”?



„Ojczyzna” Pawła Pawlikowskiego będzie reprezentowała Polskę w kategorii najlepszy film międzynarodowy w przyszłorocznych zmaganiach o Oscara. Jak pisze na naszej stronie Janusz Wróblewski, „to w pełni zrozumiała, trafna, niebudząca kontrowersji decyzja naszej komisji oscarowej, poparta wagą tematu”. Choć pewne wątpliwości mogły się pojawić. Sprawdzamy, z kim Pawlikowski konkuruje i jakie ma szanse.



Nowa, inna Łęcka

Trwa festiwal „Lalek”, również na naszych łamach. **W podkaście kulturalnym POLITYKI Janusz Wróblewski gości Sandrę Drzymalską, czyli serialową Izabelę Łęcką.** Aktorka opowiada m.in., jak postrzega swoją bohaterkę i jaka atmosfera panowała na planie (wszyscy znakomicie się zgrali). Rozmawiamy także o aktorstwie i stereotypach, które trzeba dziś zwalczać niestety tak samo jak w czasach Prusa.

Własnymi słowami



W podkaście Justyny Sobolewskiej gości z kolei aktorka Agnieszka Przepiórska, znana przede wszystkim ze znakomitych monodramów. Wcielała się m.in. w role Zuzanny Ginczanki, Simony Kossak czy Jadwigi Stańczakowej. POLITYCE opowiada, jakie książki znalazła w swoim dziecięcym pokoju, dlaczego warto grać spektakle w małych miastach i co robi, gdy zapomni tekstu. Czasem musi się ratować własnymi słowami.

© DAWID WOLSKI/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK, AGATA GRZYBOWSKA, LESZEK ZYCH (2)

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

eprasa.pl ef163c68fb

POSZERZAMY HORYZONTY



Naukowe miesięczniki POLITYKI





Wrześniowe numery już w punktach sprzedaży prasy i na sklep.polityka.pl

Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektpulsar.pl

Prenumerata także z bezpłatną dostawą do wybranego

InPost Paczkomat 24/7

eprasa.pl ef163c68fb



Albatros travel

Albatros 40 lat

Rejs po Renie i kwitnące tulipany w Holandii

Podziwiaj kwitnące tulipany w parku Keukenhof oraz zobacz najpiękniejsze holenderskie miasta podczas 6 wiosennych dni w Holandii.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Frankfurtu. Przejazd do Kolonii. Katedra w Kolonii i zaokrętowanie. **Dz. 2** Rotterdam. Zwiedzanie miasta. **Dz. 3** Enkhuizen. Rejs po Markermeer i Ijsselmeer. Zwiedzanie Enkhuizen na własną rękę lub wizyta w Zuiderzeemuseum (dodatkowo płatne). **Dz. 4** Amsterdam. Wycieczka do parku tulipanów Keukenhof i zwiedzanie miasta z przewodnikiem. Spacer po Amsterdamie i rejs po kanałach (wycieczki dodatkowo płatne). **Dz. 5** Nijmegen. Spacer po hanzeatyckim mieście Nijmegen. **Dz. 6** Powrót do Kolonii. Wylot z Frankfurtu do Warszawy.

6 dni | Wylot z Warszawy 05/04 2027 | od **6.598,-**

Rejs po pięknym, modrym Dunaju

Rejs po Dunaju przez Dolinę Wachau, Wiedeń, Budapeszt i Bratysławę, śladami Monarchii Habsburgów i wspaniałej architektury jaką po sobie pozostawili.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Monachium w Niemczech. Przejazd do Pasawy i zaokrętowanie na statku. **Dz. 2** Ybbs, Austria. Możliwość wycieczki do Sanktuarium w Maria Taferi. Przypłynięcie do Wiednia. **Dz. 3** Wiedeń, Austria. Opcjonalna wycieczka po historycznym centrum miasta: Pałac Hofburg, katedra Św. Szczepana, spacer eleganckim deptakiem Graben i Ringstrasse. **Dz. 4** Budapeszt, Węgry. Zwiedzanie miasta i jego wspaniałej architektury (dodatkowo płatne). **Dz. 5** Budapeszt, Węgry. Możliwość wycieczki fakultatywnej do węgierskiej Puszty. **Dz. 6** Bratysława, Słowacja. Opcjonalnie piesza wycieczka po Starym Mieście. **Dz. 7** Melk, Austria. Opcjonalna wycieczka do klasztoru benedyktynów Stift Melk. **Dz. 8** Przypłynięcie do Pasawy, przejazd do Monachium i powrót do Warszawy.

8 dni | Wyloty z Warszawy 31/05, 30/08 2027

od **8.998,-**

Rejs po rzece Douro

szlakiem winnic z Porto

Wyjątkowy rejs z Porto, miejsca narodzin wina porto, do objętego patronatem UNESCO regionu winiarskiego Doliny Douro z barokowymi miastami, winnicami i malowniczymi krajobrazami.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Porto. Vila Nova de Gaia i zaokrętowanie na statku. **Dz. 2** Porto - Caldas de Aregos. Możliwość zwiedzania Porto z degustacją wina porto. **Dz. 3** Caldas de Aregos – Pinhão. Wizyta na malowniczej stacji kolejowej Pinhão i obiad w Quinta (winnica). Możliwość wycieczki do barokowego zamku Casa de Mateus. **Dz. 4** Pinhão – Barca d'Alva. Dodatkowa wycieczka do Castelo Rodrigo. **Dz. 5** Barca d'Alva – Pocinho/Foz do Sabor. Dodatkowa wycieczka do Salamanki, miasta uniwersyteckiego wpisanego na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. **Dz. 6** Pocinho-Régua. Możliwość fakulatatywnej wycieczki do barokowego miasteczka Lamego. **Dz. 7** Régua-Porto Możliwość dodatkowej wycieczki do Guimarães, zwiedzanie Porto z polskim pilotem. **Dz. 8** Porto – Warszawa. Powrót do domu.

8 dni | Wyloty z Warszawy 10/06, 16/09 2027

od **10.998,-**

Pełne wyżywienie na statkach!

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL37**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl ef163c68fb